

LIRA  
WYDAWNICTWO

*Sprzymierzeńcy wśród  
wrogów, karkołomna  
misja i miłość,  
która nie powinna się  
wydarzyć...*

Joanna  
Strulich

SKAZANIEC  
i PANNIA

Saga napoleońska

*Joanna  
Strulik*

SKAZANIEC  
i PANNNA

L i R A  
WYDAWNICTWO  
WARSZAWA 2023



## ROZDZIAŁ I

### I

Krysia Podolska patrzyła oszołomiona na zmianę to na ojca, to na matkę, którzy właśnie oznajmili, że znaleźli idealnego kandydata do jej ręki.

Marianna Podolska, jej matka, wysoka i szczupła, niemal zasuszona, co podkreślała jeszcze ciemna, zapięta pod szyją suknia, miała w oczach jakiś rodzaj mściwej satysfakcji, jakby Krysia była winna temu, że urodziła się dziewczynką, a nie chłopcem. Zresztą nawet wtedy nie udało jej się dobrać do ideału, jakim był jej wspaniały starszy brat, Antoni. Co prawda mocno nadszarpnął on w ciągu ostatnich dwóch lat swój wizerunek wymarzonego dziedzica majątku i tradycji. Najpierw wbrew woli matki zaciągnął się był do armii napoleońskiej, czego o mały włos nie przypłacił życiem na polu walki. A później związał się z żoną jednego z francuskich generałów. Matka tolerowała jego wybrankę, Émilie, tylko dlatego, że ta okazała się dziedziczką niemałej fortuny po zmarłym mężu. Nie przeszkadzało jej nawet to, że owa fortuna znajdowała się na drugim krańcu kontynentu.

Francuzka miała kilkuletnią córkę z pierwszego związku z francuskim szlachcicem. Jak dotąd nie dała Podolskim wnuków i Krysia wiedziała, że prawdopodobnie nie da ich nigdy, ale skrzętnie ukrywała tę tajemnicę przed matką. Ta gotowa była zniechęcić Émilie, gdyby się o tym dowiedziała.

– Panie ojciec... – wyjąkała Krysia, patrząc w oczy rodzica zamglonym z żalości wzrokiem. O ile matka bywała nieustępliwa, o tyle ojciec bardziej był skłonny do pobłażliwości, choć to do niego należało ostatnie słowo.

Krysia nie mogła się nadziwić, jak mimo autorytetu, jakim cieszył się ojciec, matka umiała przekonywać go do swoich racji. Jak umiejętnie nim kierowała, jakby był łódeczką ze skrawka kory puszczonej na kałuży, którą bawiły się chłopskie dzieci z folwarku. Marianna Podolska potrafiła tak sterować sprawami, by przybrały oczekiwany przez nią obrót.

Krysia, która miała teraz niemal osiemnaście lat, obserwowała Antoniego i Émilie. Owszem, oni również miewali odmienne zdania i żona brata potrafiła go nakłonić do zmiany frontu. Jednak częściej ustępowała mężowi. Była w niej jakaś uległość, miękkość i Krysia odnosiła wrażenie, że Émilie z przyjemnością godzi się na to, co zdecydował Antoni, jakby był to jeden ze sposobów na okazanie uczucia.

Matka stała ponad uczuciami. Jej prawie nic nie wzruszało. Może tylko widok ukochanego syna hołubionego przez całe dzieciństwo, a i w życiu dorosłym traktowanego, jakby pochodził z książęcej rodziny. Kiedy matce nie udawało się postawić na swoim, w jej wzroku trudno było się dopatrzeć uległości. Oczy błyszczały jej raczej od tłumionej złości, a zaciśnięte pięści świadczyły o tym, że z trudem nad sobą panuje.

– Maciej Olszewski to dobra partia, moja córko. – Ojciec patrzył na nią ciepło i mówił spokojnym głosem, ale Krysi po plecach przebiegł zimny dreszcz. – Matka ma rację, że pora pomyśleć o twym zamęściu.

Krysia nie miała prawa protestować. Wolę rodziców należało szanować i wypełniać bez mrugnięcia okiem. Jednakowoż Maciej Olszewski może i posiadał ogromny majątek, na który składało się wiele wsi, może i miał herb rodzinny, z którym wiązały się liczne opowieści o bohaterskich wyczynach jego przodków od wiktorii grunwaldzkiej po insurekcję kościuszkowską, ale poza tym liczył sobie ze trzydzieści lat i ważył więcej niż dobrze utuczony wieprzek. Co więcej, charakter też miał wieprzowy. Uwielbiał dobrze zjeść i popić nietęgo, a przy tym przechwalać się, no bo skąd wszyscy mieliby wiedzieć, czego dokonali jego przodkowie i jak duży majątek posiada on sam.

– Imć Olszewski odwiedził nas był w zeszłym tygodniu właśnie z propozycją, która jest dla nas nie lada zaszczytem, co powinnaś docenić, Krystyno. – Matka zatarła ręce, zapewne widząc już oczami duszy te bogactwa Olszewskich i splendory, które spłyną na ród Podolskich po zawarciu małżeństwa.

Wreszcie stało się jasne, dlaczego Olszewski, dotąd z góry traktujący okoliczną szlachtę, przybył do Podolan i dłuższy czas rozmawiał sam na sam z ojcem Krysi.

Dziewczyna czuła wręcz, że sama sprowokowała tę rozmowę i, co gorsza, wszystkie jej konsekwencje, które mogły sprawić, że jej życie całkowicie się zmieni. Otóż niespełna miesiąc wcześniej ściągnęła na siebie uwagę Olszewskiego, kiedy całą rodziną wybrali się do kościoła, którego fundatorami

zresztą byli Olszewscy. W Podolanach ponoć stał dawniej kościółek, ale spłonął w czasie pożaru. Od tej pory z okolicznych wsi wszyscy jeździli do kościoła w Olszewie. Ten był murowany z czerwonej cegły, z dzwonnica przyklejoną nieco krzywo. Wewnątrz panował półmrok rozpraszany przez wysoko umieszczone, niewielkie okna. Krysia lubiła wpatrywać się w czające się pomiędzy oknami wizerunki świętych, a kiedy nudziła się jako dziecko, lubiła też wymyślać historie o tych ludziach z obrazów. Nie wszystkie postaci wyszły artyście tak, by bez trudu niepiśmienny wieśniak mógł na podstawie atrybutów zidentyfikować, którego ze świętych przedstawia malunek. Jednak Krysi to nie przeszkadzało. Wymyślała swoje własne opowieści o niezwykłych dokonaniach postaci, a częściej o nieszczęśliwych miłościach, które stawały się przyczynkiem do wstąpienia do klasztoru tudzież do prowadzenia pustelniczego życia i tym podobnych zakończeń. Tak w każdym razie lubiła rozmyślać, kiedy była młodsza, w czasie długich godzin niezrozumiałych, bo prowadzonych po łacinie modłów.

Od śmierci Michała Śniegockiego, który zdażył złożyć rodzicom propozycję ożenku z nią, a który był zginął w czasie kampanii pod Frydlandem, Krysia myślała już tylko o tych kilku krótkich chwilach spędzonych z ukochanym. Jednak niewiele miała tych wspomnień. Ot, skradziony ukradkiem niewinny całus i kilka słów zamienionych na osobności, lecz pod czujnym okiem Leosi, kuzynki, nauczycielki i przyzwoitki w jednym. Krysia zapamiętała jego spojrzenie, kiedy widzieli się po raz ostatni. Jego naznaczoną trudami podróży i walki twarz. Co prawda rodzice sprzeciwiali się temu małżeństwu, ale Krysia wierzyła w siłę łączącego ją ze Śniegockim uczucia. Wierzyła, że brat i Émilie wsparliby zakochanych. Nie dane jej było nigdy przekonać się, jak to jest żyć u boku ukochanego mężczyzny, a z czasem twarz Michała poczęła się zamazywać i z coraz większym trudem Krysia mogła ją sobie wyobrazić. Tylko te patrzące na nią z ogniem oczy wciąż jarzyły się w mroku przeszłości. Oczy, w które nigdy już miała nie spojrzeć.

To właśnie w czasie świątecznej mszy wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, usiłując przywołać twarz ukochanego. Przysypiała już prawie, otumaniona dymem kadzideł unoszących się w powietrzu i melodyjnym głosem księdza, kiedy nagle poczuła, że skupia się na niej czyjeś spojrzenie. Otulona kożuchem, wyciągnęła głowę spomiędzy lisiego futra naszytego na kołnier, które zasłaniało jej widoczność i spojrzała prosto w małe, świdrujące oczka Olszewskiego siedzącego po przeciwnej stronie prezbiterium na ławkach przeznaczonych dla fundatorów kościoła i znaczniejszej szlachty, a stojących wzdłuż pod ścianami w bezpośredniej bliskości ołtarza.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami gwałtownie, a serce podskoczyło jej w piersi ze strachu, nie z ekscytacji, bo Olszewski nie mrugnął nawet. Jego źrenice były jak martwe; czarne, połyskliwe i nieruchome niczym lustro wody w głębokiej studni. Krysia miała wrażenie, jakby te oczy ślizgały się po całym jej ciele i docierały jednocześnie w jakieś najskrytsze zakątki duszy. Opuściła więc wzrok, ale i tak czuła, że mężczyzna wciąż się jej przypatruje. Kilka razy jeszcze ukradkiem zerkała na niego, ale za każdym razem natrafiała na zimną czerń spojrzenia.

Wychodząc z kościoła, czuła na plecach jego wzrok, zaś na karku oddech. Choć trzymała matkę pod rękę, to Olszewski szedł tuż za nimi z Podolskim, który opowiadał półgłosem coś, czego Krysia nie mogła zrozumieć, bo słowa zagłuszało szuranie butów i trzeszczenie zmarzniętego śniegu.

Stojąc teraz przed ojcem i matką, dziewczyna wiedziała, że to tamten dzień skierował na nią oczy Olszewskiego. I choć powinna się cieszyć, że bez żadnego zachodu znalazł się kandydat do jej ręki, co nie było takie oczywiste w czasach, gdy wciąż werbowano ochotników do armii Księstwa Warszawskiego, to ona odczuwała jedynie głęboką niechęć. Wpatrując się w oblicze ojca, rozumiała, że nie ma szans na zmianę swego losu. Ale kiedy poszukała wzrokiem spojrzenia matki, poczuła, jak rodzi się w niej niezgoda, jak zaczyna kipieć złość, może nawet głęboko skrywana nienawiść do tej kobiety, która całe życie usiłowała ją za wszelką cenę unieszczęśliwić.

Dotąd Krysia myślała, że taki już los kolejnego dziecka w rodzinie, zwłaszcza jeśli jest ono dziewczynką. Lecz dopiero gdy poznała Émilie i zobaczyła, jak troskliwie Francuzka zajmuje się córką, rozumiała, że nie wszystkie matki traktują swe dzieci w tak chłodny sposób. To dla Marie żona Antoniego przejechała całą Europę i wdała się w polityczne knowania polskich elit. Pragnęła odzyskać porwane dziecko, a jego dobro przedkładała nawet ponad miłość do Antoniego.

Krysia popatrzyła jeszcze raz matce w oczy. Tym razem nie opuściła wzroku, a łzy, które szklily

jej źrenice, gdzie wyparowały. Zacisnęła pięści.

– Stanie się według woli pana ojca – powiedziała cicho, acz stanowczo. Zwróciła się do Wincentego, lecz nie spuszczała wzroku z matki. Zaś w duchu dodała: „Niedoczekanie twoje”.

Spytała, czy to wszystko, a kiedy ojciec skinął głową i pozwolił jej odejść, spokojnie opuściła pomieszczenie. Dopiero gdy drzwi zamknęły się za nią, puściła się biegiem najpierw przez pokoje, potem przez sień i kuchnię na podwórze, a stamtąd do stajni, gdzie chwyciła uprzęż pierwszego z brzegu konia.

– Ej, ty! – krzyknęła do stajennego. – Pomóż mi!

Chłopak popatrzył na nią z rozdziawioną gębą, mimo to zaraz doskoczył do rumaka i usłużnie podstawił panience dłonie, żeby mogła wsiąść na oklep na koński grzbiet.

– Może osiodłam... – zaczął, lecz ona nie słuchała. Cmoknęła, ścisnęła boki zwierzęcia udami i ruszyła z zadartą do kolan suknią, z rozwianymi włosami przed siebie, na pola, do lasu i na koniec świata, gdzie mogła wykrzyknąć swój ból. A kiedy usiłowała się zatrzymać i uspokoić, stawało jej przed oczami duszy zimne, triumfujące spojrzenie matki i ten widok gnał ją dalej i dalej od domu.

## II

– Dość tego dobrego! – Chrapliwemu od wzbierającej w gardle flegmy głosowi towarzyszyło potężne chluśnięcie lodowatej, cuchnącej szlamem wody, która spadła na głowę Roberta. – Nie ma spania, wasza wysokość.

Odgłos odstawianego wiadra oraz śmiech równie obleśny co głos, a potem odkaslnięcie flegmy, były kolejnymi dźwiękami, które dobiegły do uszu Roberta. Mimo że próbował otworzyć oczy, to niewiele mógł zobaczyć, tak miał opuchnięte powieki. Jakikolwiek ruch powodował ból obitego, poranionego ciała, ale mężczyzna zacisnął szczęki i wygrzebał się z brudnej słomy pokrywającej podłogę wozu, na którym go wieziono. Sił starczyło mu tylko na to, by usiąść i oprzeć się plecami o deski. W głowie zaczęło mu się kręcić, a rechot kilku towarzyszy niedoli docierał do niego jak zza grubej ściany. Wkrótce został sam, bo reszta zeszła o własnych siłach z wozu, pobrzękując przy tym łańcuchami. Nie tylko poobijane kości mu doskwierały, ale też głód i pragnienie. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, jednak pozostali więźniowie nie wyglądali na takich, którzy by nic nie jedli. Jednakowoż skoro był głodny, znaczyło to, że nie jest z nim najgorzej.

– Rozłożył się i ani Boże mój się ruszyć – sarknął woźnica.

Dwóch strażników weszło na wóz i brutalnie ściągnęło z niego Roberta. Nogi się pod nim ugięły, lecz jeden z więźniów podparł go i obejmując kościstym ramieniem w pasie, nie pozwolił upaść. Nie było to łatwe, bo Robert należał do postawnych, silnych mężczyzn, a niespodziewany pomocnik raczej był chuchrem, które pod samym ciężarem kamrata mogło się złamać w trzech miejscach.

– Stój prosto, jegomość – szepnął mu do ucha chuchrak. – Jak padniesz, zostawią cię tu bez pomocy.

Chłodne marcowe powietrze otrzeźwiło go jak łyk mocnej gorzałki. Rozchełstana wełniana kurtka munduru, pod którą miał brudną i cuchnącą koszulę, choć zimowa, nie dawała wystarczającej ochrony przed chłodem. W półmroku unosiły się obłoki pary, która buchała z końskich pysków i z ust ludzi. Obraz zamazywał mu się wciąż przed oczami, jednak dostrzegł, że zatrzymali się na nocleg przy jakimś zajeździe. Dzień dobiegał końca, a on nawet nie wiedział, kiedy ten czas umknął pomiędzy jedną a drugą utratą przytomności.

Z pewnością zajazd nie był miejscem, gdzie mógł spotkać kogokolwiek, kto by mu pomógł. Widać było, że to przybytek posledniego rodzaju, z tych, co to możesz zanocować okryty własnym płaszczem z siodłem pod głową i zjeść podejrzanego autoramentu potrawkę, w której nie wiadomo, jakie pływa mięso.

Konie wypięto z wozu, zaś więźniów popędzono do stanu i przykuto do belek konstrukcyjnych. Rzucono im wiązki świeżego, pachnącego latem siana i jakąś derkę do okrycia.

– Panie, prosim o co do jedzenia – odezwał się chłopak, który wcześniej troskliwie podpierał Roberta. Pokornie zwiesił przy tym głowę.

Pilnujący ich strażnik zawrócił i stanął przed nimi.

– Nie dla siebie proszę, ale dla tego tutaj. – Młodzik wskazał brodą na Roberta, który dyszał ciężko i obserwował sytuację spod przymkniętych powiek. – Długo nie pociągnie, jak nie zadbamy

o niego, a z nieboszczykiem kłopot będziecie mieli, panie.

Żołnierz trącił stopą obutą w wysłużone buty wyciągnięte bezwładnie nogi Roberta. Jeszcze nie tak dawno tacy jak ten strażnicy pełzali u jego stóp. A teraz... Ciemność zaczęła się niebezpiecznie zbliżać i obejmować głowę Roberta.

– Nieboszczyk, powiadasz – sapnął strażnik.

– Gorączkę ma i słaby bardzo. Ledwie go tu przytaszczył. – Chłopak wyraźnie się ośmielił. – A taki wielki chłop...

– Zamilcz! – Strażnik uciał paplaninę i ruszył ku drzwiom.

– Do kroćset, serca wcale nie mają. Gorzej niż zwierzęta. – Młodziak mamrotał pod nosem.

– Zamknij się no tam! Spać nie da. Nie dość, żeśmy na głodniaka, to jeszcze ujada jak ten pies. – Jeden z pozostałych dwóch więźniów próbował uciszyć chłopaka, ale nie na wiele się to zdało. Ten bowiem dalej utyskiwał pod nosem, za nic mając niezadowolenie współtowarzyszy. Tamtych przykuto po przeciwnej stronie, więc nie mogli go uciszyć.

– Milcz – powiedział słabym głosem Robert. Wypowiedzenie jednego słowa kosztowało go tyle siły, że nawet nie otworzył oczu i nie podniósł głowy.

– Lepiej waści? – Chłopak nachylił się nad nim, ale odskoczył, kiedy dostrzegł wpatrzone w niego czarne źrenice ukryte w szparach pomiędzy opuchniętymi powiekami.

Na szczęście ktoś się jednak nad nimi zlitował, bo dostali po misce rzadkiej zupy, dzbanie polewki i po kawale chleba.

– Może byście mi łachmyty jedne podziękowali. Żeby nie ja, kolacji byście nie jedli – odszczeknął się młodziak, gdy strażnik zostawił ich w mroku z jedzeniem.

Nie doczekał się odpowiedzi, bo tamci, mlaszcząc głośno i siorbiąc, pożerali swoje porcje.

– Chamskie nasienie. Ot co! – podsumował chuchrak i wziął się za pałaszowanie swojej porcji, siorbiąc bodajże jeszcze głośniej od pozostałych dwóch więźniów. Przerwał jednak po chwili, kiedy jego kamrat się skrzywił. – Nie je jegomość, a powinien. Słaby będzie.

Chłopak miał rację. Żeby wyrwać się z tego bagna, Robert musiał odzyskać siły. Dlatego poruszył się i z rąk chudzielca wyjął kromkę, którą ten mu podał. Upił kilka łyków zupy i czym prędzej sięgnął po dzban, w którym był najpodlejszy płyn, jaki kiedykolwiek w życiu miał w ustach. Zapewne ten, kto to podawał, nazywał go piwem, ale roztwór ten bardziej przypominał wodę zaczerpniętą ze śmierdzącego mułem stawu. Robert opanował odruch wymiotny i przełknął kilka łyków. Oblizal spierzchnięte i opuchnięte wargi, po czym oparł głowę o ścianę. Choć żarcie było obrzydliwe, poczuł w żołądku przyjemny ciężar i ciepło rozchodzące się z niego po całym ciele. Musiał zjeść, zanim ten młody dorwie się do jego porcji. Jednak chłopak nie zjadł wszystkiego. Kawalek chleba wsadził sobie za pazuchę, myśląc, że towarzysz tego nie dostrzegł. Jedzenie chowa ten, kto ma zamiar uciec. Warto więc obserwować chłystka, bo może się przydać – pomyślał Robert.

Dokończył posiłek i niemrawo zaczął zagrzebywać się w sianie. Młodziak przysunął się do niego i narzucił na nich derkę.

– Z dała ode mnie – warknął Robert ostrzegawczo.

– Ciepłej nam będzie, jegomość – sapnął chłopak i obrócił się plecami do towarzysza niedoli, po czym wreszcie zamilkł.

Robertowi nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. Choć ledwie mógł się ruszyć, to ułożył się w możliwie najwygodniejszej pozycji i zapadł w niespokojny sen.

### III

– Co się dzieje, Christine? – Émilie od dłuższej chwili siedziała obok Krysi nad brzegiem stawu, na ławeczce wśród pokrytych pąkami pnączy okalających niewielką pergolę. Zdecydowanie było za zimno na spędzanie czasu w ogrodzie, gdzie od wody bił chłód. Mimo to Émilie nie poruszyła się.

Milczały obydwie od dobrych paru minut. Francuzka czekała cierpliwie, aż Krysia sama zechce powiedzieć, w czym rzecz, ale ta patrzyła tylko w mieniącą się w pierwszych ciepłych promieniach słońca taflę stawu i nie odzywała się ani słowem.

Dzień wcześniej Émilie przeprowadziła z mężem rozmowę, bo zauważyła, że dziewczyna, przeważnie i tak trzymająca się na uboczu, wycofała się jeszcze bardziej. Całymi dniami przesiadywała

nad stawem wpatrzona w lustro wody albo dosiadała konia i znikła pomiędzy drzewami drogi prowadzącej na pola należące do dworu.

– Krysia zawsze była trochę w cieniu. Nic jej nie jest. – Antoni wzruszył tylko ramionami i wrócił do podpisywania dokumentów rozłożonych przed nim na niewielkim biurku, które kazał sobie wstawić do pokoju zajmowanego przez niego i żonę.

Émilie podeszła do męża i oparła się biodrem o blat tuż obok jego boku. Nie mówiła nic, tylko czekała, splótszy ramiona na piersiach.

– Émilie, serce moje, przeszkadzasz. – Antoni podniósł głowę, ale nie odłożył pióra.

– I będę przeszkadzać, póki ze mną nie porozmawiasz.

– No dobrze. – Młody Podolski odchylił się na krześle. – Co z tą Krysią?

– Ty mi powiedz. Twoja matka i ojciec wezwali ją jakiś czas temu i od tego momentu ona nie jest sobą.

– Rzeczywiście. Przeprowadzili z nią rozmowę.

– Ha! Czyli mam rację!

– Émilie, moja siostra osiągnęła wiek, w którym należy jej znaleźć męża. – Antoni położył dłonie na biodrach żony i spojrzał jej w oczy. – Z tego, co mi wiadomo, Olszewski wyraził zainteresowanie...

– Co z tobą, Antoni? – Kobieta strzepnęła z siebie jego ręce gładzące ją po pośladkach. – Twoja siostra miałaby wyjść za tego obleśnego, spasionego...

– Ale majątnego i porządnego człowieka, właściciela sporego kawałka ziemi. – Wszedł jej w słowo.

– Nie! – Émilie odskoczyła od Antoniego i wyszła na środek pokoju. – Po prostu nie wierzę, że mówisz o tym z takim spokojem. Wiesz dobrze, przez co Krysia przeszła. Ona kochała Śniegockiego. A ty jakby nigdy nic...

Antoni podszedł do żony i chciał chwycić jej dłoń, ale ponownie go odrzuciła. Westchnął z rezygnacją.

– Émilie, minął ponad rok. Krysia ma niemal osiemnaście lat.

– Siedemnaście.

Antoni przewrócił oczami na tę uwagę żony, ale kontynuował.

– To dość czasu, żeby zrozumiała, że pora ruszyć z miejsca. Rodzice nie wydaliby jej za byle kogo. Olszewski to dobry gospodarz, szlachcic z rodziny z tradycjami. Porządny człowiek.

Émilie pokręciła głową. Wciąż nie mogła pojąć, jakim cudem jej Antoni, który złamał wszelkie reguły, by się z nią ożenić, może tak swobodnie mówić o małżeństwie z rozsądku swojej siostry, która nie miała i tak łatwego życia, mimo młodego wieku.

– Rozumiem, że nikt nie zapytał, czy jest gotowa. To, że twoja matka nie interesuje się Krysią, to akurat wiem. Choć nigdy nie zrozumiem, jak można chcieć unieszczęśliwić własne dziecko. – Émilie była tak wściekła, że wymachiwała rękami, aż Antoni bał się podejść blisko. Wreszcie stanęła przed mężem i dźgnęła go palcem w piersi. – Jednak po tobie nie spodziewałam się czegoś takiego.

– Émilie, powtarzam, że moja matka i my wszyscy działamy w najlepiej pojętym interesie Krysi.

– Nie pytając jej o zdanie.

– Kobieto, kto pytał ciebie, czy chcesz wyjść za Treillarda?! – Antoni wiedział, że przesadził, zanim ostatnie słowo opuściło jego usta.

Oczy Émilie zrobiły się okrągłe ze zdziwienia i oburzenia. Podolski chciał ją jakoś ułagodzić, więc dodał:

– Teraz jesteś dojrzałą kobietą i możesz naturalnie wyrażać swe opinie. – Chciał dodać, że tylko w czterech ścianach ich domu, jednak w porę się powstrzymał, widząc wojowniczo uniesiony podbródek Émilie. – Krysia jest młoda, naiwna...

– Dodaj jeszcze, że zbyt głupia, by wiedzieć, czego chce od życia – weszła mu w słowo. – Och, doprawdy, Antoni! – rzuciła jeszcze i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

To właśnie po tej rozmowie z Antonim Émilie postanowiła sama zająć się Krysią i dowiedzieć się, czy rzeczywiście czeka ją małżeństwo z kimś, kto budzi jej obrzydzenie. Na samo wspomnienie Olszewskiego wzdrygnęła się, bo wydawało jej się, że gdyby nie Antoni, to ten tłuszcioch rzuciłby się

na nią jak wygłodniały wilk na upatrzoną w stadzie owcę. Było w nim coś nieprzyjemnego, oślizgłego wręcz, co kazało Émilie obawiać się go bardziej niż wilka. Dlatego Francuzka poszła za młodą Podolską nad staw i przysiadła się do niej, gdy ta tkwiła tam pogrążona w myślach jak niemal każdego dnia od dłuższego czasu.

– Christine... – Émilie położyła swoją dłoń na zimnej dłoni dziewczyny. – Powiedz mi, co się dzieje. – Bratowa włożyła w te słowa całe swoje serce, całe ciepło i miłość do tej biednej, zahukanej istoty. Jednak Krysia wciąż milczała, mimo że po jej policzku spłynęła pojedyncza łza, która wymknęła się spod powieki, kiedy dziewczyna zamrugała. – Chodzi o Olszewskiego, prawda? – Émilie postanowiła za wszelką cenę zmusić Podolską do rozmowy. Człowiek pozbawiony możliwości wyrzucenia z siebie tego, co go trapi, zachowuje się jak kura, którą ktoś zagnał pod płot. Nie widzi, że poza płotem nie ogranicza jej z trzech stron kompletnie nic, że w każdej chwili może uciec. Mogłaby nawet użyć skrzydeł i wzlecieć, ale uderza ciągle w sztachety, aż padnie.

Krysia wreszcie zareagowała i wolno pokiwała głową, a po jej policzku spłynęła kolejna łza.

– Christine, porozmawiaj ze mną...

– To nie ma sensu, Émilie. – Nabrzmiały emocjami głos dziewczyny drżał. – To już postanowione. Rodzice wydadzą mnie za niego i nie ma tu o czym rozprawiać. Od początku chcieli znaleźć mi innego męża niż Michał i wreszcie matka dopięła swego.

– Jego już i tak nie ma. Bo wtedy serce by bardziej bolało... – zaczęła Émilie, ale Krysia spojrzała na nią z wyrzutem. – Tak, wiem. Olszewski jest straszny, lecz może nie miałaś okazji go poznać. Może nie jest najgorszy. – Émilie sama nie bardzo wierzyła w to, co mówi. Olszewskiemu po prostu źle z oczu patrzyło. Ale bardzo chciała dać dziewczynie nadzieję.

– Émilie, ja nigdy nie zapomnę o Michale. To był jedyny człowiek, który patrzył na mnie jak na żywą istotę. Ty wiesz, że gdybym nie chciała za niego wyjść, on nie wziąłby mnie wbrew mojej woli?

– Co ty opowiadasz, *chérie*? Przecież dla mnie i Antoniego jesteś...

– To nie to samo. Antoni nie sprzeciwi się woli rodziców. On też uważa, że to doskonały mariaż.

– Ale ja cię rozumiem i wspieram. Też kiedyś kochałam ojca Marie i nie wyobrażałam sobie spędzić życia z kimkolwiek innym. Tymczasem jeszcze zanim zginął, zaczynałam rozumieć, że to nie człowiek dla mnie. Byliśmy dziećmi, tyle że ja dojrzałam, a on nie. Wydawało mu się, że wojna jest czymś chwalebny, że w ten sposób coś zyska, lecz stracił życie. Potem pojawił się Antoni i zrozumiałam, że miłość wcale nie jest porywem serca, chwilowym zauroczeniem i nie polega na wylegiwaniu się całymi dniami na słonecznej łące. To nieustanna praca i poświęcenie dla drugiej osoby, dla której można dokonać niemożliwego.

– Jak ty dla Marie – uzupełniła Krysia, wpatrzywszy się znowu w powierzchnię stawu. – Wiesz, dlaczego tutaj tak często przychodzę?

Émilie pokręciła głową.

– Michał właśnie tu udowodnił, że gotowy jest za mnie zginąć. Wskoczył pod lód, który się pode mną załamał, wyratował mnie, a potem... Potem przysiągł mi miłość. Gdyby nie on, nie byłoby Antoniego u twego boku. Jak mogę zapomnieć o Michale, skoro każdego dnia patrzę na was, wiedząc, że jesteście razem dzięki niemu. – Ostatnie zdanie Krysia wypowiedziała już ze szlochem, który wstrząsnął nią i wycisnął z jej oczu łzy.

– Masz rację. Nigdy nie zapomnimy z Antonim, komu zawdzięczamy nasz spokój. Ale ty też nie powinnaś się zamykać na szczęście. Jesteś taka młodzianka, Christine. Całe życie przed tobą.

Krysia znowu zapatrzyła się na wodę.

– Moje życie skończyło się na polu bitwy tamtego czerwcowego dnia. Nie mam dość odwagi, żeby odejść...

– Boże, co też ty wygadujesz, dziewczyno?! Popatrz na mnie. Straciłam męża, a potem wyszłam za Treillarda. Jedno moje dziecko zmarło, drugie zostało porwane. Ale nigdy, nawet kiedy uciekałam z obozu pod Pułtuskim, kiedy prawie przyplącałam to życie, nie zwątpiłam. Tylko nadzieja, że uda mi się uratować Marie, trzymała mnie przy zdrowych zmysłach.

– No właśnie. Miałaś Marie. Potem pomógł ci Antoni. Ja nie mam już nikogo...

– Masz mnie! – Émilie powiedziała to stanowczo i zdała sobie sprawę, że zrobi wszystko,



by Krysia nie podzieliła jej losu i nie wpadła w łapy człowieka, który ją skrzywdzi. Żona Antoniego zobaczyła w tym niewinnym dziewczęciu siebie sprzed lat. W jednej chwili podjęła decyzję, że bez względu na wszystko, musi pomóc szwagierce.

– Émilie... – Oczy Krysi błyszczały, a wyzierał z nich taki smutek, że przypominały bezdenne studnie. – Rodzice wydadzą mnie za Olszewskiego i zamieszkać w Olszewie. Kto wie, czy będziemy mogły się spotykać. Zresztą niewiele i tak mogłybyśmy wskórać. Nie zmienimy decyzji ojca i matki. Antoni też im przyklaskuje. Nie mam wyjścia...

– I tu się mylisz! – Émilie przerwała te utyskiwania Krysi, bo właśnie spłynęło na nią olśnienie. – Wyjście jest zawsze. A ja już chyba wiem, jak ci pomóc. Tylko musimy poczekać odpowiedniej chwili.

Krysia uśmiechnęła się smutno. Nie wyglądała na przekonaną, jednak Francuzki to nie zniechęcało. Idea, która zaświtała w jej głowie, wymagała dopracowania, ale mogła uratować Krysię. Potrzebowały tylko czasu i sposobności. Należało w pierwszej kolejności dowiedzieć się, kiedy Olszewski i Podolscy zamierzają zorganizować ślub, a potem obmyślić resztę.

#### IV

Olszewski pojawił się w Podolanach dopiero w okolicach Wielkanocy. Zajechał swoim nowiutkim, krytym powozem przed ganek dworu, wcześniej okrążywszy klomb, na którym pojawiły się już pierwsze wiosenne kwiaty, choć ledwie dwa dni wcześniej sypał delikatny śnieg, a i przymrozek ściał powierzchnię stawu. Dwa czarne ogiery dumnie potrząsały grzywami, gdy powóz wyhamował przed wejściem. Była to wizyta zaplanowana i wyczekiwana przez Podolskich. Krysia wreszcie pogodziła się z losem i postanowiła dać szansę kandydatowi na męża. Sama liczyła niemal osiemnaście wiosen, a Olszewski był od niej starszy o ponad dziesięć lat, więc nie znali się ani ze szlichtad<sup>[1]</sup> organizowanych zimą, ani z innych spotkań młodzieży. Wiedziała o nim tylko tyle, ile mogła usłyszeć od rodziców, szepczącej po kątach służby oraz Antoniego, a i on za wiele do powiedzenia nie miał, bo rodzina Olszewskich miała się za najlepszą w okolicy, dlatego zawsze utrzymywała dystans. Tym bardziej sama była ciekawa tego milczącego i chłodnego mężczyzny z wyniosłą miną, lustrującego ją w czasie nabożeństw.

Ubrana była w jasną suknię z małymi bufkami i obcisłymi rękawami, przepasaną pod piersiami różową wstążką, którą za namową Émilie zamówiono w mieście razem z kilkoma innymi. Matka orzekła, że to nadmierna rozrzutność, w dodatku zbędna, bo skoro Olszewski już był się zainteresował Krysią, to nie ma sensu trwonić pieniędzy na jej ubiory. Émilie jednak pozostała nieustępliwa i dotąd przekonywała Mariannę Podolską, aż wreszcie ta ustąpiła. Choć mimo wszystko koronnym argumentem były słowa Wincentego i obietnica Émilie, że pokryje część wydatków, by Krysia prezentowała się zachwycająco. I rzeczywiście efekt był oszałamiający. Upięte luźno, gęste, falujące włosy dziewczyny nadawały jej rumianej twarzyczce powabu dorosłej kobiety.

– Cerę i tak ma jak chłopka – sarknęła Marianna Podolska, widząc córkę w nowej sukience i fryzurze wykonanej według aktualnej mody, zgodnie z katalogami, które zamówiła Émilie specjalnie w celu przygotowania szwagierki.

Skóra Krysi nabrała ciemniejszego odcienia od długiego przebywania na powietrzu, ale to tylko dodawało jej uroku, bo bladość po zimie nie wyglądałaby dobrze przy jasnych sukienkach.

Émilie, mimo narzekań Podolskiej, i tak była dumna z efektu, jaki udało im się osiągnąć bez pomocy specjalistek od fryzur i krawcowych, choć młoda Podolska nie podzielała tych zachwytów bratowej. Nie zależało jej na wzbudzeniu uczuć Olszewskiego, wręcz miała nadzieję, że jakimś cudem zrezygnuje z powziętych wobec niej zamiarów. Jednak już przy powitaniu nadzieje okazały się płonne, bo zauważalnie zmylił krok, gdy jego wzrok padł na jej otuloną delikatnym szalem sylwetkę. Émilie uściśliła jej dłoń, a Wincenty Podolski i Antoni w pierwszej kolejności zaczęli wylewnie witać gościa. Leosia, daleka kuzynka, która zamieszkała we dworze po śmierci swojego narzeczonego i uczyła Krysię, wzdychała tylko, stojąc za kolumną podpierającą ganek. Natomiast babka Barbara, która poruszała się z coraz większym trudem i bardziej przypominała zasuszoną, sękatą gałąź niż dawną wysoką kobietę, pozwoliła się łaskawie pokłonić gościowi.

Wreszcie poproszono go do stołu, gdzie czekała najlepsza zastawa i przepiękna dekoracja wetami<sup>[2]</sup>, udająca ogromny bukiet. Małgorzata przebierała już nogami w kuchni, byle zacząć wydawać

wystawny posiłek złożony z wielu dań.

Krysię posadzono naturalnie obok Olszewskiego. Starła się zachować dystans i pod żadnym pozorem nawet nie zerknąć na potencjalnego narzeczonego, jednak mężczyzna podawał jej w trakcie posiłku naczynia z jedzeniem, więc w końcu musiała się do niego odezwać, a nie wypadało odwracać wtedy wzroku. Oczy jego nadal pozostały puste i zimne, jednak Krysia miała wrażenie, że czaił się w nich również triumf i wyższość.

– Jak pan znajdujesz sytuację w tem nowo utworzonym naszym księstwie? – Ojciec zagadnął gościa bardziej chyba, żeby uniknąć niezręcznej ciszy, niż by faktycznie roztrząsać sprawy państwowe.

– Ciężarów przybywa, a doprawdy minister wojny uważa, że z naszej kiesy utworzy sobie armię większą niż ta Napoleona. – Olszewski wepchnął sobie do ust po tych słowach potężny kawał mięsa, który potem spokojnie przeżuwał, kiedy pozostali biesiadnicy czekali, aż dokończy zaczętą myśl. Jednak gość się nie spieszył i przełknąwszy, wziął kolejny kęs.

– Bez wojska trudno utrzymać państwowość i zadbać o własne granice. Mówią, że Austriacy czekają tylko na dogodny moment, a i pruski król nie powiedział ostatniego słowa. – Widać było, że Antoni powstrzymuje się, by czego niegrzecznego nie powiedzieć, bo zacisnął dłoń na sztuczu. Krysia dostrzegła, że Émilie kojącym gestem dotknęła rękawa surduta męża, na co jego dłoń, jak na komendę, nieco się rozluźniła.

– Niech więc imć książę z własnej kiesy sfinansuje wojsko. – Olszewski zaśmiał się krótko i upił łyk najlepszego miodu z piwniczki Podolskich.

– Książę nawet pensji własnej nie pobiera.

– Pobiera czy nie. Kto to sprawdzi. O jego wyczynach krążą legendy. Oszczędności próżno szukać w wystawnych balach, pałacach, powozach. Bywałem w Warszawie i sam widziałem, jak paradnymi powozami gna na łeb na szyję po ulicach. Ledwie co ludzie zdążą mu uciec z drogi. – W głosie Olszewskiego pobrzmiwała pogarda. Odstawił naczynie z miodem na stół. – Zresztą za Prusaka porządek chociaż był. Teraz nie wiadomo, kto tu rządzi. Ministrów się narobiło. Każden by ścigał tylko podatki.

– Państwo musi się dźwignąć własnymi, naszymi siłami... – Antoni chciał oponować, ale Olszewski mu przerwał.

– Napoleon chciał mieć księstwo, to winien zapłacić tym wszystkim darmożjadom. Książę Poniatowski do niedawna wcale o państwowość nie dbał. Teraz wielkiego patriotę gra, a jeszcze rok, dwa lata temu żył fetami i kobietami. Do tej pory zresztą się nie ożenił.

Krysia, gdyby mogła, powiedziałaaby, że Olszewski też specjalnie z ożenkiem się nie spieszył. Ba, sam jego patriotyzm ograniczał się do opowieści o wyczynach przodków oraz śmierci ojca ponoć na polu bitwy, a także do wspomnień o matce, która odeszła z żalu po ojcu. Dziewczyna milczała jednak, taktownie opuściwszy wzrok na talerz. Ale Émilie, z powodu której Antoni ile zdołał, tyle tłumaczył na francuski, bo gość niezbyt sprawnie posługiwał się tym językiem, nie wytrzymała.

– Antoni, powiedz mu, że ożenek nie podnosi wartości człowieka. Tak samo zresztą jak jego przodkowie i ich zasługi.

Młody Podolski uśmiechnął się pod wąsem i odparł żonie po francusku:

– Wiesz, że tego powiedzieć nie mogę, moja droga.

– Szkoda – rzuciła po polsku Émilie, a Antoni ledwie stłumił śmiech.

– Czegóż tak szkoda pani? – zainteresował się Olszewski. W jego oku pojawił się jakiś ostrzegawczy błysk, mgnienie trwający, który kazał się Krysi zastanowić, czy aby na pewno nie jest biegły we francuskim.

– Moja żona żałuje, że nie może ponownie pojechać do Warszawy, bo miała tam okazję poznać jego wysokość księcia Poniatowskiego. Zrobił na niej wrażenie rozsądnego człowieka, który kieruje się dobrem państwa, nie własnym.

– Ostatnia idea księcia nie przypadła do gustu naszym sąsiadom – odezwał się Wincenty Podolski. – Słyszał pan, panie Olszewski, o tej propozycji? Żeby posady wójtów dawać chłopom zamiast szlachcie?

– Jeszcze tego było brak! – Olszewski uderzył ręką uzbrojoną w sztuciec o blat stołu,

aż zadzwoniła zastawa. – Całkiem już się w głowach poprzewala i może do rządu się brać będą chamy.

Krysia mimowolnie podskoczyła i serce jej zabiło żywiej. Zerknęła spod rzęs na Émilie. Ta przewróciła oczami.

Na szczęście podano kolejne danie i rozmowa zesłała na bezpieczniejsze tematy, a potem ojciec zaprosił wszystkich na obchód majątku i wreszcie na kosztowanie nalewek, z których słynęły Podolany. Nim to jednak nastąpiło, Olszewski podał swe ramię Krysi, która ponownie poczuła silne uderzenie strachu, aż zabrakło jej tchu. Odwagi dodał jej ciepły uśmiech Émilie, zaś zimne spojrzenie matki sprawiło, że chwyciła, może nieco zbyt gwałtownie, ramię Olszewskiego. Oczywiście Marianna Podolska szła z Antonim, a Wincenty, szeroko rozkładając ręce, zaprosił Émilie. Tak dobrani w pary ruszyli przez park ku ogrodom warzywnym i sadowi, by na koniec zejść do budynków gospodarczych.

Krysia zrazu milczała. Nie wypadało jej nawiązywać konwersacji, z czego bardzo się cieszyła, bo i o czym miała rozmawiać ze swoim konkurentem. Kiedy pozostali domownicy oddalili się nieco od nich, jakby umyślnie, Olszewski wreszcie odchrząknął i zagaił.

– Jak miemam, panna jest poinformowana o moich zamiarach względem panny.

– Rodzice przekazali mi tę wiadomość w ostatnich dniach – wyszeptła Krysia z nerwów ledwie słyszalnym głosem. Uderzyło ją przede wszystkim, że nazywa ją panną. Nie użył nawet jej imienia. Jakby mu przez gardło nie chciało przejść. Słowo „panna” podzwaniało jej w uszach obcością.

– Musi więc panna wiedzieć, jaka odpowiedzialność się z tym wiąże. Zostanie panna w końcu moją żoną, matką moich dzieci.

W tym miejscu Krysia wzdrygnęła się na samą myśl, że miękka, spocona dłoń o niezbyt czystych paznokciach miałaby dotykać jej skóry. Aktu mającego doprowadzić do powstania rzeczonych dzieci wolała nawet sobie nie wyobrażać.

– Nasz ród może poszczycić się osobnikami zdrowymi na ciele oraz umyśle i mam nadzieję, że panna urodzi zdrowych dziedziców mojego majątku.

– Zrobię, co w mej mocy – wybąkała Krysia.

– Nie potrzeba pannie wiedzieć, jakim majątkiem dysponuję, jednakowoż pragnę nadmienić, że nie jest on mały, ale nie oznacza to, jakobym pragnął zmitrężyć pracę wielu pokoleń Olszewskich na zachcianki, podążanie za modami i wojaże panny.

Krysia nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć mężczyźnie, bo w jego głosie pobrzmiwał już teraz wyrzut, jakby zdążyła cokolwiek wydać z jego pieniędzy albo jakby wspomniała cokolwiek na ten temat. Prawda jednak była taka, że wolała Śniegockiego bez majątku niż majątek Olszewskich z ich jedynym dziedzicem jako dodatkiem.

– Nie śmiałybym nawet... – zaczęła Krysia.

– Nie wątpię – przerwał jej przyszyły narzeczony.

– Co do gustów moich i upodobań oraz w kwestiach wymagań związanych z prowadzeniem domu, spisałem wszystko. Dla wiedzy panny przekazuję. – Tu mężczyzna wyjął zza pazuchy złożoną we czworo kartę i podał ją Krysi, która niepewnie ją wzięła i stała z nią, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Tęsknie zerknęła na rozpościerający się przed nią sad i zapragnęła nagle popędzić w dół ścieżką wiodącą szpalerem porzeczek i innych krzewów owocowych ku źródłom zasilającym stawy – dworski i wiejski. Jednak jej wzrok napotkał spojrzenie zimnych czarnych oczu, z których wyzierała niecierpliwość.

– Niech panna czem prędzej zapozna się z wymaganiami. To ułatwi nam współżycie i pozwoli uniknąć przez pannę błędów mogących zaważyć na moim samopoczuciu.

– Do usług pana – szepnęła Krysia.

Olszewski podał jej ponownie ramię i ruszyli wolno ku alei wiodącej przez sad.

– Czy ja bym mogła przedstawić swoje oczekiwania? – Krysia zaczęła nieśmiało, ale nie zadała właściwego pytania, bo Olszewski wyhamował i odsunął się od niej, żeby z dystansu przyjrzeć się jej poblądłej twarzy.

– Chyba panna raczej żartować! – Widać był oburzony, bo poczerwieniały mu krągłe policzki. – Czegóż może oczekiwać przyszła żona najmajętniejszego szlachcica w okolicy? Splendor, który spadnie na pannę, to za mało? Wymagać czegokolwiek w sytuacji, gdy jest się zależnym... Doprawdy ma panna

tupet, o który bym nie posądzał córki Podolskich.

Krysia opuściła głowę. Miała wrażenie, że z każdym słowem Olszewskiego na jej plecy wylewa się kolejna porcja lodowatej wody. Z jednej strony czuła się okropnie, łajana tak na widoku wszystkich, a zwłaszcza pod czujnym spojrzeniem matki, która widać zauważyła, że coś się dzieje, bo ruszyła razem z Antonim w ich kierunku. Z drugiej strony na dnie duszy pojawiła się isierka nadziei, że przez takie słowa może zniechęcić do siebie natrętnego konkurenta. Jednak czuła, że nie znajdzie w sobie dość siły, by przeciwstawić się komukolwiek, zwłaszcza matce. W tym momencie miała przemożną ochotę, by odwrócić się i uciec od tych wszystkich ludzi, wskoczyć na grzbiet konia i pogalopować przed siebie, a jeszcze lepiej – przestać istnieć. Skuliła się w sobie jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to możliwe.

Tymczasem Olszewski wciąż na nią fukał, powtarzając, że żona winna mężowi posłuszeństwo i nie po to ją właśnie wybrał na połówicę, by sprawiała mu od samego początku kłopoty i wysuwała niepoważne roszczenia.

Na szczęście dla Krysi nadeszli pozostali spacerowicze, którzy odwrócili uwagę Olszewskiego od dziewczyny.

– Krysiu, jesteś jakaś blada. – Émilie natychmiast zauważyła, że dzieje się coś złego.

Matka popatrywała czujnie, natomiast Antoni miał marsową minę. Młoda Podolska zorientowała się, że musiał usłyszeć część tyrady Olszewskiego, i zadrżała. Gdyby jeszcze Émilie zrozumiała, dlaczego Krysia wyglądała jak z krzyża zdjęta, to mogłoby to wszystko skończyć się jakąś awanturą. Z nich dwojga to Antoni był bardziej opanowany, a i on widać miał zamiar stanąć w obronie siostry. Krysia jednak nie dała mu dojść do słowa.

– Przepraszam, ale dziś tyle emocji, że poczułam się słabo.

– I do tego panna słabuje – zareagował natychmiast Olszewski. – Mnie potrzebna silna niewiasta, coby zdrowych Olszewskich mogła rodzić.

Krysia dostrzegła zaciśniętą pięść Antoniego i zdziwienie w oczach nierozumiejącej nic Émilie.

– Jeszcze się pan nie oświadczył, a już myślisz o dziedzicach – wysyczał brat przez zęby. – Nadto nieprzystojna to rzecz wspominać takie sprawy przy panie.

– Przystojna czy nie, nie dbam o to. Za to umiem zadbać o interes rodu.

Krysia, coraz bardziej przerażona, usiłowała znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, by nie dopuścić do rodzinnej awantury.

– Émilie, czy możesz mnie odprowadzić do mojego pokoju? – zwróciła się do bratowej po francusku, co na chwilę odwróciło uwagę zebranych od źródła konfliktu. Następnie już po polsku powiedziała do Olszewskiego:

– Nie czuję się najlepiej. Proszę mi wybaczyć tę niedyspozycję, drogi panie. – Ukłoniła się unieźnienie. – Antoni, dziękuję ci za troskę, ale sądzę, że pan Olszewski zechce jeszcze dotrzymać towarzystwa ojcu przy oglądaniu reszty gospodarstwa.

– Oczywiście, zaprowadzę pana – podchwycił milczący Wincenty, gestem wskazując gościowi drogę.

Konkurent skinął tylko kobietom głową od niechcienia i ruszył z pozostałymi ku budynkom gospodarczym. Matka rzuciła Krysi na pożegnanie nienawistne spojrzenie, ale mimo to dziewczyna wreszcie mogła odetchnąć.

– Czego tego gbur od ciebie chciał? – Émilie wzrokiem odprowadzała towarzystwo.

– Nic wielkiego. Przygotował listę wymagań...

– Wymagań? – Émilie obróciła się tak szybko ku Krysi, że aż zafurkotał dół jej sukni. – Ten wieprz ma czelność mieć jakieś wymagania? Powinien dziękować Bogu, że Podolscy uważają go za godnego twojej ręki. Jak dla mnie to zwykły prostak.

– Uspokój się, Émilie, proszę. – Krysia z bojaźnią spojrzała w stronę oddalających się gości. Nie mogli jej usłyszeć, a nawet gdyby słyszeli, to Olszewski raczej niewiele by zrozumiał, bo mówiły po francusku. Mimo to wolała zachować czujność. – Lepiej chodźmy już do domu.

Na szczęście bratowa jej posłuchała i ruszyły aleją wspinającą się pod górkę w stronę dworu.

V

Szczęk metalu roznosił się w ciepłym wiosennym powietrzu, odbijał od ścian budynków

otaczających dworskie podwórze i wibrował w uszach. Krysia stojąca w drzwiach stajni przyglądała się, jak Antoni walczy z jednym ze swych ludzi, którzy wrócili do dworu po tym, jak chwilowo ucichły wojenne werble i Napoleon wycofywał swe siły z terenów nowo utworzonego Księstwa Warszawskiego. Mężczyźni wzbijali tumany kurzu, wirując jak w tańcu. Co i raz z piersi którego wyrwał się okrzyk, gdy nacierał. Ich koszule, białe, wyciągnięte ze spodni w ferworze walki, powiewały niczym flagi, a oni spoceni i poczerwieniali z wysiłku wciąż wymachiwali szablami, bezskutecznie usiłując ugodzić przeciwnika.

Oczywiście nie walczyli naprawdę. Nikomu nie mogło się nic stać, jeden drugiego by nie zranił, jednak Krysi i tak szybciej biło serce. Kiedyś oglądała, jak ojciec i Ignacy, jego stary sługa i towarzysz broni, walczą w taki sam sposób. Niezadowolonej matce wtedy Wincenty tłumaczył, że czasy niespokojne i trzeba być przygotowanym, a nieużywana szabla łatwo może zardzewieć. W to ostatnie akurat Krysia nie wierzyła, bo ojciec o broń dbał, a Ignacy nieustannie czyścił wszystkie szable znajdujące się w domu, o strzelbach nie wspominając.

– Chciałby i ja tak kiedy wojować – szepnęła chłopak stajenny za plecami Krysi.

– Głupot nie opowiadaj, Jędrzek – zganiła go dziewczyna. – Wojna to nie pojedynki jak ten tu, kiedy najwyżej jeden drugiemu może kości obić, a żadnemu włos z głowy nie spadnie. Imć Śniegockiego pamiętasz. – Głos Krysi zdrzął ledwie zauważalnie. – Wiesz, że życie położył w tej wojnie jak wielu od nas. Nie wiadomo nawet, gdzie spoczęli. Ciesz się, żeś młody, bo i ty byś tu może dziś nie stał.

– Proszę o wybaczenie panienki – bąknął chłopak i zniknął w czeluściach stajni.

Krysia pokręciła głową. Skąd się w mężczyznach bierze ta chęć do walki? Skąd ta żądza, by zabijać? Przecież zdają sobie sprawę, że śmierć przechadza się w szeregach armii i nie baczy na to, jakie kto ma zasługi czy doświadczenie. Bierze życie raz z jednej, raz z drugiej strony, jakby ślepa była i po omacku zbierała swą własną armię. A im kto odważniejszy, im kto bardziej butny, tym chętniej go do siebie zabiera.

Nagle dziewczyna dostrzegła, jak szabla, którą Antoni wytrącił z rąk przeciwnika, szybuje w jej kierunku. Na szczęście upadła w piach podwórza. Krysia jak we śnie podeszła do broni, uchwyciła jej ciepłą jeszcze i wilgotną od potu walczącego szeroką rękojeść i pewnym ruchem podniosła z ziemi.

– Nie zrób sobie krzywdy, siostró – zawołał Antoni, a jego przeciwnik podszedł do niej.

Krysia ważyła w dłoni szablę i ze zdziwieniem zauważyła, że wcale nie jest tak ciężka, jak mogło się to wydawać. Ostrze było wyklepane cienko, by ciąć bez wahania. Miała ochotę zamachnąć się, ale żołnierz wyciągnął rękę po broń.

– Niech się panienka nie skaleczy.

Krysia podała szablę żołnierzowi, a ten mocno ścisnął rękojeść i wrócił do Antoniego. Dziewczyna obserwowała ich nadal. Podziwiała precyzję ruchów, szybkość i spostrzegawczość. Z daleka wyglądało to, jakby wszystkie uderzenia były starannie wyćwiczone, zaś każda odpowiedź zaplanowana. Tak jak tancerze dobrze wiedzą, w jakim kierunku i kiedy postawić stopę, w którą stronę odwrócić głowę czy też gdzie przenieść ciężar ciała, tak walczący byli idealnie zsynchronizowani. Jeden błąd, drobna pomyłka mogły przecież kosztować życie, a w najlepszym przypadku utratę ucha bądź głęboką ranę.

Jeszcze chwilę walczyli, aż brat dał znak i opuścili broń. Żołnierz skinął głową i odszedł w stronę zabudowań gospodarczych. Krysia poszła za nim.

– Naucz mnie tego – powiedziała, dogoniwszy go, kiedy zniknęli z oczu Antoniego za rogiem budynku.

Mężczyzna drgnął i odwrócił się tak gwałtownie, że Krysia prawie na niego wpadła. Wcześniej nie zauważył skradającej się za nim dziewczyny.

– Co też panienka opowiada. Toć panicz Antoni by mnie kazał za końmi wlec, gdybym ja pozwolił panience do ręki szablę wziąć.

Młoda Podolska obejrzała się za siebie na dźwięk imienia brata, ale nikogo nie zauważyła. Odetchnęła.

– Antoni ani nikt z rodziny się nie dowie. Znajdziem ustronne miejsce i będziesz mnie uczył. Teraz to mężczyzna rozejrzał się z bojaźnią wokół siebie.

– Po pierwsze, panienska w sukni zapłaczę się i jeszcze sama sobie narobi krzywdy. Po drugie, gdzie paniencie z szablą się uganiać...

– Strój dopasuję sobie męski. Pokaż mi, co mam robić. Jeśli okażę się niezdatna do tego, zrezygnuję sama.

Wojak westchnął ciężko i podrapał się po zmierzwionych włosach.

– Nikt się nie dowie – zapewniła jeszcze raz gorliwie. – Jeden tylko raz – dodała, kiedy widoczne w spojrzeniu żołnierza wahanie nie zniknęło.

– Jutro z samego ranka za stajnię. Pokaże mi panienska to miejsce, gdzie nikt nas nie zobaczy.

Krysi oczy się zaświeciły, ale zachowała spokój, choć miała ochotę rzucić się na szyję mężczyźnie i podziękować za obietnicę udzielenia lekcji.

Następnego dnia, zgodnie z umową, wdziała na siebie męski strój, który dzień wcześniej wyprosiła od Jędrka, chłopca pomagającego w stajni i we dworze. A że nie była ani specjalnie rosła, ani tym bardziej nadto mocno zbudowana, to i chłopięcy ubiór piętnastolatka leżał na niej jak ulał. Dla pewności zabrała z sieni czapkę, pod którą wsunęła ciasno splecione warkocze. W pasie ścisnęła się sznurem, coby strój lepiej leżał, i już była gotowa. Przemykając do kuchennego wyjścia, natknęła się jednak na Émilie.

– Coś za jeden? – zakrzyknęła Francuzka, kiedy Krysi na nią wpadła.

– Ciii, na Boga, Émilie – wyszeptęła Krysi, podnosząc głowę, by bratowa mogła dostrzec jej twarz w szarości poranka, który ledwie się tlił za oknami dworu.

– Krysi? Co ty tu robisz o tej porze? – zapytała Émilie, tym razem ciszej. – Co ma znaczyć ta maskarada?

Dziewczyna walczyła ze sobą, czy powiedzieć bratowej prawdę, jednak ostatecznie uznała, że Émilie jest jedyną osobą, której może zaufać. Chwilę nasłuchiwała jeszcze dla pewności, czy nikt nie czai się gdzieś pod drzwiami, po czym wyjaśniła żonie Antoniego, dokąd chce się udać. Émilie zamrugęła szybko i przyjrzała się Krysi, jakby ją widziała po raz pierwszy.

– Tylko błagam, nie zdradź nikomu mojej tajemnicy. A teraz także tajemnicy imię Załuskiego, który byłby surowo ukarany, gdyby rzecz się wydała.

– Krysiu, czy ty wiesz, co robisz? Przecież z bronią nietrudno o wypadek. A pomyślałaś, co będzie, jeśli ktoś to odkryje?

– Dlatego nikt nie może się dowiedzieć.

– Ale skąd taki pomysł? – Żona Antoniego wciąż popatrywała na Krysię z niedowierzaniem.

– Kiedy galopuję konno po naszych polach, czuję ulgę. Ulatuje ze mnie gdzieś ten cały ból – powiedziała cicho Krysi, wpatrując się w okno, za którym budził się dzień. – Wczoraj miałam okazję chwycić szablę. Wcześniej obserwowałam, jak Antoni i Załuski walczą. Obydwaj opadli w końcu z sił. Dla nich to to samo, co dla mnie szaleńcza galopada. Myśli zostawiam daleko za sobą, a zanim mnie one dogonią, jestem spokojna. Przynajmniej przez krótką chwilę. Dźgając płótno igłą, odczuwam podwójnie własną bezsilność. Wtedy złe myśli, wspomnienia są jak stado kruków, co opadają na konające zwierzę i dziobią bez litości. – Dziewczyna spojrzała w oczy Émilie. – Chcę uciec od tego, co było i od tego, co mnie czeka. Skupić myśli na czymś innym, zapanować nad własnym ciałem, bo nad przyszłością panować nie mogę.

– Rozumiem cię, ale nie pochwalam tego, co robisz. – Émilie pokiwała głową i dodała: – Jednak gdyby to się wydało... Olszewski raczej nie byłby zachwycony.

Krysi uśmiechnęła się blado.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby się dowiedział. Może wtedy zrezygnowałby z planów małżeńskich, które dla mnie są jak wyrok.

– Żebyś mogła ci pomóc, musimy na razie działać zgodnie z tym, czego chce twoja rodzina. Jeśli wywołasz skandal, to zaszkodzi naszym planom.

– Wiem, Émilie, choć nie wierzę, że cokolwiek jest w stanie mnie uratować przed losem, który szykuje mi moja rodzina – odrzekła z powątpiewaniem Krysi.

– Uda nam się. A w tym stroju podsunęłaś mi nowy pomysł. – Émilie uśmiechnęła się tajemniczo.

– Antoni i Załuski chcą sformować oddział. Francuzów coraz mniej w Księstwie, więc w Warszawie

garnizon zaczyna świecić pustkami.

– Muszę się spieszyć, żeby Załuski się nie rozmyślił albo nie wyjechał. Nie umknę z łap Olszewskiego, bo co wspólnego ma mój los z oddziałami w Warszawie?

Émilie uśmiechnęła się chytrze.

– Idź, a ja ci mówię, że wyciągnę cię z tego. Wszystkiego dowiesz się wkrótce.

Krysia pożegnała się z bratową i wyszła na zewnątrz kuchennym wyjściem prosto w wilgotny, mglisty świt, nie próbując nawet dochodzić, co miała na myśli Émilie.

## ROZDZIAŁ II

### I

– Christine, obudź się, proszę.

Uporczywy szept nie pozwalał Krysi odpłynąć w sen. Miała zamiar obrócić się na drugi bok i zakopać w rozgrzanej od snów pościeli, a raczej wtulić się w ramiona Michała, który jej się śnił od czasu do czasu, ale coraz mniej wyraźnie. Jednak głos wciąż dobijał się do jej podświadomości.

– Musisz wstać. Mamy mało czasu.

Ten, kto ją budził, szarpnął ją delikatnie za ramię, więc Krysia uchyliła jedno oko, żeby dojść do wniosku, że po pierwsze, wciąż jest noc, a po drugie, to Émilie nie daje jej spać. Poznała ją wyłącznie po głosie, bo w półmroku ledwie mogła dostrzec zarys sylwetki. Krysia wyciągnęła skulone dotąd ciało i wygrzebała się spomiędzy pościeli.

– O co chodzi? – zapytała, ziewając.

– Już czas. Musimy być cicho. Wstań i załóż ten męski strój.

Dziewczyna usiadła na łóżku i natychmiast otrzeźwiała. Owszem, planowały z Émilie, że pewnego dnia uciekną przed małżeństwem z Olszewskim, ale nie sądziła, że w końcu dojdzie do tego naprawdę. Co innego snuć wizje ucieczki, a co innego faktycznie dać nogę. Francuzka miała w tym doświadczenie. Podróżowała nieraz samotnie, uciekając przed mężem, a potem też przed Antonim. Jednak Krysia nigdy nie postawiła stopy poza granicami posiadłości. Oczywiście nie licząc krótkich wycieczek konnych, ale wszystko to w najbliższej, bezpiecznej okolicy. Tymczasem, żeby ucieczka się powiodła, musiała według pomysłu Émilie uciec aż do Warszawy. Serce Krysi natychmiast przyspieszyło, a dłonie zwilgotniały.

– Ale jest środek nocy – wyszeptwała, choć gardło miała ściśnięte strachem.

– Niebawem będzie świtało. Oddział już się zbiera. Musisz wyruszyć razem z nimi.

– Ale przecież oni mnie ze sobą nie zabiorą. – Krysia nadal nie mogła zrozumieć, o co dokładnie chodzi bratowej.

– Ciebie nie, ale młodego mężczyznę, który chce dołączyć do oddziału, zabiorą bez dwóch zdań.

Dziewczyna zamrugnęła nerwowo.

– Jak to?

– Założysz to męskie ubranie, w którym uczył cię Załuski.

– On mnie pozna, jeśli tylko mnie zobaczy. Tym bardziej Antoni...

– A kto powiedział, że Antoni jedzie z oddziałem? – weszła jej w słowo Émilie, nie dając wyłuszczyć pozostałych wątpliwości dotyczących nagłego wyjazdu. – Nie pozwoliłam mu na to. Załuski nie zorientuje się od razu. Tam jest co najmniej stu mężczyzn. Kiedy cię zauważy, będziecie już wystarczająco daleko. Plan jest prosty. Dostaniesz ode mnie list i w Warszawie zgłosisz się z nim do pałacu Pod Blachą, do księcia Józefa Poniatowskiego. On się tobą zajmie. Ma u mnie dług wdzięczności, więc nie odmówi ci protekcji i ochrony przed zakusami Olszewskiego i jemu podobnych. No, a teraz wstawaj.

Krysia zmarkotniała i straciła całkowicie werwę i chęci do ucieczki. Najwidoczniej to Émilie bardziej niż jej zależało na tym, by wymknęła się z łap Olszewskiego. Dziewczyna mogła to zrozumieć. Wszak Francuzka miała za sobą wielką miłość do pierwszego ukochanego i nieszczęśliwe małżeństwo z Treillardem, z którego ledwie uszła z życiem. Bita, poniżana i traktowana jak więzień, dopiero u boku Antoniego mogła rozwinąć skrzydła. Być może widziała w Podolskiej siebie z czasów nieszczęśliwego małżeństwa. Jednak Krysia im bardziej była ubrana, tym więcej miała wątpliwości, czy aby na pewno dobrze robi, uciekając.

– Émilie, czy jesteś przekonana, że nam się uda? Rodzice mnie znienawidzą, a ty narazisz się na nieprzyjemności – wysapała, wciągając na nogi spodnie.

– Krysiu, zrozum, twoja matka nienawidzi ciebie, mnie toleruje, a kocha jedynie Antoniego. Poza tym to tobie ma się udać, nie mnie.

– Może ten Olszewski nie byłby takim złym mężem... – zasugerowała nieśmiało dziewczyna.

Émilie, która właśnie pomagała jej zapiąć kurtkę na rozchełstanej koszuli, zamarła w połowie ruchu, ale zaraz szarpnęła ubranie, aż Krysia się zachwiała.



– Nie będzie złym mężem. Będzie okropnym mężem. Zapomniałaś o jego żądaniach? Potem będzie tylko gorzej. Zaufaj mi.

– To, że generał był dla ciebie...

– Charles nie ma tu nic do rzeczy – zaprzeczyła gwałtownie, może nawet zbyt gwałtownie Émilie, a jej szept był nadto głośny, aż obydwie bojaźliwie obejrzały się na drzwi.

Na szczęście na podwórzu rżały konie i coraz więcej było słycać stłumionych, jakby trochę sennych męskich głosów. Krysia skuliła się w sobie, ale miała nieodparte wrażenie, spotęgowane jeszcze nagłą nerwowością ruchów bratowej, że gdyby nie trudne małżeństwo, ta nie pomogłaby jej w ucieczce. Ba, pewnie jak wszyscy namawiałyby ją do mariażu.

A jednak – pomyślała Krysia, lecz nic nie powiedziała. Wcisnęła na głowę czapkę, pod którą upchnęła splątane w warkocz włosy. Potem Émilie wyprowadziła ją z dworu kuchennym wejściem, uprzednio wręczywszy list, który dziewczyna ukryła na piersi za połą munduru. Dalej Krysia musiała sobie radzić sama. Dostała od Francuzki niewielki węzełek na podróż. Co w nim było, nie miała pojęcia, ale bratowa zapewniła, że przydatne rzeczy. Widać Émilie miała wszystko przemyślane w szczegółach i od dawna przygotowane.

Szary świt sprzyjał Krysi. Domostwo i drzewa wokół niego nie dawały wciąż przystępu światłu. Brnąc niemal na oślep przez sad ku stajniom, co i rusz potykała się i przystawała, by upewnić się, że nikt jej nie dostrzegł. Głosy zbierających się na podwórzu potężniały z każdą chwilą. Słycać już było pierwsze śmiechy wywołane z pewnością męskimi żartami. Konie rżały, czując zbliżającą się podróż. W półmroku rozjaśnionym światłem pochodni rysowały się sylwetki zbierających się żołnierzy. Gdyby Krysia miała czas i nie obawiała się odkrycia, zatrzymałaby się i chłonęła ten widok, w którym była jakaś siła i pierwotna żywotność. Zdała sobie sprawę, że zazwyczaj obserwuje świat z boku, że wydarzenia rozgrywają się jakby obok niej. Tylko gdy była z Michałem, to ona stanowiła centrum i świat zdawał się kręcić wyłącznie wokół niej i jej spragnionego bliskości ciała.

Samotna i oddalona od wszystkiego, co ważne – tak właśnie czuła się niemal przez całe życie. Nie dane jej było przekonać się, czy mężczyzna może sprawić, że to się zmieni. Odepchnęła od siebie niewesołe myśli i weszła do stajni. Konie cicho parskały, wyczuwszy człowieka. Podeszła do miejsca, gdzie stała Hera, klacz, której zazwyczaj dosiadała. Uspokajając ją szeptem, zarzuciła siodło na jej grzbiet. Po omacku trudno było zapiąć popręg, tym bardziej że przeważnie chłopiec stajenny robił to za nią, ale nie mogła teraz nikogo prosić o pomoc. Przytroczyła do siodła węzełek i derkę, a potem wyprowadziła konia na zewnątrz i starając się nie wchodzić w krąg światła, dołączyła do grupy mężczyzn. Serce uderzało mocno. Ze zdenerwowania ścisnęła zbyt silnie uprząż.

Michale, co ja tu robię? – pytała w myślach ukochanego, ale on nie mógł udzielić jej odpowiedzi, a i ona sama miała wrażenie, że teraz dopiero otrzeźwiała w porannym chłodzie. Nabrała nagle ochoty, by wrócić do domu, lecz zaczęła sobie powtarzać, że jeśli nie teraz, to nigdy. Opuściła głowę i skryła się za koniem, czekając cierpliwie, aż ruszą w drogę. Nie liczyła na to, że uda jej się dojechać do Warszawy. Zdawała obie sprawę z tego, że najpewniej w brzasku dnia natychmiast zostanie zdemaskowana i zawrócona do dworu, zapewne z eskortą. Po cichu nawet na to liczyła. Choć Émilie pewnie by jej tego nie wydarowała, to mimo wszystko Krysia musiała przyznać, że w tym momencie bardziej obawiała się nieznanego niż małżeństwa z Olszewskim.

Jakoż wkrótce wyszedł do zgromadzonych Antoni z ojcem, a tuż obok nich Krysia zobaczyła Olszewskiego. Drgnęła nerwowo, aż klacz, której widać udzieliło się zaskoczenie pomieszane z przerażeniem, szarpnęła łbem.

– Trzymaj mocniej swego konia, młodzieńcze. Kiepski z ciebie będzie wojak, jak własnego konia nie upilnujesz, a i szablę ci łatwo wytrącą z garści – powiedział półgłosem starszy mężczyzna stojący na tyle blisko niej, że Hera trąciła go łbem, kiedy się poruszyła. Musiał brać udział w walce, bo przez jego twarz biegła nieregularna blizna częściowo ukryta pod sumiastymi wąsami. Miał też na sobie kurtkę od munduru, jakie nosili żołnierze Napoleona.

– Pewny chwyt to podstawa, zwłaszcza jeśli idzie o wierzchowca – dodał jego kompan i zarechotał dość nieprzyjemnie, po czym splunął.

Krysia znowu poczuła przemożną chęć ucieczki, ale tylko wycofała się jeszcze bardziej w cień

i przylgnęła do boku konia.

– No, no, nie strasz nam młodzika, boć on jeszcze nawet się nie goli, więc i o męskich sprawach pojęcia nie ma. – Starszy żołnierz stanął w jej obronie, co przyjęła z wdzięcznością, ale nie odważyła się mu podziękować.

Tymczasem jej brat przemówił do zgromadzonych i przestępujących już niecierpliwie mężczyzn. Wyjątkowo założył strój staropolski, w którym Krysia dotąd widziała go może kilka razy. Zdumiała się, jak bardzo Antoni przypomina ojca, wysokiego, szerokiego w ramionach mężczyznę, który mimo upływu lat nie nabył krągłego brzucha będącego znakiem rozpoznawczym wielu przedstawicieli szlachty. Olszewski stał z założonymi w tył rękami, w swoim modnym surducie i białych bryczesach wpuszczonych w długie skórzane buty. Jego oczy zdawały się lustrować wszystkich razem i każdego z osobna. Usta zacisnął w wąską kreskę, a po jego twarzy tańczył odblask płomienia pochodni, którą trzymał Ignacy, sługa ojca.

– Obowiązek nakazuje, by ledwie co wskrzeszoną ojczyznę wesprzeć – mówił Antoni donośnym głosem. – Cesarz dał nam jej zaczątek, a wielu położyło za nią życie i pod Kościuszki przywództwem, i w ostatniej wojnie z Moskalami. Teraz, kiedy cesarz wrócił był do Francji, w naszych rękach dalsze losy Najjaśniejszej. Od takich jak my zależy, czy wróg poważy się znowu naruszyć jej granice. Chodzą już słuchy, że Austriak czyha na to, co z takim trudem zdobyliśmy. Dlatego z panem Olszewskim wystawić chcemy oddział, któremu przewodził będzie kapitan Załuski.

Krysia teraz dopiero spostrzegła, że Załuski cały czas krył się w cieniu kolumny podtrzymującej ganek, zaś jego bystre oczy lustrowały zebranych. Czy mógł ją zauważyć i rozpoznać? Dla pewności pociągnęła lekko uzdę i cofnęła się w głąb podwórza, ale poranek już teraz rozjaśniał pierwsze promienie słońca, więc na niewiele się to zdało. Pozostawało kryć się za Herą.

– Dzięki hojności pana, brata naszego, Olszewskiego, wszyscy ochotnicy dziś wyekwipowani są w broń i niezbędne oporządzenie koni, a Podolscy dokładają zapas żywności potrzebny na drogę, coby oddział nasz zebrać o jedzenie nie musiał, zanim dotrze do Warszawy. Tam oddany zostanie pod komendę księcia Poniatowskiego, ministra wojny i wodza naczelnego wojsk Księstwa Warszawskiego. To on rozporządzi nim wedle uznania i potrzeb. Zasilicie więc Armię Księstwa, która w dużej części stacjonuje w twierdzy na Pradze. W potrzebie brońcie ojczyzny na jej chwałę i rozślawiajcie odwagę polskiego żołnierza!

– Na chwałę Najjaśniejszej! Na chwałę Księstwa! – rozległy się okrzyki wokół Krysi. Mężczyźni chwycili za szable, które zatrzeszczały sucho, gdy dobywali je z pochew. To uświadomiło jej, że nie ma żadnej broni. W popłochu rozejrzała się wokół siebie. Mogła zabrać jakąś szablę ze dworu, gdzie na ścianach wisiało ich przynajmniej kilka, jednak ani ona, ani Émilie o tym nie pomyślały. Z pomocą przyszedł jej wąsaty żołnierz.

– Naści młodziku, bo widać chęci do walki ci nie brak, lecz broni ci nie stało – mówiąc to, podał jej szablę, których kilka jeszcze stało wspartych o siebie obok nich.

Na szczęście w ferworze dosiadanania koni i formowania szyku nikt tego nie zauważył. Tak samo jak tego, że Krysia niepewnie ujęła broń, nie bardzo wiedząc, co z nią zrobić. Nie miała czasu się zastanawiać, bo pierwsi żołnierze już ruszali, więc czym prędzej wskoczyła na koński grzbiet i starając się trzymać blisko wąsacza, popędziła konia, który ruszył stępa, a potem przyspieszył zarówno on, jak i cały oddział. Z lewej mieli budzący się nowy dzień, ale Krysia myślała o nim z przestraczem. Nie tylko dlatego, że w blasku słońca mogła zostać łatwo zdemaskowana. Nowy dzień rozpoczynał nowy rozdział jej dotąd spokojnego, nudnego i przewidywalnego życia. Od tej chwili niczego przewidzieć się nie dało, a za każdym zakrętem drogi czaiło się nowe i nieznane. Dziewczyna instynktownie przywarła do końskiego grzbietu, żeby dodać sobie choć trochę otuchy, lecz w miarę jak z każdą minutą coraz wyraźniej rysowała się przed jej oczami droga na Ciechanów, traciła rezon. Jednak na powrót było już za późno.

## II

Nagły brzęk metalu wyrwał Roberta z płytkiego snu. Choć w lochu panowały ciemności rozpraszane jedynie nikłym światłem padającym z niewielkiego okienka pod sklepieniem, to mężczyzna cofnął się w kąt pomieszczenia, pobrzękując łańcuchem, którym przykuto go do ściany. Pod ścianą

zaszurało i jęknęło, ale te słabe dźwięki zagłuszył odgłos kroków rozlegających się w korytarzu oświetlonym teraz blaskiem pochodni.

Robert zmrugał oczy nienawykłe do takiej ilości światła i zatopił się we wspomnieniach. Spędził w lochu kilka tygodni, w trakcie których przynajmniej raz pożałował decyzji o podjęciu próby ucieczki.

Kiedy jakiś czas temu dotarli na Pragę, długo nie mógł dojść do siebie, a kiepskie jedzenie, brak możliwości umycia się i opatrzenia ran oraz dotkliwie zimno sprawiały, że słabował tygodniami. Mimo to od razu po przybyciu na miejsce, gdzie zgodnie z planami Napoleona poczynionymi jeszcze w 1806 roku nad Wisłą powstawały umocnienia, został razem z innymi więźniami przydzielony do kopania owych umocnień. Całymi dniami grzebali w ziemi, co dawało, przynajmniej póki byli w ruchu, poczucie, że jest cieplej. Jednak nocami, stłoczeni w drewnianych, niezbyt szczelnych barakach, marzli okrutnie. Od rzeki ciągnął chłód podszyty wilgocią, która często nad ranem zmieniała się w szron. Gdyby Pierre Bourdie, ów chuchrak, który przykleił się był do niego jeszcze w czasie wędrówki do budującej się twierdzy, nie przyniósł któregoś wieczoru co prawda cuchnącej, jednak ciepłej derki, Robert zamarzłby i tak skończyłby swój żywot. Miał to być żywot pełen chwały i dumy, a potoczył się zgoła odwrotnie – ku upadkowi i poniżeniu. Oczywiście derka wzbudzała zazdrość, więc kilku więźniów, równie zarośniętych i brudnych jak i on, patrzyło na nią łakomym wzrokiem. Większość nie mówiła po francusku, zatem nie miał szans im wyperswadować, że którykolwiek jej dotknie, straci w najlepszym przypadku ostatnie rozchwiane zęby. To nie przeszkadzało Pierre'owi gadać nieustannie do mężczyzn. Szcześciarze niczego nie rozumieli, ale Robertowi zaczynała pulsować głowa.

– Żaden zadka nie ruszy. Nic, tylko siedzą i gapią się, gamonie sakramenckie – mamrotał chłopak, ostentacyjnie strzepując okrycie, co powodowało, że jego smród jeszcze bardziej się potęgował, zaś w powietrzu wirowały drobiny kurzu. – Co, dereczka ładna? Cieplutka? A to trza było iść ze mną, wziąć... – Tu Pierre zerknął na Roberta, który coraz mocniej zaciskał szczękę, żeby nie przetrącić młodemu karku. – Wziąć, znaczy się ładnie uśmiechnąć do nadzorcy. Nie jak wy, łachmyty. Ja waszego języka nie rozumiem, ale z ludźmi potrafię się dogadać. Gdybym go znał, to ho, ho! Tobym dopiero tu waszmości załatwił i obiad gorący z pieczystym, i wina przedniego... – Chłopak mościł się już na lichym posłaniu ze słomy, ale usta mu się nie zamykały.

– Zamilcz wreszcie! – warknął Robert, nie mogąc znieść tego terkotania.

– Niech jegomość sam powie, czy by nie zjadł kawała mięsa, takiego z zadniej części cielęcica, z paseczkiem tłuszczu... – mówił chłopak, teraz już leżąc i tęsknym wzrokiem wpatrując się w drewniany sufit.

– Zamilcz, mówię, pókim dobry – wysyczał przez zaciśnięte zęby Robert, pochylając się nad Pierre'em, w którego oczach błysnął wreszcie strach. Robert chwilę sycił się poczuciem, że przynajmniej nad chłopakiem ma władzę, po czym odwrócił się do niego tyłem i naciągnawszy na siebie derkę, zamknął oczy.

– Dobranoc, waszmości – szepnął jeszcze Pierre i przysunął się do niego, ale wystarczyło, że jego sąsiad warknął, a natychmiast zwiększył dystans.

Jednakowoż nie dane im było spać spokojnie, bo ledwie Robert odplynał w płytki sen, poczuł nagle, że robi mu się chłodno i że coś go tarmosi za rękaw. Nawet nie drgnął, choć otworzył oczy, ale w ciemnościach i tak niczego nie mógł dostrzec. Obok rozlegało się miarowe pochrapywanie Pierre'a, któremu często zazdrościł głębokiego snu. Może też dlatego sam nie mógł pozwolić sobie na porządny odpoczynek, bo tak jak w tej chwili, zazwyczaj to on musiał czuwać nad ich bezpieczeństwem. Zganił się w myślach, bo chłopak, choć zawdzięczał mu sporo, w tym ową nieszczęsną derkę, za którą ktoś teraz ciągnął, nie był ani jego kompanem, ani nawet znajomym.

Robert czekał na rozwój wydarzeń. Tymczasem intruz ostrożnie ściągał derkę z niego i z Pierre'a. Szło mu to opornie, bo Robert przycisnął ją ramieniem do boku, a kiedy tamten pociągnął mocniej, widać zniecierpliwiony brakiem efektów delikatnych prób zabrania okrycia, Francuz szarpnął materiał w swoją stronę. Napastnik zwałił się na niego z jękiem. Wykonując obrót, Robert zrzucił go na ziemię i unieruchomił, docisnąwszy ciężarem swojego ciała.

– Wynocha, gnido! – warknął do jęczącego z bólu złodzieja, mimo że ten go zapewne i tak nie zrozumiał.

– Co się dzieje?! – Pierre dopiero teraz się obudził. – O co chodzi? Co z jegomościem? – Macał w ciemnościach, aż natrafił na głowę Roberta.

– Zabierz łapska, bo ci je poprzetrącam zaraz po tym, jak uduszę tę wesz, która usiłowała nam zabrać derkę. – Docisnął złodzieja jeszcze mocniej, aż ten wierzgnął i zacharczał.

– Niech waszmość puści tę mendę. Sam zatłukę – zadeklarował Pierre, ale Robert go zignorował, choć nieszczęśnika, który chyba się dusił, jednak puścił. Parskając, niedoszły złodziej odczołgał się na swoje miejsce.

– Kładź się. – Robert ponownie umościł się na swoim miejscu, ale jego towarzysz najwidoczniej nie miał takiego zamiaru.

– Trzeba było go raz a dobrze uciszyć, żeby więcej tu nie przyłaził – odgrażał się Pierre, aż rozbudzeni współwięźniowie zaczęli utyskiwać w tym ich dziwnym języku.

– Zamknij się wreszcie, bo zaraz ciebie uciszą pozostali – uciął Robert i zamknął oczy, usiłując zasnąć.

Pierre jeszcze chwilę mamrotał pod nosem, lecz w końcu ucichł.

Tak wyglądały ich początki w praskiej twierdzy. Robert od momentu przybycia na ten olbrzymi plac budowy obserwował uważnie zarówno strażników, więźniów, jak i najmowanych do robót pracowników, którzy przybywali z drugiego brzegu rzeki. W czasie podróży z południa zbierał siły po tym, jak mało nie został zabity, i leczył rany. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że im bardziej oddala się na północ, tym trudniej będzie mu wrócić do Francji, ale nie mógł podjąć ucieczki, kiedy ledwie chodził. Nie przewidział, że tu będzie jeszcze zimniej i że racje żywnościowe będą tak nędzne, że wcale nie nabierze sił tak szybko, jak się spodziewał.

Mimo tego wreszcie udało mu się opracować plan, którego powodzenie zasadzało się na zwyczajach tutejszych strażników. Otóż pod koniec dnia pracy strażnicy odprowadzali więźniów do baraków. Wtedy ich liczono. W ciągu dnia nikt specjalnie nie patrzył, czy stan liczbowy się zgadza. Wystarczyło więc wymknąć się odpowiednio wcześniej i dzięki temu zyskać kilka godzin przewagi. Robert zdawał sobie sprawę, że w brudnym ubraniu, umorusany ziemią, z potarganymi włosami natychmiast zostanie uznany za zbiegłego więźnia i nie może się pokazać wśród ludzi. Potrzebował czystego odzienia i musiał zadbać o swoje długie, skołtunione włosy oraz zarost. Zdarzało się, że któryś z żołnierzy musiał oddać się na stronę. Robert wiedział, dokąd chodzić. Więc kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, zaczął się w wykopie, po czym zaatakował. Wystarczył jeden potężny cios w szczękę i strażnik leżał jak długi, a miękka ziemia stłumiła odgłos padającego ciała. Robert rozejrzał się i dla pewności odciągnął nieprzytomnego w głąb wykopów, by szybko rozebrać go z kurtki. Na zmianę spodni nie miał czasu. Resztę zniszczonego ubioru ukrył ciepły płaszcz zdjęty z żołnierza. Robert zabrał też jego nóż i oddalił się tak szybko, jak tylko mógł. Zdyszany, zaszył się w kępie krzewów, która musiała mu dać osłonę, zanim będzie gotowy. Kilkoma sprawnymi ruchami obciął skołtunione włosy, które z trudem już mógł rozczesać wystruganym przez Pierre'a grzebieniem. Na brodę nie miał czasu, ale nie powinna była wyglądać najgorzej, bo dzień wcześniej umył się w zimnych wodach rzeki i od dłuższego czasu starał się w miarę możliwości dbać o wygląd na wypadek pojawienia się możliwości ucieczki.

Kiedy był gotów do dalszej drogi, usłyszał za plecami znajomy głos.

– Chyba się jegomość zgubił? Do umocnień to w tamtym kierunku. – Pierre uśmiechał się szeroko, zapewne świadomy powodów, dla których Robert oddalił się od innych robotników.

– Wracaj do wykopów – warknął uciekinier z nadzieją, że chłopak usłucha. Ten jednak tylko cmoknął, zaplótł ręce na piersiach i uniósł głowę wysoko.

– Nieładnie się jegomość zachował. To ja ukra..., znaczy przyniosłem derkę, dbałem o jegomością, karmiłem, sobie od ust odbierając, a jegomość mnie tu chciał na pastwę tych okrutników...

– Stul pysk, zanim nas ktoś usłyszy – syknął Robert i rozejrzał się na wszelki wypadek. Byli dość daleko od wykopów, ale wciąż zbyt blisko, by czuć się bezpiecznie. Nadrzeczne szuwały i zarośla nie dawały o tej porze roku zbyt dobrej osłony przed wzrokiem żołnierzy, zwłaszcza gdy miało się na sobie jaskrawoczerwoną kurtkę munduru.

– Ja bym był spokojny... – Zanim Pierre skończył mówić, z daleka dały się słyszeć odgłosy

niechybnie zwiastujące pogoń.

– Biegiem! – rzucił tylko Robert i nie oglądając się na swego towarzysza, zaczął biec w przeciwnym do umocnień kierunku. Nie obchodziło go, czy wyrostek pobiegnie za nim i czy w ogóle nadaża. Szczerze powiedziawszy, to miał nawet nadzieję, że schwytają Pierre’a, dzięki czemu on ujdzie z tego wszystkiego cało. Gnał więc na oślep, rozgarniając ramionami zarośla, potykając się i co rusz lgnąc w błocie, jeśli zbliżył się za bardzo do brzegu rzeki. Wciąż słyszał za sobą okrzyki, teraz już głośniejsze, i miarowe sapanie chłopaka, a po chwili Pierre nawet go nieznacznie wyprzedził. Robert coraz szybciej bowiem opadał z sił. Nogi zaczynały mu się plątać i ciężać, jakby ważyły Bóg wie ile, płuca rozrywał ogień, a przed oczami zaczynały wirować czarne płatki śniegu. Zdawało mu się, że coś zbliża się do nich z łoskotem, ze strasliwym dudnieniem, ale nagle zdał sobie sprawę, że to w jego głowie i że jeśli zaraz się nie zatrzyma, straci przytomność. Zrozumiał, że przecenił swoje możliwości. Miał szansę, póki ten chuderlak się nie pojawił i nie ściągnął na nich uwagi strażników. To była wina tego chłystka, który teraz, schwytywany przez żołnierzy, wierzgał i wrzeszczał na całe gardło. W przeciwieństwie do niego Robert się poddał. Opadł na kolana i usiłował wyrównać oddech, łykając łapczywie porcje chłodnego, śmierdzącego szlamem powietrza. Nie chciał tracić sił na walkę i ryzykować kolejnych ran w starciu z kilkoma uzbrojonymi i dobrze odżywionymi strażnikami. Gdyby nie to, że pogoń właśnie ich dopadła, zatłukłby Pierre’a, rozkwasił mu najpierw nos, rozmazał ten uśmiezek po jego kostropatej od krost gębie, a w końcu...

Potem zapadła ciemność. Kiedy Robert się ocknął, leżał już na gnijącej słomie w śmierdzącym szczurzymi odchodami lochu, w którym mieli spędzić kilka najbliższych tygodni. W kącie jęczał poturbowany Pierre. Poza nimi było tu jeszcze kilka cuchnących osób. Ponieważ każda para rąk przydawała się przy kończeniu umocnień, Robert liczył, że w związku z tym szybko ich wypuszczą, ale tak się nie stało.

– Wyłazić, szczury parszywe! – wrzasnął po francusku strażnik, który po kilku tygodniach zlewających się w jedną śmierdzącą odchodami noc przyszedł po nich. Widać ktoś na górze uznał, że ich kara dobiegła końca.

Pochodnia oślepiła Roberta, który zdał sobie sprawę, że przywykł do duszącej woni odchodów własnych i szczurzych, do brudu i tego miejsca na tyle, że dopiero słowa strażnika uświadomiły mu, kim się stał. Odruchowo uniósł głowę wysoko i wyprostował się na tyle, na ile pozwalało niskie sklepienie. Mogli mu zabrać wszystko, co miał, ale dumy nikt mu nie odbierze. Poprzysiągł sobie, że przeżyje i znajdzie tych, którzy pozbawili go tego, kim był i co osiągnął, wypruje im flaki, owinie wokół ich szyi i powiesi. Ta fantazja tak go pochłonęła, że dopiero kiedy strażnik go szturchnął, Robert zareagował i ruszył do wyjścia, pobrzękując łańcuchem.

– Jegomość jak zwykle czuły na krzywdę biednego Pierre’a – wystękał chuderlak, zbierając się z podłogi. Pobyt w lochu zniósł gorzej niż kamrat, bo w takich warunkach nawet lekkie rany spowodowane pobiciem goiły się długo, ropiejąc i sprawiając ból. Mimo to chłopak jakimś cudem cały czas trąkotał i Robert uznał, że samo siedzenie w lochu nie byłoby może najgorszym, co go spotkało, gdyby nie towarzystwo tego rozgadanego młokosa. Pierre ucichł dopiero wtedy, gdy Robert zagroził mu ciężkim uszkodzeniem chudych i krzywych nóg.

– Nie gadać! – warknął strażnik i popchnął ich w kierunku drugiego, który wyłonił się z mroku dopiero teraz.

Wyszli prosto w objęcia ciepłego dnia. Zarośla zazieleniły się i w powietrzu czuć było wiosnę. Robert miał wrażenie, że od momentu, kiedy ich wysłano do lochu, minęło kilka lat, a nie tygodni. Świat wyglądał radośnie, co zupełnie nie przystawało do jego nastroju. Owszem, powinien był się cieszyć, że ich uwolniono. Jednak ciało miało słabe, a oczy łzawiły od słońca, więc kolejna próba ucieczki musiała poczekać. Obok niego na drżących nogach ledwie stało kilku podobnych mu skazańców, zaś z drugiej strony pokastywał Pierre. Był błydy i umorusany, a skołtunione kłaki pokrywały nie tylko jego głowę, ale i twarz. W ubraniu trudno było rozpoznać mundur, tak był przesiąknięty wilgocią i zgnilizną oraz brudem. Robert domyślał się, że sam wygląda niewiele lepiej. Pierwszy raz od początku tej kabały miał ochotę zacząć wrzeszczeć i płakać z bezsilności, a jeszcze lepiej szarpać się i uciekać, byle sprowokować żołnierzy, by się zlitowali i go zastrzelili, a przynajmniej pobili tak, żeby przestał myśleć. Zamiast tego

jednak zacisnął pięści i szczęki, warknął pod nosem i pochylił głowę. Jak dotąd rozpaczliwe próby walki o własną godność kończyły się porażką. Zrezygnowany rozluźnił ciało.

– Bacność, żołnierze! – Okrzyk w języku francuskim wyrwał Roberta z letargu. Podniósł głowę i zobaczył przed sobą oficera w wyglansowanych butach i mundurze z wypolerowanymi złotymi guzikami.

Mężczyzna wyglądał, jakby chwilę wcześniej wyszedł od golibrody. Gdyby nie smród niemytych ciał więźniów, zapewne do nozdrzy Roberta dotarłaby przyjemna woń mydła, za którą raptem zatęsknił. Pierre drgnął i spróbował naprężyć wychudzone ciało, ale zachwiał się tylko. Tymczasem oficer założył ręce do tyłu i lustrował ich spod zmarszczonych brwi. Kiedy jeden ze stojących w szeregu mężczyzn zakłysnął się i zakasnął, oficer odsunął się od niego i stanął przed Robertem. Ten zmrużył oczy i twardo spojrzął na żołnierza, aż tamten odwrócił wzrok.

– Pewnie zastanawiacie się, co też się takiego stało, że was wyciągnięto z luksusowych kwater, w których zalegacie od kilku tygodni. – Oficer nie był Francuzem, bo jego język nie umiał się dostosować i pozostał zbyt sztywny, by gładko i śpiewnie posługiwać się tą mową. Po efektownej pauzie kontynuował swój wywód, a nikt nie śmiał mu przerywać, nawet zazwyczaj rozgadany Pierre. – W powietrzu wisi wojna z Austriakami, dlatego darmozjady takie jak wy muszą odpłacić nam za utrzymanie. Zostaniecie wcieleni do pułku piechoty i zasilicie garnizon na Pradze. Zanim to jednak nastąpi, macie się umyć, bo cuchniecie jak stado wieprzów. – Tu oficer zamachał zapewne uperfumowaną dłonią przed swoim nosem, który zmarszczył z obrzydzenia.

– Szeregi jakiej armii zasilimy? – Robert zaskoczył widać oficera, bo ten podszedł do niego wolno, uprzednio drgnąwszy, a Francuz dałby sobie głowę uciąć, że z przestrachem.

– Nazwisko, żołnierzu! – Nie wiedzieć czemu, krzyknął do niego oficer, choć dzieliło ich może pół metra.

– Robert... – Zawahał się, zanim wymienił nazwisko, ale uznał, że tutaj raczej nikt go nie rozpozna. – Robert Bréhan – powiedział już pewniejszym głosem.

– Bréhan, będziecie odtąd walczyć dla Królestwa Warszawskiego. A ponieważ tacyście pyskaci, będziecie dowodzić tymi tu... – Oficer podkreślił swe słowa ruchem podbródka w kierunku zawszonych mężczyzn, a że zawiązał akurat wiatr od rzeki, skrzywił się i zatkał usta dłonią.

– Tak jest! – odpowiedział automatycznie Robert, zastanawiając się, czy ten fircyk kiedykolwiek walczył w jakiegokolwiek bitwie, ale nie miał zbyt wiele czasu na rozmyślenia nad tym, bo zaraz pognali ich na piaszczysty brzeg rzeki, gdzie pozwolono im się w końcu umyć i doprowadzić do porządku ubrania.

### III

Praga przywitała oddział zebrany w Podolanach mgłą i chłodem, choć powietrze było tu jakies inne, przesycone zapachem szlamu i zdawało się Krysi, że zgnilizna przenika nawet przez warstwy odzieży, które miała na sobie. Otuliła się szczelniej płaszczem. Miała ochotę położyć się na końskim grzbiecie, ale powstrzymała ją od tego obecność mężczyzn, którzy towarzyszyli jej w drodze.

Na szczęście na nocleg zatrzymali się w jakiejś wsi, gdzie na rozstaju dróg stał zajazd dla podróżnych. Oczywiście Krysi nie dane było położyć się spać w łóżku, bo przywilej spania pod dachem został zarezerwowany dla dowódcy. Natomiast ona, podobnie jak pozostali żołnierze, musiała odpoczywać w gumnie dworskim. Zajechali do dworu już o zmierzchu. Gospodarz czekał na nich, uprzedzony przez konnego wysłanego przodem. Nie był to widać wielki patriota ani z pewnością człowiek szczerzy czy gościnny. Nie częstował niczym, ale Załuski musiał zatrzymać się w jakimś zajeździe. Dość, że gospodarz pozwolił żołnierzom skryć się pod dachem przed nadciągającą właśnie wiosenną burzą. Znać było w gospodarstwie braki i niedostatek. Krysia przywykła do innych widoków. Ich dwór świecił z dala białymi ścianami, a obejście zawsze było zadbane. Tu można było utonąć w błotnistych kałużach ozdabiających rozległe podwórze, zaś kwatery pod domem porastało młode, ale już dzielnie rozrastające się dzikie ziele zamiast wiosennego kwiecica. Sam budynek wydawał się więc grzęznąć w błotach i zielsku.

Dziwna to była noc. Krysia zdała sobie sprawę, że oto spędza ją z kilkunastoma mężczyznami, którzy rozlokowali się na każdym wolnym skrawku słomy lub resztkach wciąż przyjemnie pachnącego

siana. Pochrapywali cicho, podczas gdy ona leżała, wsłuchując się w dźwięki nocy: chlupoczący na zewnątrz deszcz, porykiwania nieba i posapywanie zdenerwowanych zwierząt gospodarskich. Wpatrując się w ciemność, która pachniała kurzem, końskim i ludzkim potem oraz strachem przed jutrem, dziewczyna zastanawiała się, co czeka ją w Warszawie, ale w najśmielszych nawet snach nie przypuszczała, jaki obrót przybiorą wydarzenia.

Następnego dnia szybko minęli klasztor i kościół Bernardynów widoczny dzięki pobielanym murom, a Krysia odmówiła krótką modlitwę do Najświętszej Pani, do której często modlił się był jej ukochany Michał. Umocnienia na Pradze, zwane szumnie twierdzą, w dużej części pobudowano z drewna. Z dala już straszły wałami usypanymi z ziemi, ceglany fragmentami murów i palisadami.

Kiedy przebyli pierwsze obwarowania broniące dostępu do przeprawy przez Wisłę i pokonali fosę, oczom Krysi ukazały się niewysokie ceglane i drewniane budynki koszarowe, gdzie zapewne mieszkali żołnierze. Jak się potem okazało, były to zabudowania przeznaczone głównie dla pontonierów, którzy odpowiedzialni byli za budowę pontonowej przeprawy przez rzekę oraz jej utrzymanie w należytym porządku. Rozpoznała też lazaret. Dalej rozpościerała szeroko swoje wody Wisła, a na jej przeciwnym brzegu na wzgórzu dziewczyna dostrzegła zamkową wieżę. To tam musiała się znaleźć. Jej wzrok powędrował ku mostowi pontonowemu, który unosił się na powierzchni wody zgodnie z rytmem nadawanym jej przez wiosenny przybór, drobne wiry i fale. Krysia wzdrygnęła się na samą myśl, że miałaby tamtędy dostać się do Warszawy, gdzie w pałacu Pod Blachą czekało na nią przeznaczenie. W wieczornej mgłę unoszącej się nad rzeką skarpa, na której rozpościerało się miasto, zdawała się rozmywać i falować. Powietrze drgało od rechotu żab i przez moment Krysia poczuła się, jakby stała nad brzegiem stawu w Podolanach. Przymknęła oczy i objęła końską szyję.

– Tylko nam się tu nie rozpłacz – zadrwił towarzysz wąsacza, blisko którego się trzymała. – Ckni się do domu?

– Dajże pokój. Chłopak pewnie pierwszy raz z dala od rodziny, a ty swoje. – Wąsacz na szczęście stanął znowu w jej obronie, ale mimo wszystko Krysia wycofała się i skuliła w sobie. – Nie słuchaj go, chłopcze. Sam tęsknicie ma i innym przez to dogryza. – Starszy nachylił się do Krysi, a pod wąsem się uśmiechnął, pewnie po to, by dodać jej otuchy, ale dziewczyna tylko bardziej się przeraziła. Z bliska mogła zostać rozpoznana. Przecież chłopcy w jej wieku zazwyczaj mieli już pierwsze ślady zarostu. Tymczasem ona z gładką, delikatną buzią i włosami schowanymi pod czapką mogła budzić słuszne podejrzenia, że nie jest mężczyzną.

W tym czasie Załuski, przewodzący im od początku tej wyprawy, zsiadł z konia, a za nim zeszli pozostali. Krysia tym chętniej zeskoczyła ze swego wierzchowca, że kiedy stała obok niego, dawał jej osłonę przed wzrokiem dowódcy.

Do Załuskiego, który prężąc się przy tym, zameldował oficerowi przybycie oddziału z Podolan, wyszedł z budynku kolejny oficer, widać wyższy rangą od poprzedniego, bo jego mundur wyglądał zupełnie jak nowy, u którego guziki musiały wręcz lśnić za dnia w słońcu. Nawet w szarości zmierzchu były widoczne z daleka niemal tak samo jak biel pendentu<sup>[3]</sup> i chustki pod szyją, odcinająca się od granatu munduru. Oficer nie pokazał po sobie ani tego, że jest ukontentowany z przybycia świeżych sił, ani tym bardziej niezadowolenia. Po prostu milczał chwilę, zachowując kamienną twarz, by w końcu, założywszy ręce do tyłu, obejść szeregi stojących z dumnie wypiętymi piersiami ochotników. Ci zaś popatrywali to na siebie, to na Załuskiego dość niepewnie. Po początkowych entuzjzmie nie pozostał nawet ślad. Na szczęście Krysia stała z tyłu, kryjąc twarz, o ile to możliwe, za końskim łbem. Wreszcie dowódca odchrząknął i odezwał się, a jego słowa zmroziły krew w żyłach dziewczyny.

– Który ma jakie doświadczenie w walce? Otóż Austriak idzie na nas i niezwłocznie, powtarzam, niezwłocznie udać się należy na południe. Wsparcia potrzebują siły naszego wodza, generała Poniatowskiego.

Z szeregu wystąpiło wielu tych, którzy zostali zwerbowani, między innymi stary żołnierz, blisko którego trzymała się Krysia, i jego młodszy kompan. Zostali nieliczni, w tym ona.

– Melduję, panie poruczniku, że walczyliśmy pod pułkownikiem Podolskim w wojnie 1806 i 1807 roku, a niektórzy i pod Kościuszką służyli. Ci, co nie walczyli jeszcze, wdrożą się przy starszych – odezwał się Załuski, na co oficer omiół go wzrokiem kompletnie bez wyrazu.

– Zostaniecie zakwaterowani na dzisiejszą noc. Jutro rano wymarsz. Dołączycie do głównych sił Księstwa. – Oficer obrócił się na pięcie, nie czekając, aż Załuski cokolwiek mu odpowie, czy choćby odda honory, po czym ruszył do budynku, z którego był wyszedł wcześniej, a który wyglądał jak niezbyt wysoka kamienica, gdzie wcześniej zapewne mieszkali cywile wykwaterowani podczas budowy koszar.

W oddziale dało się zauważyć poruszenie wywołane informacją, że ledwie przybyli, a zaraz im czas będzie ruszać do walki. Jedni przyjęli to ze spokojem i swego rodzaju pogodzeniem, tak jak stojący obok stary żołnierz. Przewrócił tylko oczami, kiedy jego kompan gromko zakrzyknął, dając wyraz swej radości. Znać wiarus z niejednego pieca chleb jadł. Inni nerwowo się śmiali i przebierali niespokojnie nogami. Krysia miała wrażenie, że tylko ona drętwieje ze strachu. Bo to oznaczało, że jutro stanie na drugim brzegu Wisły i wtedy będzie musiała jakimś cudem oddalić się od oddziału. W dodatku Załuski nie może się zorientować, kim ona jest. Gdyby zostali w garnizonie, mogłaby być może w końcu zniknąć mu z oczu i po pontonowym, mimo że dobrze strzeżonym moście, dostać się na drugi brzeg, a tam już bez trudu, dzięki listowi od Émilie, znaleźć się pod kuratelą księcia Poniatowskiego oraz jego siostry.

Z przemowy oficera wynikało jednak, że księcia nie ma w Warszawie, natomiast ona ma ledwie jedną noc na to, by zdecydować, czy lepiej na własną rękę dostać się na drugi brzeg i szukać pomocy w pałacu u siostry księcia, czy też pojechać z resztą wojska o poranku. No i czy ryzykować ucieczkę, czy może lepiej znaleźć się bliżej Poniatowskiego i wtedy pokazać mu list. Zapewne odesłały ją pod opieką żołnierzy do swego pałacu, jak tylko zorientowałby się, kim ona jest. W tej jednak chwili w głowie dziewczyny kłębiły się myśli niespokojne niczym stado rozwrzeszczanych dzieciaków. Zanim zdążyła cokolwiek postanowić, jakiś żołnierz wskazał im niski drewniany budynek, w którym mieli spędzić najbliższą noc. Konie kazano im zaprowadzić do stajni.

#### IV

Krysia rejestrowała rozkład budynków na terenie obwarowań, choć sama nie wiedziała, czy odważy się zabrać konia i przedostać do Warszawy. W tej sytuacji stawało się to dość karkołomne, ale w końcu dziewczyna, stojąc w stajni, podjęła decyzję, by nie czekać do rana. Trudniej byłoby jej się oddalić od oddziału w dzień, tym bardziej że nie знаła miasta i nie miała pojęcia, którędy będą jechali. Z Pragi widziała jak na dłoni drugi brzeg i zamek, a wiedziała, że przeprawa jest umiejscowiona niedaleko pałacu. Przyczaiła się więc pomiędzy zwierzętami i czekała, niby zajęta swym koniem, aż wszyscy opuszczą stajnię.

– Tuś mi, bratku!

Krysia podskoczyła z przestraszenia wywołanego okrzykiem tuż przy jej uchu. Kompan wiarusa stał obok i choć nie mogła w półmroku dostrzec jego twarzy, to była gotowa przysiąc, że uśmiecha się wielce z siebie zadowolony.

– Łoj, łoj, jak się panienczka nasza przeraziła.

Krysi mróz przebiegł po plecach. Poznał ją, została zdemaskowana.

– Czaisz się jak zbój jakowys. – Nie dane jej było nic więcej dodać.

– Wracamy do domu? Strach obleciał panienczkę? – dogryzał jej mężczyzna. – I się wydało. Tak to jest, jak baby się na wojnę szykują.

– Dajesz spokój chłopakowi. – Wiarus wychynął z cienia niczym duch, jak zawsze gotowy bronić Krysi.

– Co ty się tak troszczysz o tę dziewczuszkę? Może wolisz takich młokosów od kobitek? Ha! – Wyraźnie kompan wąsacza miał potrzebę wejścia w zatarg z kimkolwiek, kto się do niego odezwał.

Krysia jednak odetchnęła z ulgą, bo najwyraźniej żołnierz nazywał ją dziewczyną wyłącznie dlatego, że chciał jej ubliżyć. Uśmiechnęła się w duchu. Gdyby znał prawdę, zdziwiłby się niechybnie. Poza tym miała za sobą wiarusa.

– Idę spać, a ty jak chcesz koniecznie oberwać, to skacz dalej. W końcu dostaniesz, czego chcesz.

– O dziwo, wąsacz obrócił się na pięcie i zniknął w mroku stajni, a pewność siebie Krysi ulotniła się jak dym.

– Nie boję się, a jak trzeba będzie, to pójdę walczyć. I nie wybieram się do domu. Skoro już tu jestem, to znaczy, że będę się bić. – Starła się mówić twardym głosem i mimo wszystko podniosła



głowę wysoko. Bała się, ale za nic nie chciała tego okazać. W końcu była szlachecką córką, zaś ten mężczyzna zapewne jakimś zubożałym, zaściankowym golasem.

– Miejsce bab jest przy igle.

– Może i jestem babą, ale przynajmniej nie dogryzam innym, kiedy się obawiam walki. – Serce Krysi uderzało mocnym rytmem, krew zaczęła krążyć żwawiej.

– Że ja się boję? – Żołnierz chwycił ją za kurtkę munduru i niemal uniósł. Wszystko stało się jasne, kiedy w nozdrza Krysi uderzył ciężki, kwaśny odór alkoholu. Wojak musiał mieć ukrytą gdzieś flaszkę z napitkiem i stąd wzięła się jego zaczepność. – Ty młokosie zapaskudzony...

Cios w żołądek był precyzyjnie wymierzony i Krysia nie miała najmniejszych szans, by zrobić unik. W jednej sekundzie ból w trzewiach wybuchł z taką siłą, że niemal zemdląca. Nie miała nawet siły jęknąć, bo zgięta wpół próbowała powstrzymać torsję. Kolejne uderzenie w skroń sprawiło, że w głowie zadzwoniły jej dzwony, a ona poleciała w dół. Zetknięcie z polepą stajni było tyle niespodziewane, co bolesne. Jak zza grubej tkaniny dobiegał głos napastnika.

– Nauczę ja cię rozumu, młokosie.

Czuła, że mężczyzna szarpie ją i obraca na brzuch, a potem próbuje jej ściągnąć spodnie. Pomyślała, że tym razem zostanie jednak zdemaskowana i to ją rozbawiło. Dźwięk dzwonów rozsadał czaszkę. Oszołomiona, nie czuła strachu, kiedy jej ciało, bezwładne i ciężkie, usiłował obnażyć sapiący nad nią żołnierz.

– *Laisser-le tranquille!*<sup>[4]</sup>

Krysia nie miała siły, żeby podnieść głowę. Zresztą wydawało jej się, że te słowa po francusku to majaczenie, rozpaczliwa próba oszukania umysłu, by złagodzić nieuchronnie zbliżające się cierpienie i poniżenie. Bo niby dlaczego ktoś miałby do nich mówić w tym języku?

– Mówiłem, żebyś go zostawił. – Głos, chropawy, silny i stanowczy, znowu przemówił po francusku, a słowom towarzyszyło szarpnięcie.

Krysia dopiero po chwili zorientowała się, że kimkolwiek był jej wybawiciel, chwycił napastnika i stanowczo uniósł go do góry, a ten, nie zdążywszy puścić jej odzienia, pociągnął ją za sobą. Przeturlała się na plecy, a cała stajnia zrobiła obrót razem z nią. W mroku niewiele i tak było widać, lecz teraz już całkiem wszystko zamazywało się i falowało przed jej oczami. Przez moment wydawało jej się, że znalazła się pod wodą, jak wtedy zimą, gdy uratował ją Michał. Ciało miała bezwładne, jakby dryfowało pod lodem odrętwiące i obce. Uśmiechnęła się i popatrzyła w górę, pewna, że zobaczy zaraz nad sobą ukochaną twarz. Zamiast tego dostrzegła iskrzące się w mroku jasne oczy.

– Ej, ty. Żyjesz? – Właściciel jasnych oczu przemówił po francusku.

Znowu szarpanie i dzwonięcie w uszach, choć mogła już złapać oddech, bo nikt jej nie przyciskał do stajennego klepiska.

– Możesz wstać?

Głupie pytanie – pomyślała Krysia, ale nie próbowała w żaden sposób reagować. Dzwony w głowie z wolna cichły, kiedy się nie ruszała. Wtedy do jej uszu dobiegło sapanie lub może charczenie i miarowe uderzanie jakby pięścią w siennik. Konie niespokojnie przestępowały w swoich boksach i z cicha rżały.

– Niech jegomość zostawi tę łachudrę. Z tym tutaj źle chyba. – Oczy zniknęły z pola widzenia Krysi, ale głos dochodzący z mroku był wyraźniejszy i wciąż mówił po francusku.

Ktoś się do nich zbliżał i dziewczyna mimowolnie skuliła się na swoim miejscu. Ciężkie kroki ucichły tuż przy jej głowie.

– Niech się nie boi, jegomość nie tyka takich chuchraków. – Głos jasnookiego tchnął otuchą i tym razem towarzyszyło mu lekkie poklepywanie w ramię.

– Nie przyszło ci do tego zakutego łba, że on nie rozumie twojego trajkotania?

Kimkolwiek był towarzysz właściciela błękitnych oczu, miał głos głęboki, tubalny i chropawy, jakby rzadko używany. Pasował do kogoś ogromnej postury. Krysia chciała powiedzieć, że rozumie, że dziękuje mu za pomoc, bo zorientowała się, że tych dwóch przyszło jej z pomocą, ale bała się ruszyć, żeby nie prowokować narastających torsji. Obity żołądek przypominał bowiem o swoim istnieniu.

– Rozumie czy nie, chyba muszę coś powiedzieć. Bo jeszcze gotów biedak pomyśleć, że trafił

na jakoweś niemowy.

– Ty i niemowa – sarknął towarzysz gadatliwego posiadacza niebieskich oczu.

Głos znów zbliżył się do Krysi, z czego wywnioskowała, że jego właściciel pochylił się nad nią.

– Słyszysz mnie? Pomogę wstać i zaprowadzę, gdzie trzeba. Jak poproszę, to może jegomość nawet zanieśie... – Głos umilkł i chłopak odchrząknął, bo ten drugi warknął jak dzikie zwierzę, z czego zrozumiała, że nie ma najmniejszego zamiaru gdziekolwiek jej nosić.

Krysia spróbowała się podnieść. Najpierw otworzyła oczy, ale w stajni ledwie co można było dostrzec. Potem wolno uniosła głowę. Nadal w niej huczało, ale już nie falowało jej przed oczami. Torsje z wolna mijały.

– No to ci pomogę – zaoferował się wysoki i chudy jasnooki chłopak, którego rysów nie potrafiła dojrzeć.

Usiadła wolno i popatrzyła na drugiego ze swych wybawców, który pięściami rozprawił się z nieprzytomnym teraz napastnikiem. Wybawca wyglądał jak olbrzymi cień. Jego szerokie bary zasłaniały resztki dogasającego dnia usiłującego wdrzeć się do stajni. Krysia zamrugała kilka razy, a serce jej się zatrzymało. Nie dość, że był ogromny, to jeszcze jego twarz pokrywał zarost. Ciemne włosy, niedbale obcięte, kręcone i skołtunione, założył szybkim gestem za ucho.

Obydwaj mężczyźni ubrani byli w znoszone, niezbyt świeże mundury. Bijący od nich zapach kazał przypuszczać, że spędzali ostatnie dni, a pewnie i noce, najczęściej w stajni. Twarz wysokiego i chudego nie pokryła się jeszcze całkowicie zarostem. Musiał mieć nie więcej lat niż Krysia. Dосkoczył do niej, kiedy usiłowała zebrać się z podłogi, najpierw wspierając się na dłoniach, później szukając czapki, która w ferworze szarpaniny poleciała gdzieś w kąt. Młodziak próbował podnieść dziewczynę, chwytając ją pod pachy.

– Zostaw go, poradzi sobie – warknął ten wielki, wyraźnie mając dość troski, z jaką zajmował się Krysią chudy.

– Jegomość pomógłby, bo ten tu gotów pomyśleć, że jegomość serca nie ma albo że zbir jakowyś... – trąkotał wyrostek.

Olbrzym nie zastanawiał się długo, widać mając dość gadania swego kompana, bo odsunął go od Krysi jednym stanowczym gestem, aż tamten się zatoczył. Potem schylił się i chwyciwszy dziewczynę za kołnierz, postawił ją na nogi. Cała operacja odbyła się na tyle błyskawicznie, że pod Krysią kolana się ugięły, a ciemne płaty zaczęły jej wirować przed oczami. Uczuła wielki ból w skroniach i poleciała bezwładnie w przód.

– I co jegomość wyczynia? – dobiegł do niej głos chuderlaka.

Szczęściem olbrzym zdążył ją w porę złapać, bo zaryłaby nosem w ziemię. Z przyjemnością wciągnęła w płuca ciepły męski zapach, a poczucie bezpieczeństwa otoczyło ją tak szczelnie, jak jego ramiona. Mężczyzna nic nie wyrzekł na wymówki, które czynił mu chuderlak, ale Krysia wyczuła, że napina mięśnie i za chwilę może wybuchnąć gniewem. Na razie jednak panował nad sobą. Rozumiała go, bo głos młodego wwiercał się w jej uszy i irytował, w dodatku im bardziej chudy był przejęty, tym wyższe dźwięki wydawał. Kiedy była przekonana, że olbrzym w końcu uciszy siłą mizeraka, bo jego ciało sprężyło się jak do skoku, ten tylko pochylił się i wziął ją na ręce. Nie zaprotestowała, choć zawroty z wolna ustępowały. Pierwszy raz od dawna ktoś się nią zajął, ktoś się o nią martwił. Bo olbrzym nie wyglądał na kogoś, kto przejmuje się gadaniem szczupłego towarzysza. Musiał więc przejąć się jej losem, myśląc, że pomaga młodemu żołnierzowi. Oparła głowę na jego ramieniu, a on wyniósł ją na zewnątrz.

– Dokąd go jegomość taszczy? Chyba nie do naszej kwatery...

– Oddasz mu swoje posłanie.

– Że co? – Młody stanął jak wryty, co Krysia obserwowała spod przymkniętych powiek.

Zauważyła, że w garnizonie panował już spokój i nikt nie widział, jak przemycają do najgorzej prezentującego się baraku na terenie całych koszar. Było późno, więc żołnierze przed jutrzejszym wymarszem zapewne odpoczywali, co działało na korzyść olbrzyma. W końcu niecodzienny to i kompromitujący widok, kiedy jeden żołnierz niesie drugiego na rękach.

– To, coś słyszał – odparł tymczasem olbrzym, a jego towarzysz, zobaczywszy, że kompan się

nie zatrzymuje, w końcu ruszył za nim. – Sam sobie jesteście winieni – dodał i wszedł z Krysią na rękach do baraku.

W ciasnym, ciemnym i cuchnącym pomieszczeniu rozlegały się miarowe posapywania. Ktoś chrapał, ktoś inny coś szeptał, dochodziły też słowa jakiejś tajemniczej modlitwy. Pod kimś zatrzeszczało łóżko zapewne zbite naprędce z desek.

Olbrzym ułożył Krysię ostrożnie na pościeli, które pachniało sianem.

– Jegomość, a ja gdzie mam się położyć? Na rany Chrystusa... – Chudy utyskiwał szeptem, który mógłby z grobu wyciągnąć umarłego.

– Zamknij się, bo twoje problemy rozwiążą się same, kiedy pozostali cię stąd wykopią – wysyczał olbrzym.

– Jegomość się na mnie mści za moje dobre serce. A gdyby nie ja, to by jegomością kości już dawno robactwo ogryzało – uskarżał się chudy, moszcząc się na podłodze obok łóżka, na którym leżała Krysia.

– Zamkniesz się tam jeden z drugim? – wychrypiął jakiś żołnierz w głębi baraku, po czym zakasłał, a łóżko pod nim zaskrzypiało.

– Gdyby nie ty, mielibyśmy dziś spokój, a tak jutro trza będzie postanowić, co dalej z tym tu. – Olbrzym powiedział to, układając się na swoim pościeli i ostentacyjnie odwracając się plecami do swego towarzysza, co poznała Krysia po jego stłumionym głosie.

– Święta Panienko, ty widzisz moje poniżenie, widzisz, jakich doznaję krzywd... – Chudy się rozkręcał.

– Zamknij się albo spotkasz zaraz tę swoją Świętą Panienkę – warknął ze swego pościeli olbrzym.

O dziwo, chudzielec ucichł, choć pod nosem mamrotał jeszcze długo o niesprawiedliwości i niewdzięczności oraz o ciężkim losie sieroty. Jego narzekania kołysały Krysię do snu.

## V

– Gdzie jest ta krnąbrna dziewczucha i od kiedy jej nie ma domu?! – Marianna Podolska miotła się po dworskiej kuchni, gdzie kazała wezwać całą służbę z kucharką i Ignacym na czele. Hania i Mania pochlipywały ze strachu, a kucharka Marta nerwowo miętosila obrębek fartucha. Ignacy patrzył w ziemię, bojąc się zapewne skierowania gniewu pani na siebie.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie się podziała? Ignacy! – Marianna stanęła na wprost sługi męża, a ten pochylił głowę jeszcze niżej. – Kiedy widziałeś Krystynę ostatni raz?

– Będzie ze dwa dni temu, wielmożna pani.

– Jak to dwa dni? – Podolska zaraz pożałowała wyrzuconego w przestrzeń pytania. Jako matka powinna była zauważyć, że córki brakowało przy stole w czasie obiadu. Tymczasem ona zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, czy jej nierzucające się w oczy dziecko siedziało na swoim zwykłym miejscu, czy też nie.

– Z całym szacunkiem, żona wielmożnego pana Antoniego powiedziała wtenczas, że panienska Krysia słabuje i zostanie u siebie. – Słowa Ignacego wyrwały Mariannę z zamyślenia.

Sługa miał rację. Pytanie, czy od tamtego czasu Krysia pojawiała się w jadalni, czy też nie. Podolska zapytać o to nie mogła. Fakt, że dziewczyna postawiła ją w takiej sytuacji, że za jej sprawą Marianna uświadomiła sobie, iż jej kontrola nad majątkiem i ludźmi w nim mieszkającymi jest iluzją, doprowadzał ją do furii. Miała nieprzepartą chęć, żeby strzelić w głowę tego obiboka Ignacego, który żył na łasce jej małżonka za sprawą jakowys dawnych bohaterskich czynów. Powstrzymała się jednak i machnąwszy dłonią, jakby opędzała się od natrętnego owada, schowała ręce za plecy. Odchrząknęła.

– Kto widział ją potem?

Odpowiedziała jej cisza przerywana tylko pochlipywaniem Mani i Hani.

– Może w parku? Nad stawem? W sadzie? – wyliczała Marianna, ale wszyscy zgodnie kręcili przecząco głowami.

– Nie ma jej od dwóch dni... – Podolska podeszła do kuchennego okna wychodzącego na ogród warzywny i sad. Dwa dni wcześniej Antoni razem z przyszłym zięciem Podolskich wyprawili oddział zwerbowanych w okolicy ochotników. Jak wynikało ze słów Ignacego, tego dnia Krysia nie pojawiła się

na obiedzie. Jediną osobą, która się tym zapewne zainteresowała, musiała być ta nieszczęsna Émilie, żona Antoniego. To ona musiała widzieć Krysię jako ostatnia.

Podolska obróciła się energicznie w stronę służby.

– Wy tu czego jeszcze sterczycie, wałkonie jedne! – huknęła na przerażone kobiety i Ignacego. Ci momentalnie rozpierchli się po kątach, zaś ona ruszyła na poszukiwania Émilie.

Tymczasem przed ganek zajechał powóz. Serce Marianny zabiło szybciej, i to nie z radości. Olszewski pojawił się w najmniej dogodnym momencie. Podolska nie ustaliła jeszcze, gdzie jest ani co robi jej córka, a mężczyzna zapewne przyjechał, by ustalić szczegóły kontraktów ślubnych. Niechybnie zapyta o przyszłą żonę. Zresztą Wincenty też pewnie zacznie się interesować córką. Podolska warknęła pod nosem przekleństwo i zrobiła zaraz znak krzyża. Że też wszystko to musiało spaść na nią. Gdyby Krysia się nie urodziła albo zmarła w dzieciństwie jak dwoje pozostałych dzieci, dziś nie miałyby takich problemów. Żeby spełnić się jako matka, wystarczył jej w zupełności Antoni. Oczywiście póki nie musiała dzielić się nim z jego żoną, której zalety kończyły się na tym, że była hrabiną. To na jedyne go syna Marianna przelała całą swą miłość. Chciała, by mimo oczywistego podobieństwa do Podolskich, przypominał jej ojca. Człowieka wspaniałego, mądrego, obytego. To dlatego wypychała Antoniego w świat, by na dworach i w szkołach nabierał poloru i doświadczenia, choć serce jej pękało na myśl o rozłące.

Sama również była oczkiem w głowie ojca. Całe swoje dziecięce życie zabiegała o jego miłość i uwagę, bo dawał jej tego mimo wszystko niewiele, zajęty wojażami i sprawami państwowymi. Słaba i chorowita matka skupiona była na sobie i nie zajmowała się dziećmi. W końcu zmarła na tyle młodo, że Marianna zbyt jej nie pamiętała. W głowie miała obraz egzaltowanej, chudej i zniszczonej chorobami kobiety, która skrzeczącym głosem nawoływała dzieci i wydzielała nieprzyjemny zapach, czy to spowodowany chorobami, czy może spożywanymi przez nią leczniczymi miksturami, od których uginały się stoliki w jej pokoju. Marianna nie pałała też miłością do rodzeństwa, bo stanowiło konkurencję na drodze do ojcowskiego serca. A że miała dwóch braci i siostrę, to rywalizacja bywała zacięta. O ile braci się bała, o tyle nie miała żadnych skrupułów, by młodszą siostrę doprowadzać do łez i odsuwać od rodzica za pomocą skarżenia na nią i zrzucania win za psoty.

Podolska nie była sentymentalna i nie lubiła wracać do czasów dzieciństwa, tym bardziej że na ojcu srodze się zawiodła. Po śmierci matki znalazł był sobie młodszą i nieprzyzwoicie jurną żonę, która na szczęście nie zdążyła mu dać więcej dzieci. Zamęczyła go jednak wywłoka w sypialni. Dzięki Bogu Marianna w tym czasie była już po słowie z Wincentym, którego wybrał jej ojciec. Podolski zapałał do niej gorącym uczuciem, lecz ona nie umiała ani nie chciała go odwzajemnić. Zdawała sobie za to sprawę, że zamążpójście dla pólsieroty stawało się jedyną szansą na zyskanie wyższego statusu. I tylko dlatego poślubiła Wincentego. Ten dał jej syna i tyle swobody, ile mogła mieć żona majątnego i zasłużonego szlachcica.

Marianna wyszła na ganek.

– Witam zacnego gościa w naszych skromnych progach. – Uśmiechała się uniżenie, tuszując niepokój rozlewający się w jej piersiach. – Cóż to za sprawy pana tu przywiodły?

Olszewski, przywitawszy się z Podolską, odpowiedział:

– Nie ukrywam, że nie tylko w sprawach natury urzędowej jestem w Podolanach, ale też rad bym zobaczyć się z panną Krystyną.

Marianna pobladła, ale nie straciła rezonu.

– Córka podupała ostatnio na zdrowiu. Zaległa nam w łóżku, lecz mniemam, że to chwilowa niedyspozycja z rodzaju tych dziewczęcych słabości. Do ślubu będzie zdrowa na pewno – zaśmiała się nieszczercze i głośno.

– Kogóż do nas przywiały dobre wiatry? – Na ganku pojawił się Wincenty, z otwartymi szeroko ramionami witając gościa, jakby go latami nie widział. Podolska miała ochotę przewrócić oczami. Jako mistrzyni hipokryzji wiedziała, że z wylewnością nie należy przesadzać. Natomiast jej mąż zachowywał się zgoła nieprzyzwoicie uniżenie.

Olszewski równie nieszczercze, choć z wyraźną wyższością, powitał przyszłego teścia, a zaraz potem dodał:

– Rad bym zobaczyć się z panną Krystyną, ale słabuje podobno...

– Nic mi nie wiadomo o tem. – Wincenty obrócił się do Marianny. – A co to za historie, żeby panna nie chciała się spotkać z kawalerem?

– Słaba trochę... – Marianna ostatkiem sił zachowywała spokój. Chciała jak najprędzej zniknąć z oczu mężczyzn, żeby poznać prawdę i znaleźć córkę. W przeciwnym razie mogło dojść do afrontu i Olszewski, czuł bardzo na punkcie swej ważności, mógł być się obrazić. – Pójdę do niej – dodała i za przyzwoleniem męża czym prędzej poszła do pokoju Émilie, uprzednio zabrawszy ze sobą wystraszoną Leosię, która ledwie za nią nadażała.

Podolska wpadła jak burza do pokoju Émilie. Trzasnęła drzwiami i rzuciła po francusku prosto z mostu do siedzącej z książką na otomanie kobiety:

– Gdzie jest Krystyna? – Na tyle jej umiejętności językowe pozwalały.

Émilie podniosła wolno głowę, a jej brwi powędrowały ku górze. Podolska miała ochotę potrząsnąć tą nimfą, która całymi dniami albo jeździła konno, albo czytała. Dawno już przestała ją akceptować. Ba, nienawidziła jej całym sercem, a teraz doszedł do tego kolejny powód. Ostatnia widziała Krysię i nie byłoby niczym dziwnym, gdyby stała za jej zniknięciem.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie ona jest? – Émilie odpowiedziała po polsku. Przynajmniej tyle zdążyła się z tych książek nauczyć, że czasem powiedziała coś zrozumiałego, ale niechętnie i z trudem posługiwała się językiem męża. Podolska słabo i wolno mówiła po francusku, dlatego z ulgą przyjęła fakt, że synowa odpowiedziała jej właśnie po polsku. Émilie wstała przy tym wolno ze swojego miejsca. W jej oczach Marianna dostrzegła błysk świadczący o sile charakteru.

– Dwa dni temu przy obiedzie powiedziałaś, że Krystyna źle się czuje i nie przyjdzie na posiłek. Nikt jej potem nie widział. – Tym razem Podolska nie siliła się na francuski i oszołomiona Leosia od tej pory musiała tłumaczyć jej słowa.

Marianna nie przyznała się, że ona sama też nie zarejestrowała nieobecności córki, zaś o jej rzekomej chorobie dowiedziała się od sługi, bo nie zwróciła na to uwagi.

– I dopiero teraz ktokolwiek raczył zauważyć, że Krysi nie ma? – W głosie żony Antoniego pobrzmiwała ironia. – A może raczej przypomniał wam o niej jej niedoszły małżonek?

Leosia widać również nie zauważyła, że brakuje Krysi, bo jej oczy zrobiły się okrągłe z zaskoczenia i natychmiast stanęły w nich łzy, jednak dalej dzielnie tłumaczyła, kiedy było trzeba, bo rozemocjonowane rozmówczynie mieszały słowa francuskie z polskimi.

– Dość tych impertynencji! Gdzie jest Krystyna? Co jej zrobiłaś? – warknęła Podolska.

– Ja? – Émilie przekrzywiła głowę, ale nie wyglądała na specjalnie przejętą groźbą, która czała się w słowach teściowej. – To wy chcecie ją siłą wydać za tego *l'homme terrible*<sup>[5]</sup>. Tylko dlatego, że jest podobno bogatszy niż wy. Za nic macie tę dziewczynę, która mimo młodego wieku doświadczyła wielu rzeczy strasznych. Nikt nawet nie zauważył, że jej nie ma. Jest dla was jak... – Tu widać Francuzce zabrakło słowa, bo zrobiła pauzę, ale w końcu powiedziała: – *Le fantôme!*<sup>[6]</sup>

– Kim ty jesteś, że śmiesz mi mówić, jak mam traktować moje dziecko? – To był oczywisty przytyk do losów Émilie, która w poszukiwaniu porwanej córki przemierzyła całą Europę.

– Masz rację. To twoje dziecko, ale traktujesz ją gorzej niż obcą osobę.

– Gdzie jest Krystyna? – Marianna nie miała czasu na przepychanki. Musiała jak najszybciej odnaleźć córkę.

– Daleko stąd.

Marianna podeszła bliżej do synowej.

Leosia uniosła dłonie do ust z wyrazem niemego przerażenia w oczach.

– Gdzie ona jest? – powtórzyła Podolska, mocno akcentując każde słowo.

– Teraz jest pod kuratelą jego wysokości księcia Poniatowskiego.

Podolskiej zrobiło się słabo.

– Jak? Kiedy? – wyszeptwała i oparła się o stojący w pobliżu stół. Nie poprawiło jej humoru nawet to, że w oczach Émilie mignęła troska.

– Wyjechała razem z oddziałem.

– Uciekła... – wyszeptwała na wpół żywa Marianna.

Leosia jęknęła cicho.

– Uciekła, bo nie wyobrażała sobie życia z tym człowiekiem. – Émilie uniosła wysoko podbródek, najwidoczniej z siebie zadowolona.

– Pomogłaś jej. – Ta straszna i zarazem niosąca ulgę myśl przeszła Mariannę z mocą strzały wypuszczonej z precyzją godną najlepszego łucznika. Niosła ulgę, bo pozwalała zrzucić winę za to nieszczęście na kogoś innego. Krysia sama z siebie nie wpadłaby na taki pomysł. Była zbyt płochliwa, zbyt uzależniona od innych, niesamodzielna i bezmyślna. Za tym musiał stać ktoś tak pewny siebie jak ta Francuzka. Tylko dlaczego postanowiła zaszkodzić własnej rodzinie? Dlaczego kąsała dłoń, której tak wiele zawdzięczała? Gdyby nie Podolscy, którzy ją przygarnęli, gdyby nie Marianna, która zabiegała o jej zdrowie, kiedy w pamiętną grudniową noc ta żmija pojawiła się we dworze, nie przeżyłaby i nie doszłoby do tej kompromitacji, która za chwilę mogła mieć miejsce.

– Dlaczego tak uważacie? Najwidoczniej nie docenicie własnej córki, teściowo – rzuciła z pogardą przybłąda.

– Krysia to posłuszna i dobra dziewczyna – odparła Marianna, nie do końca pewna tego, co mówi.

Émilie zaśmiała się, lecz jej śmiech był nieprzyjemny i jeszcze długo dźwięczał w uszach teściowej.

– Może i jest posłuszna, ale nie głupia i bezwolna. A z pewnością ma swoje uczucia. Takie, o których wy nie macie pojęcia.

Leosia z trudem nadażała z tłumaczeniem, tym bardziej że czasem kobiety wchodziły jej w słowo, zrozumiawszy wypowiedź, zanim zdążyła ją powtórzyć.

– Pomogłaś jej? – powtórzyła pytanie Marianna.

– Jakie to ma znaczenie? Krysia nie chciała wyjść za Olszewskiego, ale nikt jej nie słuchał.

– A czy ciebie słuchał kto, kiedy wychodziłaś za męża? – W Mariannę wstąpił duch walki. – Czyś sobie sama dobierała mężów?

– Właśnie dlatego chcę uchronić Krysię przed tym, co spotkało mnie.

– Więc pomogłaś jej uciec – stwierdziła Podolska i nie czekając, co odpowie jej na to synowa, obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Trzasnęła mocno drzwiami. Nie było czasu na przepychanki. Musiała działać, zanim wszystko, co zaczęło się układać zgodnie z planem, nie runie z hukiem.

Udała się do bawialni. Wezwała Ignacego i kazała mu iść do mężowskiego gabinetu, gdzie przebywał Wincenty razem z gościem. Sługa miał pod byle jakim pozorem wezwać Podolskiego do bawialni, a Olszewski musiał pozostać nieświadomy sytuacji, póki nie odnajdą Krysi. Kiedy Wincenty, bardzo niezadowolony, pojawił się wreszcie przed obliczem żony, ta z nerwów wyłamywała sobie palce.

– Zanim zaczniesz wyrażać swe niezadowolenie, Wincenty, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Nie ma chwili zwłoki. Jesteśmy w niezręcznej sytuacji, którą jednakowoż da się uratować. O ile się pospieszymy.

Tu wyłuszczyła Wincentemu sprawę, a ten aż usiadł na wieść, że Krysia wyjechała wraz z oddziałem żołnierzy do Warszawy, i zaniemówił.

– To koniec – zawyrokował wreszcie. – Olszewski zerwie zaręczyny, kiedy się o tym dowie.

– Nie jest za późno, powtarzam. Jeśli nikt o niczym się nie dowie, możemy Krysię tu sprowadzić za kilka dni. Wiadomo, gdzie jest. Antoni po nią pojedzie. Albo i ty sam dopilnujesz, żeby wróciła. Tylko cicho sza przed Olszewskim.

– Co mam mu rzec?

– Ot, wielkie kołomyje. Że chora i strach, czy to nic zakaźnego.

Wincenty popatrzył na żonę z uznaniem. Zdecydowanie to ona była szyją, która kręciła głową domu, ale w tym momencie nie było to dla niej najważniejsze.

– Teraz chodźmy do gabinetu, zanim Olszewski nabierze podejrzeń, że coś jest nie tak – dodała Marianna i obydwójce udali się do pokoju, w którym czekał na nich przyszły zięć.

Jakież było ich zdziwienie, kiedy weszli do środka i zobaczyli nie kogo innego, tylko Émilie oraz Leosię, która zapewne pełniła rolę tłumaczki. Olszewski na ich widok wstał. Nie trzeba było go pytać,

bo widać było, że usłyszał coś, co go wzburzyło.

– Pani Podolska właśnie wyjaśniła mi moją sytuację i zdaje się, że nie ma potrzeby dalej ciągnąć tej farsy – warknął, po czym trzepnął rękawiczkami trzymanymi w dłoni o udo.

Marianna zachwiała się i musiała się przytrzymać ramienia męża. Ten odchrząknął, zapewne jak zwykle nie wiedząc, co powiedzieć. Tylko ta żmija stała spokojnie i z uporem wpatrywała się w oczy teściowej.

– Wyjaśniłam panu Olszewskiemu, że Krysia została przez rodzinę oddana pod kuratelę księcia Poniatowskiego, by w otoczeniu jego siostry, Tyszkiewiczowej, nabrać ogłady i tym lepiej spełniać obowiązki, jakie na nią spadną w związku z rolą żony człowieka takiego pokroju – powiedziała po francusku Émilie z lekkim uśmiechem, co błada Leosia przetłumaczyła niemal szeptem.

W oczach Francuzki Marianna dostrzegła złośliwy błysk. A więc jednak nie skompromitowała ich, mówiąc całą prawdę. Dała im czas na odnalezienie Krysi i doprowadzenie jej do domu. Marianna wiedziała, że kara, jaką poniesie Krysia za tę ucieczkę, będzie dotkliwa. Tak dotkliwa, by złamać całkowicie jakiegokolwiek ducha w tej marnej imitacji kobiety. Odtąd będzie całkowicie bezwolna i posłuszna rodzicom, a potem Podolska postara się, by i mężowi nie śmiała się przeciwstawić. Olszewskiemu wystarczyło szepnąć słówko, a nie będzie się wahał użyć siły, żeby dziewczynę wtłoczyć w karby małżeńskich powinności. Znany był w okolicy z okrucieństwa, więc starczy podsyć w nim przeświadczenie o konieczności okiełznania żony. Z pewnością potraktuje to jak wyzwanie. O ile będzie miał co okiełznywać po tym, jak Krysia wróci do domu i trafi pod skrzydła matki.

Podolska odwzajemniła uśmiech Émilie.

– Proszę nam wybaczyć tę tajemnicę – zwróciła się do Olszewskiego, nie czekając aż jej najwidoczniej zaskoczony obrotem spraw mąż nie wystrzeli z czymś, czego nie będzie można tak łatwo wytłumaczyć. – Oczywiście zadbałszy o wychowanie Krysi jak należy, jednak nie bywała nigdy w świecie i stąd jej nieśmiałość, brak obycia i doświadczenia.

– Panna Krystyna ma wkrótce zostać moją żoną, w związku z czym nie życzę sobie, by nią rozporządzać bez mojej wiedzy.

– Owszem, ma wkrótce nią zostać, ale jeszcze nią nie jest – odezwał się Wincenty, a jego słowa zaskoczyły nie tylko Mariannę, ale też Émilie i Leosię. Kobiety popatrzyły na Podolskiego, który nastroszył węża i błysnął gniewnie oczami.

Brwi Olszewskiego zbiegły się nad mięsistym nosem. Odchrząknął, widać nie wiedząc, co odpowiedzieć na ten jawny przejaw oporu i obrony córki.

– Jeśli panowie już rozstrzygnęliście wszelkie sprawy urzędowe, to zapraszam na obiad. Marta zaraz powinna wydawać... – Marianna natychmiast interweniowała, zanim padłyby słowa, których nie dałoby się tak łatwo zatuszować i zrzucić na karb troski o dziecko. Że też zawsze musiała ratować sytuację. Mąż, zamiast jej nie przeszkadzać, tylko dolewał oliwy do ognia.

Z pomocą przyszedł jej jak zwykle Antoni, który pewnie jakimś szóstym zmysłem wyczuł, że dzieje się we dworze coś niedobrego, bo akurat dały się słyszeć jego okrzyki na podjeździe przed domem zaraz po tym, jak ucichł tętent końskich kopyt. Młody Podolski objeżdżał majątek, ale w porę wrócił, zapewne licząc, że trafi akurat na obiad. Tym sposobem uwaga wszystkich została skierowana na sprawy domowe i obiadowe. Podolska mogła odetchnąć z ulgą. Przynajmniej do czasu, aż rozmówi się z synem i przede wszystkim każe mu połajać żonę za niewczesne próby uratowania Krysi przed zamążpójściem. Później zaś miała zamiar wysłać go do Warszawy, bo był jedyną godną zaufania osobą w tym domu. Nie brała nawet pod uwagę tego, że mógł wiedzieć o ucieczce siostry. Nie jej Antoni, nie jej ukochany syn. To wszystko była wina tej żmii i niczyja więcej. Przyjdzie czas, że za to zapłaci. W końcu ona też ma córkę.

## ROZDZIAŁ III

### I

Dzień w koszarach zaczynał się bladym świtem. Krysia ocknęła się, zanim rozległ się sygnał trąbki wzywający na plac pomiędzy budynkami. Miała ledwie chwilę, żeby wcisnąć na głowę czapkę, która jak dotąd skutecznie ukrywała splecione ciasno włosy. Zaraz potem olbrzym zerwał się ze swego posłania i zawisł nad nią z groźną miną. Skuliła się mimowolnie pod wściekłym spojrzeniem czarnych oczu.

Zdecydowanie ten mężczyzna miał egzotyczną urodę. Musiał pochodzić skądś, gdzie słońce świeciło znacznie dłużej niż w Rzeczypospolitej. Twarz miał smagłą, porośniętą czarnym zarostem, brwi gęste i nastroszone, a czarne, lśniące włosy skołtunione i kręcące się w naturalny sposób. Gdyby nie pełne usta wykrzywione w grymasie niezwiastującym niczego dobrego, mógłby uchodzić za dość przystojnego, ale zdecydowanie nieprzyjemny sposób bycia psuł to pozytywne wizualne wrażenie.

– Dziękuję za pomoc i okazaną mi troskę – powiedziała Krysia niepewnym głosem po francusku, bo zorientowała się już wczoraj, że tylko tak będzie mogła porozumieć się z tymi mężczyznami.

W odpowiedzi olbrzym warknął i odwrócił się do niej tyłem, całkowicie straciwszy zainteresowanie Krysią, która w milczeniu patrzyła, jak mężczyzna na szerokie plecy wciąga zniszczoną kurtkę munduru noszącą ślady zerwanych dystynkcji.

– Mój Boże, cóż za noc. By to wszyscy czarci pozamiatali... – rozległo się narzekanie z drugiej strony łóżka, na którym Krysia spędziła noc, i wyłonił się zza niego szczupły wyrostek o ospowatej twarzy i nastroszonych jasnych włosach. Poczochrał się po głowie, ziewnął i przeciągnął swoje nieforemne, chude ciało o patykowatych rękach.

– Toć to nasz królewicz się obudził, widział jegomość? – rzucił chłystek, napotkawszy badawcze spojrzenie Krysi. Szeroki uśmiech na twarzy młodziana był szczerzy i ciepły. Wspomniany jegomość nie zareagował, tylko burknął coś pod nosem. Był tak wysoki, że jego głowa wydawała się sięgać powały.

– Jak się czuje? – Pytanie było skierowane do Krysi, bo zostało wypowiedziane tak, jakby była co najmniej głucha lub jakby jej umysł szwankował.

– Dziękuję, znacznie lepiej niż wczoraj – odparła dziewczyna, a oczy wyrostka zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Nie spodziewał się odpowiedzi w języku francuskim.

– Słyszał jegomość? Po francusku gada. A jużem myślał, że w tym dzikim kraju nikt naszego języka nie zna. – Chłopak poderwał się i pochylił nad Krysią, co ta przyjęła z bojaźnią. To, że ktoś się do ciebie uśmiecha, nie znaczy, że ma dobre intencje. Tyle zdążyła zrozumieć w ciągu swego krótkiego życia.

– Nie wygląda to źle. Ale porządnie cię grzmotnął. – Chłopak oglądał tymczasem jej twarz z dość bliska. – Guza masz jak kurze jajo albo jakby ci druga głowa miała urosnąć. – Palcami dotknął napiętej skóry i rzeczywiście teraz dopiero Krysia zorientowała się, że musi mieć srodze opuchniętą lewą stronę twarzy, bo kiedy mówiła, czuła tam napięcie, a w szczęce coś przeskakiwało.

– Sygnał był. Przestań się bawić w doktora. Nie mam zamiaru znowu znaleźć się w karczerze z powodu twoich słabości. – Olbrzym ofuknął kompana, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem.

– Jestem Pierre Bourdie. – Chłopak wyciągnął dłoń do Krysi, a ta zamarła. Przecież nie mogła się przedstawić jako Krystyna Maria Podolska. Odchrząknęła i starając się nadać swemu głosowi chropawe, męskie brzmienie, odpowiedziała:

– Krystian Podolski.

Hardo uściśnęła dłoń wyrostka, a potem splunęła, bo pomyślała, że może jej to przydać męskości.

– Ten tam jegomość – chłopak wskazał brodą na zapinającego kurtkę olbrzyma – to Robert Bréhan, a przynajmniej tak się ostatnio przedstawiał. Poznałem go w więzieniu. Tak, bo jesteśmy więźniami, których siłą wcielono do wojska. W każdym razie ja zostałem złapany, kiedym uciekał... To znaczy uznano, że uciekał, kiedy ja tylko goniłem wroga.

– Biegnać zapewne w przeciwnym kierunku – odezwał się nagle olbrzym i naciągnął na głowę czapkę, która przypominała zdezelowany bikorn.

– Jegomość zawsze taki, ale w gruncie rzeczy ma dobre serce. Wczoraj cię nie zostawił. A ten zbój, co był cię napadł, to pewnie do dziś rachuje zęby. – Młokos zachichotał, na co jego kompan



ponownie parsknął i ruszył do wyjścia.

– Skądś ty się wziął w armii Księstwa Warszawskiego? – zagadnął młody do Krysi, naciągając na siebie łachman, który mógł być kiedyś mundurem. Zdecydowanie wyglądał w tym gorzej niż olbrzym.

– Zaciągnąłem się w mojej wsi, kiedy formowano oddział ochotników – wtrąciła Krysia, bo chłopak, owszem, zadawał pytania, ale poza tym mało zostawiał przerw na jakąkolwiek odpowiedź. W niektórych momentach jego monologu dziewczyna zastanawiała się nawet, czy nadaża za jego trajkotaniem i czy aby dobrze go rozumie.

Wstała z łóżka i poprawiła czapkę, mocniej wciskając ją na czoło, co nie było proste, bo policzek i bok głowy rzeczywiście opuchł. Na szczęście obity żołądek nie protestował, choć każdy oddech przypominał jej o uderzeniu. Obciągnęła kurtkę i otrzepała spodnie. Rozejrzała się za swoją szablą.

– Schowałem ją, żeby ta hołota nie zwędziła. – Pierre podsunął jej broń, zrobiwszy okrągły ruch głową, by wskazać pozostałych lokatorów baraku mozolnie zbierających się ku wyjściu.

Krysia przypasała szablę do boku przy wtórze opowieści chłopaka, któremu usta się nie zamykały. Gadał cały czas. O dzieciństwie spędzonym gdzieś na paryskich ulicach, o nadziei na poprawę swego losu przez karierę wojskową, o tym, że ma za miękkie serce na wojnę i o tułaczce w stronę przeciwną niż ojczyzna, bo z Prus do Księstwa Warszawskiego, gdzie miał walczyć podobno z Austriakami.

Chłopak umilkł dopiero, kiedy stanęli na placu i spoczął na nim groźny wzrok wyprężonego na baczność olbrzyma. Krysia w zasadzie i tak niewiele słyszała z opowieści młodzika, bo starała się zorientować w sytuacji i znaleźć sposób na ucieczkę z tego miejsca. Dostrzegła wśród żołnierzy swego prześladowcę z poprzedniego wieczoru i w pierwszej chwili miała ochotę się schować. Jednak serce stanęło jej na moment, a nogi wrosły w ziemię. On też ją zobaczył. Pokręcił głową i pociągnął palcem po szyi, na co pod dziewczyną ugięły się nogi. Nie miała zbyt wiele czasu. Ten typ prędzej czy później będzie chciał ją dopaść, dlatego jak tylko znajdą się na drugim brzegu, nawet gdyby ktoś miał ją usiec, musiała brać nogi za pas i starać się zniknąć w zaułkach miasta. Nie sądziła, aby olbrzym ponownie się fatygował i stawał w jej obronie. Nigdzie też nie mogła dostrzec wiarusa, który dotąd był jedyną życzliwą jej duszą wśród tych wszystkich mężczyzn.

Zanim zdążyła go odszukać wzrokiem, padły pierwsze rozkazy, a oficerowie poczęli obchodzić szeregi, siejąc przy tym niemały popłoch. Każdy z mężczyzn prężył się i wypinał pierś, wyglądając mimochodem strój mniej lub bardziej przypominający mundur. Choć bardzo starali się zrobić dobre wrażenie, to nie dało się ukryć, że była to pstrokata zbieranina o różnym stopniu przygotowania do walki i z uzbrojeniem, które również pozostawiało wiele do życzenia. Na tym tle oficerowie wyróżniali się schludnym i, jak na warunki koszarowe, czystym strojem. Krysia obserwowała to wszystko, co działo się na placu, dzięki czemu na chwilę zapomniała o swym nieciekawym położeniu. Otuchy dodawała jej obecność Pierre'a. Choć chłopak nie mógł być gwarantem bezpieczeństwa, to przynajmniej nie czuła się samotna. Gdyby nie to, że lada moment miała uciec, może nawet mogłaby się z nim zaprzyjaźnić.

Jej rozmyślenia przerwał oficer, który kazał ich wszystkich spisać w specjalnym rejestrze, czego miał dokonać błydy i chudy człowiek pełniący zapewne rolę kogoś na wzór kancelisty. Ani olbrzym, ani Pierre nie zrozumieli, o czym mówi oficer, więc Krysia usłużnie przetłumaczyła im, o co chodzi. Tylko tak mogła się odwdziżyć za pomoc. Ale nawet to nie sprawiło, że olbrzym spojrział na nią chociaż przez chwilę przychylnym okiem. Obrzucił ją jedynie nieodgadnionym spojrzeniem, które trwało tak krótko, że mogło jej się przywidzieć.

Kiedy oficerowie zniknęli w budynkach koszarowych, na placu dało się odczuć rodzaj ulgi i zaraz rozległy się pierwsze rozmowy, zrazu ciche, lecz wkrótce przeistoczyły się w taki rejwach, że trzeba było uciszać co głośniejsze grupki. Z rozmów, którym dziewczyna bacznie się przysłuchiwała, wynikało, że austriacki arcyksiążę Ferdynand Karol d'Este wydał był kilka dni wcześniej odezwę do mieszkańców nie tak dawno utworzonego Księstwa Warszawskiego, w której ostrzegał, że ten załazek państwa jest bytem tymczasowym i wkrótce jego mieszkańcy zostaną wyzwoleni spod rzekomego jarzma niewoli napoleońskiej. Prorokowano, że ziemie Księstwa z pewnością będą wcielone

jeśli nie do Austrii, to do Prus, które dzięki takiemu darowi mogłyby stać się skłonne do przystąpienia do koalicji antynapoleońskiej. Austriacy i Zjednoczone Królestwo<sup>[7]</sup> pozostały samotne i pozbawione wsparcia Petersburga. Wojna wisiała w powietrzu, a kiedy książe Poniatowski otrzymał od arcyksięcia d'Este bilet informujący, że w ciągu dwunastu godzin przekroczy granice Księstwa, nie było wątpliwości, że ta wojna właśnie się rozpoczęła.

Krążyły też słuchy, że wojska Księstwa po wycofaniu się armii Napoleona to zaledwie kilkanaście tysięcy żołnierzy wspierane przez niewiele ponad tysiąc Sasów, którzy stacjonowali w Księstwie z racji unii personalnej z Królestwem Saksonii. Fryderyk August I został bowiem na mocy traktatu w Tylży władcą Księstwa.

– W tej sytuacji nie ma się co dziwić Austriakom, że się połąкомиli na nasze – sarknął jakiś starszy żołnierz z sumiastym wąsem i czapką zawadiacko przekrzywioną na bok.

– Liczą na łatwy łup – zaśmiał się inny wojak o postawie sprężystej i ruchach energicznych.

– Niedoczekanie! Niedoczekanie! – wyrwało się z kilku gardeł naraz, czemu towarzyszyły śmiechy i rodzaj radosnej atmosfery, która Krysi skojarzyła się z momentem, gdy w czasie mszy wypiewywano alleluja.

Dziewczynie w głowie się nie mieściło, że można radować się na myśl o rychło czekającej ich walce. Wielu straci przecież życie, inni zostaną okaleczeni. Nikt nie wróci z tej walki taki sam. Tak jak Antoni, którego przeżycia wojenne zmieniły bardzo. Stwardniał w sobie i zdawał się otoczony skorupą. Niby serdeczny w stosunku do najbliższych, ale czasem dało się w nim dostrzec nutę melancholii. Przeżył, a jego przyjaciel, Michał Śniegocki, położył za niego życie. Kiedy nikt nie patrzył, smutek wзираł z oczu Antoniego i Krysia wiedziała, że myśli o tym, jak Michał by się radował, widząc jego szczęście u boku Émilie. I sam mógł być zaznać tego szczęścia z Krysią.

Chyba tylko złudna nadzieja i rodzaj pewności siebie, że nic złego im się stać nie może, pchała tych mężczyzn tam, gdzie czekały zło, śmierć i zniszczenie. Dziewczyna wzdygnęła się, bo jej to nie dotyczyło. Nie miała nigdy stanąć na polu walki, co napawało ulgą, ale i niepokojem. Przecież musiała jeszcze uciec.

Wkrótce i Krysia została spisana przez urzędnika wojskowego jako Krystian Podolski i tym sposobem przed południem stanęła w szeregu z innymi żołnierzami, starannie omijając tych z Podolan, zwłaszcza Załuskiego. Z dwójga złego wolała już trzymać się olbrzyma i jego kompana, Pierre'a, niż ryzykować zdemaskowanie. Podzieleni na mniejsze grupy żołnierze ruszyli z obwarowanej przeprawy na drugi brzeg Wisły, skąd mieli przedostać się w stronę Raszyna, gdzie ponoć niewielka, acz bagnista rzeczka, która była możliwa do pokonania tylko w kilku punktach, dawała spore możliwości, jeśli chodziło o obronę przed spodziewanym atakiem wroga na Warszawę.

Samo wejście na most ułożony z bali na konstrukcji wspartej na płaskodennych łodziach zwanych łyżwami było dla Krysi wyzwaniem. Po pamiętnym incydencie nad stawem w Podolanach, którego to o mały włos nie przypłaciła życiem, skapawszy się wówczas w lodowatej wodzie, płynąca pod stopami Wisła wzbudzała w niej strach pomieszany z obawą, że konstrukcja nie wytrzyma ciężaru ludzi i koni. Rzeka toczyła swe wody leniwie, ale stanowczo, gdzieś tam gdzieś pieniać się i szumiąc, gdy napotykała na przeszkody w postaci podpór mostu. Dziwne to było uczucie unosić się na powierzchni wody. Kiedy Krysia rozejrzała się raptem na środku rzeki, miała wrażenie, że brakuje jej tchu. Brzegi wydawały się odległe, a z prawej i lewej nie było nic, tylko rozlane szeroko wody zdające się przepływać za horyzont. Dla bezpieczeństwa wszyscy prowadzili konie, zamiast na nich jechać, więc dziewczyna mocniej ścisnęła uzdę i przełknęła twardy jak kamień strach zatykający oddech w piersi. Jakoż mimo lęku wkrótce stanęła suchą stopą na lądzie. Jeszcze nogi jej drżały, a już musiała myśleć, w jaki sposób zniknąć z oczu pozostałym żołnierzom.

Miasto wydawało się brzęczeć niczym ul na wiosnę. Ludzie byli wszędzie. Kręcili się nad brzegiem Wisły i po brukowanych uliczkach wznoszących się na skarpe. Tam terkotały pojazdy konne, a kopyta stukały o kamienie, tworząc kakofonię dźwięków trudną do zniesienia dla kogoś, kto wychował się w wiejskiej ciszy. Oszołomiona, skołowana i rozedrgana dziewczyna nie mogła zebrać myśli. Kiedy padła komenda, by dosiąść koni, wykonała rozkaz niemal jako ostatnia. Nawet Francuzi, którzy przecież nic nie zrozumieli, zrobili to, co wszyscy.

– Głuchys? Wsiadaj! – burknął na nią olbrzym z wysokości swego wierzchowca, który pasował do niego jak pięść do nosa.

Widać było, że smukły, kasztanowy koń niejedno przeszedł, ale jeździec miał do niego rękę, bo rumak wyglądał na spokojnego. Jak Krysia dowiedziała się wcześniej z paplaniny Pierre'a, nie wcielono ich do piechoty wyłącznie dlatego, że pochwalili się, jakimi to są doskonałymi jeźdźcami i jak sprawnie posługują się bronią. Nie miała pojęcia, jakim cudem udało im się przekonać dowódców, by dali im konie, których z pewnością nie zbywało w niezbyt bogatej przecie armii. Na ile zdążyła się zorientować, Pierre'em kierowała oczywiście wygoda. Zawsze lepiej jechać konno, niż w kurzu i zimnie iść pieszo. Co do jego umiejętności jeździeckich czy bojowych jakoś jednak nie była przekonana. Natomiast olbrzym rzeczywiście samym swym wyglądem mógł wywołać przestрах w szeregach wroga. Poza tym potężne ramiona też nie wzięły się znikąd.

Jakby na przekór wszelkim planom Krysi, wojsko ruszyło w kierunku przeciwnym niż zamek i pałac Pod Blachą wznoszący się na nadrzecznej skarpie. O ile dotąd miała jakąś nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na jej zniknięcie, o tyle teraz straciła jej resztki. Za konnymi maszerował oddział piechoty, więc musieli czym prędzej ruszać, a ona nadal nie widziała sposobu na oddalenie się. Kręciła się w siodle, rozglądała niespokojnie i pierwszy raz pożałowała, że ma konia. Trudniej z nim było zniknąć, choć ustawiła się w szyku po zewnętrznej stronie. Im bardziej oddalali się od brzegu rzeki, tym bardziej się denerwowała i niespokojnie kręciła w siodle.

– Ugryzło cię co w zadek, czy może masz jakieś robactwo? – zagaił Pierre, co na ustach olbrzyma wywołało grymas zapewne będący uśmiechem.

– Denerwuję się, bo to będzie moja pierwsza bitwa – powiedziała to, co przyszło jej na myśl.

– Nie ma się czego bać. W walce człowiek w ogóle nie ma czasu na nic, a już najmniej na strach. Trza własnego tyłka pilnować, bo inaczej go odetną. Nawet nie wiesz kiedy i już po wszystkim – odparł Pierre z nutką wyższości w głosie.

Olbrzym ponownie wykrzywił usta i obrzucił Krysię złym spojrzeniem, a ona tylko westchnęła.

Kiedy ogromne, choć często zaniedbane pałace otoczone murami i ogrodami zaczęły ustępować pola coraz mniej reprezentacyjnym budynkom przypominającym rudery, dziewczyna zrozumiała, że ma ostatnią szansę, by uciec. Serce uderzyło w piersiach jeszcze mocniej niż dotąd, aż odbiło się w jej uszach echem to łomotanie. Spoconymi dłońmi ujęła mocniej wodze i spowolniła konia, żeby po chwili odbić nim w lewo w kierunku błotnistej uliczki zabudowanej drewnianymi domami. Ledwie to zrobiła, wyrósł na jej drodze olbrzym.

– Dokąd to się pan wybierasz? – warknął, a w jego zmrużonych oczach błysnęła złośliwość.

– Za potrzebą – wyjąkała Krysia, ale nie pozwoliła się zbić z pantafelku. To było jedyne, co wcześniej wymyśliła na wypadek, gdyby ktoś usiłował ją zatrzymać. Spróbowała ominąć tarasującego przejazd, lecz ten obrócił konia tak, że strzemieniem trącał jej strzemię, a wolną ręką mógł w każdej chwili szarpnąć jej wodze.

– To raczej trzeba było udać się w przeciwnym kierunku. – Olbrzym pokazał podbródkiem tam, gdzie wzdłuż rzeki rozciągały się zarośla widoczne doskonale z wysokości końskiego grzbietu.

– Takie rzeczy trza załatwiać na postojach – uzupełnił Pierre, pojawiając się z jej drugiej strony jak duch. – Inaczej można być posądzonym o próbę dezercji.

Krysia poczuła napływające do oczu łzy. Nie mogła się rozplakać w takim momencie. Zacisnęła więc zwilgotniałe dłonie na wodzach, opuściła głowę i skierowała się z powrotem w stronę szeregu, zwłaszcza że ich oddalenie się wzbudziło widać niepokój dowódcy, bo kilka głów odwróciło się w ich kierunku. Popędziła wierzchowca, ale nie dlatego, że jej się spieszyło, lecz by jadący za nią mężczyźni nie dostrzegli wyrazu jej twarzy i kilku łez, które wymknęły się spod powiek. Zrozumiała, że nie ucieknie tak łatwo, a być może i wcale. Bo nawet jeśli w końcu gdzieś za Warszawą udałoby jej się odłączyć od oddziału, to sama nie byłaby pewnie w stanie trafić do miasta i do pałacu Pod Blachą. Musiała zmienić swoje plany i spróbować dostać się bezpośrednio przed oblicze księcia, który przebywał obecnie ponoć gdzieś w kierunku, gdzie wędrowali wraz z oddziałem. Stłumiła lęk, przełknęła łzy i pomyślała, że nie wszystko stracone. Wciąż miała za pazuchą munduru list od Émilie i wciąż nikt nie wiedział, kim była, a to już było coś.

## II

Od trzech dni, które oddział Krysi spędzał w chatach wsi ufortyfikowanej na potrzeby spodziewanego ataku, dziewczyna usiłowała dojrzeć, czy gdzie nie pojawi się sam książę Poniatowski będący w okolicy, by osobiście dowodzić wojskiem w walce z Austriakami. Jednocześnie pilnowała, aby nie natknąć się na Załuskiego czy też żołnierza, który zagiął na nią parol. Co nie było łatwe, bo we wsi nie pozostawało zbyt wiele przestrzeni. Na szczęście posiłki spożywali gdzie bądź, najczęściej w małych grupach.

Niestety, książę ponoć przebywał w nieodległym Raszynie, do którego nijak nie mogła się przedostać, bo i Pierre, i olbrzym mieli na nią oko, zupełnie jakby nie chcieli, aby uniknęła udziału w walce. Dlatego już pierwszego dnia pobytu we wsi podjęła trudną decyzję, by niepostrzeżenie ściąć włosy, zanim ktokolwiek zorientuje się, że pod rogatywką nosi opleciony wokół głowy warkocz. O ile dotąd udawało jej się w ciemnościach nocy ukrywać swą pleć, o tyle w ferworze walki mogło się wydać, że nie jest tym, za kogo się podaje. Z ciężkim sercem wyjęła z pochwy niewielki nóż, który nosiła u pasa. A później, ukryta w zaroślach, gdzie udała się pod pretekstem załatwienia potrzeby, kilkoma pewnymi cięciami dokonała tego, czego żadna kobieta nie zrobiłaby z własnej woli. Chwilę stała, ściskając warkocz w dłoni, ale zaraz rzuciła go tak daleko, jak tylko mogła. Z cichym pluskiem wpadł do rzeki. Krysia starała się wyrównać oddech i sprawdziła, czy nie trzeba poprawiać cięcia. Włosy wciąż sięgały jej za uszy, ale udało się je obciąć w miarę równo. Tak przynajmniej jej się zdawało, kiedy je przyglądała, starając się, by pukle zbyt nie odstawały. Odetchnęła jeszcze raz i naciągnęła na powrót czapkę na głowę. Wracając do towarzyszy, powtarzała sobie, że przecie włosy odrosną szybko, a dzięki cięciu nikt jej nie rozpozna.

Ich oddziałem dowodził generał Roźniecki. Stanowili pierwszą przeszkodę dla wroga i jednocześnie ochronę dla głównych sił Księstwa – tyle rozumiała z rozmów pomiędzy wojakami. W czasie spędzonym na oczekiwaniu na starcie Krysia zdążyła się uspokoić, ochłonąć i pomyśleć jaśniej. Nie miała zamiaru brać udziału w walce, jednak potyczka mogła stać się okazją do ucieczki. W ferworze bitwy nikt przecież nie będzie pilnował jednego żołnierza, który czmycha gdzieś opłotkami. Pozostawało tylko trzymać się z dala od walczących i uciekać ile sił w końskich nogach, gdy nadarzy się okazja.

Jednak kiedy dziewiętnastego kwietnia z nadrzecznych zarośli okalających Mrowę wyłonili się żołnierze wroga w białych mundurach, serce podskoczyło jej do gardła. Poranek zapowiadał słoneczny i wyjątkowo ciepły wiosenny dzień, jakby na przekór mającym się rozegrać wydarzeniom. Ukryta pomiędzy wiejskimi zabudowaniami Krysia modliła się, by nikt jej nie zauważył, zwłaszcza olbrzym, który z dziwną przyjemnością i satysfakcją pchał ją w ciągu tego czasu, gdy czekali na właściwe starcie, do rozmaitych pojedynków i potyczek z Pierre'em. Raz nawet sam stanął z nią w szranki. Spodziewał się chyba łatwej wygranej, ale atutem dziewczyny była szybkość, więc po kilku minutach odparowywania uderzeń szabli olbrzymia, wciąż stała na nogach. Zmęczona, zdyszana, zakurzona od pyłu, który wzbijał się z każdym krokiem z udeptanego placu pomiędzy chałupami, ale szczęśliwa, uśmiechała się szeroko, patrząc prosto w zmrużone, połyskujące czernią oczy mężczyzny górującego nad nią wzrostem i umiejętnościami.

Warknął tylko, splunął pod nogi i natarł z taką siłą, że Krysia aż się zachwiała i jęknęła, po czym uciekła przed nim kilka kroków, by dać sobie czas na złapanie tchu. Olbrzym wyszczerzył zęby.

– Będziesz musiał się lepiej postarać, panienko – zaśmiał się, nie mając pojęcia, że trafił w sedno, aż dziewczynie przeszedł po plecach mróz. Nie mógł wiedzieć, że jego przeciwnikiem faktycznie jest kobieta.

– Do usług, jasnie pana – rzuciła i zaatakowała.

Zanim jednak zdążyła wyprowadzić pierwszy cios, olbrzym wytrącił jej z ręki szablę jednym płynnym ruchem. Wściekła, rozżalona i poniżona, rzuciła się na niego z gołymi rękoma i okrzykiem na ustach. Chciała mu wydrapać te oczy, zmazać uśmiezek z twarzy, sprawić, żeby zawył z bólu, żeby... Zanim sprecyzowała, jakie jeszcze tortury mogłaby mu zadać, mężczyzna chwycił ją w pół i oplótł ramionami tak mocno, że zabrakło jej tchu. Jeszcze chwilę szarpała się i wiła, ale szybko pojęła, że im mocniej wierzga, tym silniej ramiona olbrzymia zaciskają się wokół niej, odbierając jej oddech, przez

co zaczyna się jej kręcić w głowie. Znieruchomiała więc.

– Tak lepiej, chłoptasiu! – Usłyszała tuż przy uchu, a po plecach przebiegł jej dreszcz. Co gorsza był on nawet przyjemny, bo ciepły oddech Roberta owionął jej twarz, na której na ułamek chwili spoczął szorstki policzek. Przymknęła oczy pod napływem zalewających ją wspomnień związanych z Michałem.

Olbrzym uwolnił ją i odsunął się, ale w jego oczach wyczytała zaskoczenie. Miała nadzieję, że nie poczuł niewielkiej wypukłości jej piersi, kiedy ją chwycił. Dla pewności obciągnęła poły munduru i schyliła się po szablę, by pokryć tym ruchem zażenowanie.

– Jegomość z naszym kompanem w objęciach wyglądali, jak nie przymierzając... – Pierre nie dokończył, bo olbrzym palnął go w plecy otwartą dłonią z takim impetem, że aż zadudniło, a chłopaka widać zatkało, bo pobladł i umilkł natychmiast.

– Wziąłbyś się do roboty, próżniaku. Konie trzeba oporządzić – zakomenderował olbrzym i zabrał swoją szablę, żeby po chwili mogli zobaczyć już tylko jego plecy.

Pierre odkaszlnął.

– Jegomość za grosz nie ma delikatności – powiedział słabym głosem. – Ubiłby człowieka tak niby przypadkiem, jak się ubija wesz, co się nawinęła pod rękę. – Ponownie zakasłał.

Patrząc na jego chude ramiona, które wydawały się niemal wypychać dziury w ciasnym mundurze, Krysia odczuwała współczucie, że chłopak ma tak szorstkiego towarzysza. Na szczęście wydawało się, że Pierre niejedno już przeżył i raczej szybko zapominał o wszelkich niewygodach.

Teraz, siedząc w kryjówe, niewidoczna dla skradających się Austriaków Krysia przypomniała sobie ten silny uścisk ramion olbrzyma. Rozejrzała się w panice, wiedząc, że z nim nie powinna jej się stać krzywda. Pal diabli, że nie pałała do niego sympatią. Napotkała czujne spojrzenie czarnych oczu. Gestem i mimiką starała się pokazać, że wróg jest obok i, o dziwo, znajdujący się kilka metrów dalej olbrzym rozszyfrował te sygnały, bo zatkał ogromną dłonią usta Pierre'owi, który akurat miał zamiar zacząć narzekać na niedogodności ich położenia. Chłopak ucichł momentalnie.

Olbrzym, uwolniwszy swego kompana, położył palec na ustach, by nakazać milczenie pozostałym, ukrytym najbliższym żołnierzom. Krysia drżała jak osika, co widać Francuz musiał dostrzec, bo wykonał uspokajający gest dłonią. Jego spojrzenie było jak nigdy ciepłe i pokrzepiające. Przywołał ją do siebie, na co odpowiedziała odmownym kręceniem głową. Ponowił gest, lecz ona wskazała brodą na skradających się od strony rzeki Austriaków. Na twarzy olbrzyma pokazało się zniecierpliwienie, jednak kiedy kolejny raz odmówiła zmiany pozycji, pokazał Pierre'owi, by został tam, gdzie jest, a sam przemknął do kolejnego zabudowania, żeby po chwili pod osłoną płotu spróbować przedostać się do Krysi. Niestety, ten ruch został zauważony przez wroga i rozległy się pierwsze strzały.

– *Mon Dieu! Zaczęło się!* – Dobiegł do uszu dziewczyny okrzyk Pierre'a, który nie wyglądał wcale na gotowego do walki. Przerażony nie mniej niż Krysia, rzucił się w ślad za olbrzymem. Widać tylko w jego towarzystwie czuł się bezpiecznie.

Okrzyk utonął zaraz w kanonadzie strzałów i wrzasków bitewnych. Dym ze strzelb gryzł w oczy i Krysia ledwo co widziała. Obok czuła ramię olbrzyma, który dobył już szabli i czekał skoncentrowany na to, aż który Austriak wychyli się dostatecznie blisko, by go usiec.

– Do broni! Wróg atakuje! – Głosy odbijały się od zabudowań i ginęły w nadrzecznych chaszczach.

Nagle grupa żołnierzy Księstwa wypadła spomiędzy zabudowań i bitwa rozgorzała na dobre. Olbrzym popchnął przed sobą nie wiadomo kiedy i Krysię, i krzyżącego wniebogłosy Pierre'a, machającego bez ładu i składu szablą. Nie było czasu, by dobiec do koni, zresztą atakowała ich piechota, więc i tak nie miało sensu dosiadanie wierzchowców. Olbrzym tymczasem z rykiem rzucił się na nacierających Austriaków, których jasne mundury zalewała krew. Krysia stała jak zaczarowana w dymie, huk i krzyku, a szabla w jej dłoni spoczywała bezwładnie. Przecież wiedziała, co należy z nią zrobić, jednak nie potrafiła wykonać żadnego ruchu.

– Walcz! – wrzeszczał olbrzym, lecz ona nie mogła się ruszyć.

Gdyby nie on i miotający się na oślep Pierre, pewnie zginęłaby od przypadkowego ciosu. Olbrzym odepchnął ją i zasłonił sobą przed kolejnym atakiem dwóch rozjuszonych młodych żołnierzy austriackich. Krysia patrzyła w oczy jednego z nich, kiedy od celnego uderzenia jego głowa pękła

niczym dojrzała dynia. Był młody, mógł mieć najwyżej osiemnaście lat, a po chwili konał wstrząsany konwulsjami u Krysinych stóp. To ją wyrwało z letargu. Chciała bić, krzyczeć i biec na oślep przed siebie. Chciała rzucić się na olbrzyma i rozwalić mu łeb za tę niepotrzebną, bezsensowną śmierć. Kiedy uniosła szablę, a z jej płuc wydarł się okrzyk i po policzkach popłynęły łzy, zaatakowało ją kolejnych dwóch Austriaków. Odruchowo zasłoniła się bronią. Z trudem odparowała pierwsze uderzenie. Cofnęła się i zachwiała. Na szczęście Pierre przyszedł jej z pomocą.

Z tyłu dały się słyszeć nacierające posiłki. Bitewne okrzyki zagłuszyły na moment szczęk broni. Dziewczyna zrozumiała, że przeżyje tylko wtedy, gdy będzie jak chłopak machać szablą bez opamiętania. Z szeroko otwartymi oczyma, z wrzaskiem ruszyła przed siebie, dźgając bezładnie. Zatrzymała się dopiero, gdy poczuła, jak pod naporem jej szabli ustępuje najpierw materiał munduru stojącego blisko Austriaka, a potem jego miękkie ciało, z którego bryzga na nią krew. Cofnęła się, bo jej wnętrzości szarpały torsje, ale nie miała czasu, by zwymiotować. Olbrzym popchnął ją, dzięki czemu uniknęła śmiertelnej rany. Upadła w rozdeptaną, wilgotną od krwi ziemię i dopiero wtedy wypłuła zawartość żołądka.

– Wstawaj! Wycofujemy się! – wrzeszczał jej do ucha Pierre, szarpiąc ją za ramię, podczas gdy jego kompan wysforował się na przód oddziału. Wyglądał jak Goliat, majestatyczny, górujący wzrostem nad pozostałymi, przerażający, a przy tym zwinny i sprawny, o co Krysia nie posądzała go wcześniej.

Podarwała się z ziemi i na drżących nogach cofała się, czujna i gotowa odpierać napaść. Obrona załamywała się i żołnierze Księstwa wyraźnie zbliżyli się do ostatnich zabudowań wioski, kiedy rozległa się kanonada dział. Pierwsze strzały padły od strony wzgórza, na którym stacjonowali Sasi. Krysia zdała sobie sprawę, że odwrót był poniekąd jak wciągnięcie wroga w pole rażenia armat. Nie miała pojęcia, że wróg ma dwa razy więcej żołnierzy i dział. Austriacy odpowiedzieli ogniem i zabudowania zniknęły w pyłe i dymie. A kiedy wszystko zaczęło opadać, miejsca, w które trafiły kule, wyglądały niczym pola po zniwach. Tylko zamiast zżętych źdźbeł, na ziemi pokotem leżeli ludzie, zaś śmierć jak zniwiarz kroczyła pomiędzy szeregami i podcinała życia bez względu na wiek, status czy umiejętności.

Zadaniem oddziału Krysi była obrona grobli, przez którą mogli przedostać się Austriacy, ale główne siły z Poniatowskim na czele i tak znajdowały się bliżej Warszawy, w Raszynie. Zanim więc wróg dotarłby do miasta, musiałyby najpierw sforsować obronę znacznie większych sił niż te przy grobli, za którą rozciągały się bagniste łąki, gdzie już łatwiej było walczyć kawalerzystom. Krysia z ulgą dopadła konia. Z wysokości końskiego grzbietu z mniejszym strachem patrzyła na pole walki. Spięła wierzchowca, gotowa gnać w przeciwnym kierunku niż oddziały wroga, ale wtedy gwizdząc, przeleciała obok niej kula armatnia, która wbiła się w ziemię. Pyskająca zewsząd fontanna ziemi podcięła koniowi Krysi nogi. Zwierzę zakwiczało i padło, a noga dziewczyny przygnieciona została jego ciężarem. Ból rozlał się wzdłuż jej ciała i odebrał jasność myślenia. Drapiąc paznokciami ziemię, Krysia usiłowała wydostać kończynę spod dogorywającego zwierzaka. Wtedy z białych kłębow dymu wyłonił się olbrzym na swoim śmiesznym, smukłym koniu i jednym cięciem pozbawił życia jej rumaka. Zeskoczył z siodła, wziął ją pod pachy i szarpnął ku górze, aż w oczach jej pociemniało. Pierre'a nie dostrzegła w pobliżu, bo dym gryzł ją w oczy, które łzawiły i bolały.

– Wskakuj! – wrzasnął olbrzym i podał jej rękę. Nie zdążyła nawet zauważyć, w którym monecie znalazł się z powrotem na końskim grzbiecie. Na szczęście zdrową nogą stanęła na strzemieniu i chwyciła wyciągniętą dłoń. Koń przysiadł pod dodatkowym ciężarem, ale ruszył. Krysia przyłgnęła do pleców mężczyzny, z całej siły ściskając go w pasie. Ból pulsował w rytmie ruchów konia, jednak cieszyła się, że żyje.

Olbrzym skierował wierzchowca w stronę zarośli, które mogły stanowić osłonę. Ich granatowe mundury pozwały się zaszyć pomiędzy drzewami. Zdrętwiała ze strachu dziewczyna nie drgnęła, kiedy zatrzymali się pod osłoną krzaków. Wciąż sparaliżowana bólem i przerażeniem, nie miała odwagi, by puścić Francuza. Z policzkiem przylepionym do jego łopatki dałaby sobie głowę uciąć, że słyszy bicie jego serca pomiędzy szybkimi oddechami. Zapragnęła, żeby mógł się do niej odwrócić i objąć ją tak mocno jak wtedy, w czasie pojedynku. Zamiast tego mężczyzna klepnął ją w przedramię zaciśnięte na jego pasie.

– Możesz zsiadać. Jesteś bezpieczny.

Krysia niechętnie oderwała się od swojego wybawcy, który zsunął się z końskiego grzbietu i chwycił za but na jej nodze, wcześniej przygniecionej końskim ciałem. Pociągnął, aż dziewczynie łzy zakręciły się w oczach.

– Wyprostuj ją.

– Boli... – jęknęła.

– Wyprostuj, mówię!

Bardzo ostrożnie wykonała polecenie, czując wzbierające w oczach łzy. O dziwo, nie bolało tak bardzo, jak myślała, że będzie boleć.

– Zsiądź! – powtórzył.

Westchnęła ciężko i zsunęła się z konia, by postawić uważnie stopę na ziemi.

– Nie jest złamana. Poobijałeś się – rzucił olbrzym i odwrócił się na pięcie, żeby dołączyć do pozostałych zgromadzonych w zaroślach żołnierzy. Patrzyła oniemiała na jego plecy, nie zdążywszy mu nawet podziękować.

– Jegomość chyba chce się mnie... pozbyć. Żeby po tym wszystkim, cośmy razem... Zostawić mnie na pastwę tych zbójów w białych mundurach... – Słowa Pierre'a zagłuszała jednostajna kanonada dział. Wyłonił się z tumanów dymu umorusany, spocony i zdyszany. Na jego twarzy Krysia dostrzegła przerażenie i ślady zostawione przez łzy, co usiłował pokryć jak zwykle słowotokiem i szerokim uśmiechem.

Otarła uwalaną twarz, żeby lepiej widzieć.

– Pierre, ty krwawisz – krzyknęła do chłopaka, a ten z paniką w oczach pomacał się po kurtce, na boku której wykwiłała czerwona plama.

– Ja krwawię – pisnął nienaturalnie wysokim głosem i zemdłał.

Krysia w ostatniej chwili dopadła do niego i odciągnęła go na bok, kuśtykając i stękając z bólu. Szczęściem nie był ogromnej postury, więc oparła go o ścianę pobliskiej chałupy i poklepała po policzku, ale chłopak nie reagował. Nie wiadomo skąd pojawił się obok nich zdyszany olbrzym. Jego mundur pokrywały plamy krwi i błota, zaś w oczach miał coś takiego, że Krysia aż cofnęła się ze strachu. W dłoni wciąż trzymał szablę.

– A temu co? – wysapał.

– Zemdłał.

Nim dziewczyna zdążyła zareagować, Francuz plasnął nieprzytomnego otwartą dłonią w policzek, aż chłopakowi podskoczyła głowa. Okazało się to skutecznym zabiegiem, bo Pierre otworzył oczy i rozejrzał się zaskoczony.

– Co też jegomość... – zaczął, lecz jego wzrok spoczął na krwawej plamie. – O słodki Jezu. Krwawię!

– Uspokój się. – Olbrzym szarpnął Pierre'a za ramię, aż tamten się skrzywił. – A ty opatrz tego tam na koniu, a potem młodego, i wracajcie na pole walki. – Wycelował palec w Krysię, po czym pokazał na ledwie widocznego w tumanach dymu konia. Rzeczywiście na jego grzbiecie bezwładnie zwisało ciało.

Ściągnął rannego i znowu zwrócił się do niej.

– Pomóż mi!

Pokuśtykała w stronę konia, choć nogi się pod nią uginały. Ranny wyglądał raczej na martwego. Był bardzo blady i cały zalany krwią.

– Toć on trup już prawie, ja jeszcze dycham – biadolili Pierre.

– Nic ci nie będzie – zawyrokował jego kompan i machnął ręką, nawet na niego nie patrząc.

Krysia chwyciła rannego za nogi i wspólnie z olbrzymem zataszczyli go za budynek, który osłaniał ich przed ostrzałem wroga. Drżąc z emocji, dziewczyna poczęła rozpinać mundur mężczyzny, ale szybko zorientowała się, że rany są zbyt głębokie, by mogła cokolwiek zaradzić. W jednej z nich coś tkwiło, inna krwawiła mocniej z każdym oddechem mężczyzny. Należało zatamować wypływ krwi i dostarczyć rannego do polowego szpitala, bo z pewnością nie mogło obejść się bez szycia. Krysi trzęsły się ręce i z trudem panowała nad własnym ciałem. Bardzo nie chciała zemdleć, ale przed oczami wirowały jej czarne płaty zwiastujące rychłe zaślabnięcie. Olbrzym to zauważył, bo kucnął przy niej

i pomógł jej ucisnąć mocniej krwawiącą ranę. Ranny żołnierz musiał być wysoki rangą, bo na jego piersi widniały ozdobne złote sznury, zaś na ramionach miał bogate epolety. Dziewczyna skupiła się na zastanawianiu się, kim mógł być, żeby odwrócić uwagę od jego bladej, niemal martwej twarzy.

– Teraz zajmij się młodym – zakomenderował olbrzym.

Krysia skinęła głową, ale zanim posłusznie zabrała się do rozpinania kurtki Pierre’a, wskazała na ramię olbrzyma.

– Ty też jesteś ranny.

Francuz zerknął na swoje lewe ramię i machnął ręką gotowy, żeby wrócić do walki. Krysia jednak zastąpiła mu drogę.

– Opatrzę was obydwu. Zdejmij kurtkę – nakazała.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. Choć serce uderzało jej mocno, nie odwróciła spojrzenia.

– Tylko się pospiesz – warknął i posłusznie rozpiął ubranie.

– Szybciej, Christian! Ja zaraz stracę przytomność. Na litość boską! Ból nie do zniesienia.

Konam chyba – zawodził w tym czasie Pierre.

Krysia pochyliła się więc najpierw nad nim i oddarła pas materiału z jego koszuli. Otarła nim ranę, polewając wodą, którą miała w bukłaku. Cięcie okazało się niezbyt głębokie i niewielkich rozmiarów, choć Pierre darł się wniebogłosy. Na szczęście zagłuszał go ostrzał artyleryjski prowadzony nieprzerwanie przez obydwie strony. Krysia obwiązała Pierre’a wpół pasem oddartym z koszuli i kazała mu się ubrać.

– Powinno się szybko zagoić. To niegroźna rana – uspokoiła chłopaka z ciepłym uśmiechem, zapominając na chwilę, że przecież nie jest teraz Krysią, lecz żołnierzem.

– Niegroźna? Znałem ja takich, co mieli niegroźne rany. Gangrena się wdała i nim trzy zdrowaśki odmówił, trafił na łono Abrahama...

Krysia zignorowała jego utyskiwania, bo olbrzym już parsknął nerwowo, zapewne gotowy zrezygnować z opatrzenia cięcia na swoim ramieniu.

– Zdejmij koszulę i usiądź – nakazała mu Krysia, bo rana znajdowała się na wysokości jej nosa.

– Po co te ceregiele. Obwiąż to i po sprawie – skwitował mężczyzna, wzruszając ramionami. Ona jednak nie ustępowała, więc w końcu z ciężkim westchnieniem ściągnął z barku koszulę, krzywiąc się przy tym, i usiadł obok pojękującego Pierre’a.

Ziemia blisko nich zatrzęsała się od wybuchu. Dziewczyna skuliła się i zachwiała, a następnie wpadła w objęcia olbrzyma. Zamarła z twarzą przyklejoną do jego szerokiej piersi. Mogłaby przysiąc, że słyszy, jak mocno i równo uderza jego serce.

– Rusz się, zanim nas tu jak kaczkę ustrzelą – warknął Francuz i odsunął ją, wykrzywiając się z bólu.

Jej spojrzenie mimowolnie powędrowało na muskularne nagie ramię mężczyzny. Pod napiętą, wilgotną od potu skórą rysowały się ogromne mięśnie. Krysia położyła drżącą dłoń na tym ramieniu i pobladła. Płaty skóry rozchyliły się, ukazując krwawe wnętrza. To musiało sprawiać dotkliwy ból tylko w niewielkim stopniu łagodzony przez bitewny szal. Bowiem dopiero na polu walki zrozumiała, że żołnierz może nie zauważać ran ani nie czuć bólu, bo strach, wola przetrwania i rodzaj amoku, w jaki wpada w czasie walki, znieczula i trzyma przy życiu.

– Paskudnie to wygląda, jegomość. Paskudnie. Jeszcze trochę, a do kości by się jegomościowi psubraty dobrały – perorował tymczasem Pierre, zaglądając Krysi przez ramię.

Niestety, chłopak miał rację. Żle to wyglądało. Dziewczyna przełknęła jednak obawy i polała ranę wodą, a następnie otarła skórę wokół niej z krwi wciąż sączącej się z rozcięcia. Wyciągnęła ze spodni swoją koszulę i oddarła długi pas, którym mocno obwiązała ramię olbrzyma, starając się, żeby brzegi rany się zeszyły. Jej dłoń ponownie musnęła nagą skórę, żeby zatrzymać się na dłoni mężczyzny.

– To powinien zobaczyć medyk – powiedziała i cofnęła się, żeby ranny mógł się ubrać, co skwapliwie uczynił.

– Jegomość nie z takich tarapatów już wychodził. – Pierre machnął ręką i skrzywił się. – Widziałem, jak jegomością...

– Zamilcz wreszcie i rusz zad, zanim ci go artyleria nie odstrzeli. Coraz bliżej są. – Olbrzym



poderwał się na nogi, ale zranioną rękę starał się oszczędzać, więc przynajmniej tyle dobrego wynikło z tego opatrunku.

Rzeczywiście odgłosy ostrzału wydawały się zbliżać. Kule padały tak blisko, że co i rusz ziemia trzęsła się od ich uderzeń. Wzmagał się też bitewny zamęt.

– Co z nim? – zapytała Krysia, pokazując na rannego oficera.

– Zabieramy go ze sobą – zarządził olbrzym.

– Nie damy rady wsadzić go na koński...

Mężczyzna już jej nie słuchał. Podniósł rannego i wspólnymi siłami przerzucili go przez grzbiet wierzchowca. Cała czwórka wkrótce ruszyła w przeciwnym kierunku do zbliżającej się nawałnicy wroga przy wtórze kanonady dział i jęków Pierre'a, który chyba jednak był zadowolony, że wreszcie opuszczają pole bitwy, bo co i rusz oglądał się z wyraźną ulgą.

### III

Dziwna to była bitwa, bo choć żołnierz bronił się dzielnie, choć Austriacy doznali poważnych strat, to rankiem następnego dnia przyszedł rozkaz, żeby wycofać się w stronę Warszawy. Kiedy gruchnęła wieść, że i Warszawę opuszcza wojsko Księstwa, bo książe ułożył się z Austriakami i postanowił im oddać miasto jak na tacy, zrobiło się takie poruszenie wśród mieszkańców, że wycofujące się wojska obrzucano kamieniami przy wtórze niewybrednych wyzwisk, wśród których powtarzało się najczęściej słowo „zdrajcy”. Do tego wszystkiego wycofali się Sasi wspomagający dotąd Księstwo Warszawskie. W oczach ludzi nieświadomych większości ustaleń, jakie dokonały się pomiędzy rządzącymi i dowódcami, ledwie co odzyskane terytorium ponownie było zagrożone zniknięciem z map. Mimo niezbyt wesołych nastrojów, kolejnego dnia żołnierze wracali na Pragę, a potem podążyli w stronę Modlina, gdzie znajdowały się fortyfikacje twierdzy.

Krysia również nie za bardzo miała pojęcie o tym, gdzie i dlaczego są przemieszczani. Jednak rozumiała, że Poniatowski, który jeszcze wczoraj zdawał się być na wyciągnięcie ręki, oddalał się, a wraz z nim szansa na wyjście cało z kabały, jaką była dla niej ta wojna.

Raz nawet, jak się okazało po czasie, widziała księcia, kiedy osobiście z karabinem w garści prowadził żołnierzy do walki. Dopiero po wszystkim olbrzym jakby od niechcenia rzucił, że polscy dowódcy mogą się równać francuskim. Jechali akurat w stronę twierdzy w Modlinie i dziewczyna przysypiała na końskim grzbiecie kołysana miarowym rytmem, w jakim poruszało się zwierzę.

– Czemuż to? – dociekała Krysia lekko jeszcze nieprzytomna i zaskoczona, że mężczyzna pierwszy chyba raz wyraził jakąkolwiek opinię, w dodatku niepytany, sam z siebie.

– Ten ich dowódca... Widziałeś go chyba, bo się wyróżniał i czapką przekrzywioną, i tą fajką w zębach. To ci dopiero! Fajka! – Olbrzym uśmiechnął się, a w jego ciemnych oczach zamigotały wesołe iskry.

Krysia aż otworzyła usta ze zdziwienia. Robert Bréhan mógłby być przystojnym mężczyzną, gdyby czasem się uśmiechał, jak teraz. Oczy mu lśniły i dziewczyna mimowolnie odwzajemniła jego uśmiech.

– A widział jegomość, jak się do tej bijatyki szczerzył? Jakby gdzie na baby szedł – przywtórzyl mu Pierre. – Jak mu tam? Poniatowski? – Nazwisko wymówił z trudem. – Pono książe, a jak dziarsko machał bagnetem!

Krysi zrzędała mina. Więc to był on, sam książe. Widziała go, jednak nie pomyślała, że Poniatowski osobiście mógłby uczestniczyć w walce, w dodatku pieszo, nie konno.

– Coś tak poblądł? – zauważył Pierre.

– Żal mi się tego rannego zrobiło, cośmy go z pola walki zabrali – skłamała.

Olbrzym zachmurzył się i przybrał swoją poważną minę. Po wesołości w oczach nie pozostał nawet ślad.

– Już kiedy jegomość był go zabierał z pola, on jedną nogą był na tamtym świecie. Sames widział. Szkoda było starań i niepotrzebnie się jegomość fatygował. – Pierre miał rację, co nie uspokajało wcale Krysi.

– Był znacznym rangą żołnierzem, a dzięki nam będzie miał godny pochówek – wymamrotał pod nosem olbrzym i wszyscy umilkli. Każdy mógł tak skończyć, bo śmierć nie zwracała uwagi na szarżę.

Krysia milczała z jeszcze jednego powodu. Zdjęła ją nagła trwoga, bo oddalała się i od domu, i od celu swej podróży, czyli pałacu Pod Blachą. Jak się szybko okazało, to jednak był dopiero początek tej podróży.

IV

– Jak to jej nie ma? – Antoni patrzył na zmianę to na żonę, to na matkę, która oznajmiła mu, że jego siostra znajduje się w Warszawie, w pałacu Pod Blachą. – Przecież nie była planowana żadna podróż Krysi.

– Niech ci to wyjaśni twa małżonka – prychnęła matka, zaplatając ramiona na piersiach i patrząc wrogo na Émilie.

Przerażona Leosia jak zawsze występowała w roli tłumaczki. Tym razem miała jeszcze bardziej utrudnione zadanie, ponieważ cała trójka rozmówców kipiała wprost od emocji i Antoniemu zrobiło się jej żal. Błękitne oczy tłumaczki wędrowały od Émilie do jego matki, czasem zatrzymując się na nim.

– Ależ oczywiście, że wszystko wyjaśnię Antoniemu – odpowiedziała z mocą Émilie.

Podolski uwielbiał ją taką: z gniewnym obliczem, z uporem w oczach i z emanującą z niej siłą. Wydawała mu się wtedy jeszcze piękniejsza i bardziej podniecająca, bo nie było nic przyjemniejszego, niż patrzeć, jak ten jej upór topnieje w jego ramionach. Teraz jednak musiał skupić się nie na żonie, a na siostrze.

– Proszę bardzo. Wyjaśnij – rzuciła matka i zacisnęła usta.

– Czy ktoś mi wreszcie powie, co się stało? – Antoni podniósł głos, bo kobiety zaczynały go irytować.

– Mówiłam ci, że Krysia nie czuła się na siłach, by wyjść za mąż za Olszewskiego, że on nie jest ani odpowiednim kandydatem do jej ręki, ani...

– Jakbyś akurat ty miała cokolwiek w tej kwestii do powiedzenia! – wtrąciła matka z satysfakcją.

– Matko, proszę – rzekł pojednawczo Antoni, zanim Émilie zdążyła odparować cokolwiek niegrzecznego. A miał prawo przypuszczać, że zrobiłaby to, bo widział ten niebezpieczny błysk w jej oczach, który zwiastował burzę. Na szczęście rodzicielka umilkła, a Émilie wróciła do opowiadania swojej wersji wydarzeń.

– Krysia była załamana, dlatego postanowiłam dać jej czas na oswojenie się z nową rolą i wyprawiłam ją do Warszawy, gdzie pod kuratelą księcia i jego siostry ma możliwość nabycia ogłady i poznania innego życia. Być może przez to doceni, co tutaj zostawiła. – Émilie wyglądała na przekonaną o własnych racjach. Jej oczy błyszczały, gdy to mówiła.

Kiedy Leosia przetłumaczyła wszystko Podolskiej, ta tylko prychnęła, ale ostrzegawcze spojrzenie Antoniego sprawiło, że nie skomentowała słów synowej.

– Czy ojciec wie? – Skoro przyszły do niego tylko matka i Émilie, miał niemal pewność, że Wincenty nie był wtajemniczony w plany Krysi.

– Teraz już wie, ale nie miał o niczym pojęcia. – Matka nie wytrzymała.

– Jakim cudem Krysia wyjechała i nikt o niczym nie wiedział? Kto zorganizował ten wyjazd? Przecie żaden powóz nieruszony. – W głowie Antoniego pojawiło się niejasne przeczucie, że nie usłyszał jeszcze najważniejszej i zarazem najgorszej części tej historii.

Matka konsekwentnie milczała, ale w jej oczach widoczny był triumf, kiedy jeszcze mocniej zaciskała usta. Nie musiał pytać, by wiedzieć, że Émilie wymyśliła coś niestworzonego.

– Cóż, wygląda na to, że twoja siostra wyruszyła razem z oddziałem, któryście sformowali w Podolanach i Olszewie. – Émilie nie wyglądała na specjalnie przejętą tym, co właśnie powiedziała. Wręcz w jej głosie pobrzmiwało zadowolenie, jakby dokonała jakiego chwalebego czynu, a nie naraziła całą rodzinę na kłopoty.

Antoni zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, jakim cudem jego siostra mogła jechać z żołnierzami, skoro nikt o niczym nie wiedział.

– Chcesz powiedzieć, że Krysia tak po prostu dosiadła Herę i pojechała?

– Niece – odparła z wahaniem Émilie. – Uprzednio ubrała się w męski strój. Nikt się nie zorientował, że jednym z żołnierzy jest nasza Christine. Pojechała incognito.

Podolskiego zmroziło, a Leosia jęknęła, tłumiąc ten odgłos dłonią. Tylko matka wciąż wyglądała

na zadowoloną. Do Antoniego dotarło, że jego mała siostrzyczka wyruszyła w podróż do miasta w towarzystwie wojaków, którzy pojęcia nie mieli, kto z nimi podróżuje. Jeśli to się wydało po drodze, wszystko mogło się zdarzyć. Poza tym reputacja Krysi wisiała na włosku nie tylko z tego powodu. Musiał odetchnąć kilka razy, by się uspokoić, zanim odpowiedział żonie.

– Czy ty rozumiesz, coś zrobiła? – zapytał zrazu spokojnie. – Właśnie przekreśliłaś szanse Krysi na zamażpójście. – Musiał zaczerpnąć tchu. Poluźnił więc halsztuk.

– Nic jej nie będzie. Do tej pory zapewne bezpiecznie dotarła do pałacu Pod Blachą. Tam pod opieką księcia i jego siostry nic jej nie grozi...

– Émilie! – przerwał gwałtownie wywód żony. – Czyś ty oszalała, na litość Boga? Wysłałaś Krysię prosto w paszczę lwa! Może i Tyszkiewiczowa jest niegroźna, może i otoczy Krysię opieką, ale książę... – Antoniemu zabrakło tchu. Zerknął na ledwie trzymającą się na nogach Leosię i na matkę, która straciła rezon. Nie mógł wyłuszczyć całej prawdy, ale powiedział już na tyle dużo, że dokończył tylko: – Książę i ta Vauban<sup>[8]</sup> nie cieszą się najlepszą sławą, jeśli chodzi o kuratelę nad niewinnymi dziewczętami.

Émilie przez moment nic nie mówiła, jakby analizowała to, co powiedział jej mąż i to, czego nie mówił, a czego się domyśliła.

– Przecie nic jej się nie stanie – powiedziała cicho i mniej pewnie niż dotąd, jakby uszło z niej powietrze.

– Jeśli dotarła bezpiecznie do pałacu – wycelował palec w Émilie i wbił w nią spojrzenie, chcąc przekazać nim więcej, niż mówiły słowa – to na twoim miejscu modliłbym się teraz, by to Tyszkiewiczowa rozpostarła nad nią opiekuńcze skrzydła, a nie Vauban. Księcia w Warszawie nie ma. Walki pewnie się rozpoczęły albo na dniach się zaczną, więc dowodzi on osobiście wojskami.

– Co masz na myśli, Antoni? Czy Krysi może co grozić ze strony księcia? – odezwała się zaniepokojona matka po tym, jak Leosia wszystko jej wyjaśniła.

Zanim Podolski odpowiedział, obrzucił żonę twardym, wiele mówiącym spojrzeniem. Jak miał teraz wyjaśnić matce, że książę lubi kobiety, a one kochają jego? Niewinna Krysia mogła się stać ofiarą jego nieposkromionego apetytu. Zaś Henriette de Vauban ułatwiała księciu dostęp do co ładniejszych panien, wręcz sprowadzając je do pałacu. Kiedy jednak jego nie było, istniała obawa, że dziewczyna stanie się obiektem pożądania osobników majątnych, lecz nie zainteresowanych ożenkiem. Wręcz pragnących tylko jednego – chwilowej uciechy i zabawienia się z niedoświadczoną panienką. Krążyły legendy o tym, że Vauban czerpała zyski z rajenia dziewcząt arystokratom, którym nudziły się małżeńskie alkowy.

– Nic jej nie grozi – odparł wreszcie, nie spuszczać wzroku z Émilie. – Jednakowoż należy ją sprowadzić czem prędzej do domu.

– Toż samo mówiłam twej żonie – rzekła matka z wyższością. – Jeśli się rozniesie, że Krysia uciekła przed Olszewskim, dziewczynie przyjdzie życie spędzić w staropanieństwie jak naszej Leosi. – Podolska mówiła bez ogródek, nie zwracając uwagi na to, czy Leosia słyszy, ani czy w jej oczach błyszczą łzy. Wszak ona straciła narzeczonego, ale Krysia mogła stracić reputację, zaś w efekcie szanse na małżeństwo. – Dlatego uważam, że powinieneś czem prędzej siostrę do domu sprowadzić i wybić swej żonie z głowy mieszanie się do spraw naszej rodziny. – Spojrzenie matki powędrowało do Émilie, której uwadze nie umknęło podkreślenie zwrotu „nasza rodzina”. Antoni dostrzegł na twarzy żony to mgnienie każące przypuszczać, że zabolęła ją ta uwaga. Nie miał też wątpliwości, iż matka oczekuje, że odbędzie poważną rozmowę z żoną.

– Pojadę z tobą – zreflektowała się Émilie, ale on pokręcił głową.

– Zostaniesz tu, ja sam szybciej to załatwię. W tym przypadku czas działa na naszą niekorzyść. I matka ma rację. Nigdy więcej nie podejmuj decyzji sama, bez konsultacji z pozostałymi członkami rodziny. Zwłaszcza takich decyzji, które mogą tę rodzinę dotknąć w sposób, o którym nie masz pojęcia. – Musiał to powiedzieć, by dać rodzicielce satysfakcję i by Émilie wreszcie zrozumiała, że to nie Francja. On co prawda nie był okrutnym Treillardem, ale jako mąż miał prawo wiedzieć o poczynaniach żony.

Zgodnie z jego przewidywaniami na twarzy rodzicielki pojawił się grymas zadowolenia, zaś

Émilie wyglądała tak, jakby ją spoliczkował. Zastanawiał się, jakim cudem mężczyźni latami lawirowali pomiędzy żoną a kochankami, kiedy on nie umiał rozegrać niczego tak, by przynajmniej jedna z kobiet z jego otoczenia nie poczuła się dotknięta czy rozczarowana. Musiał ułagodzić matkę, zaś Émilie postanowił zająć się później, gdy zostaną już sami.

V

Tymczasem książę Józef Poniatowski miotał się w swej kwaterze w modlińskiej twierdzy, gdzie przybył na naradę wojenną z generałami Zajączkiem i Dąbrowskim. Wobec wielce niechętnych nastrojów społeczeństwa książę potrzebował sukcesu, takiego, który przyćmi pozorną porażkę, jaką było wycofanie się pod osłoną nocy z zajmowanych pozycji pod Raszynem, a potem i z Warszawy. Bo przecież gdyby nie korzystny układ z Austriakami posiadającymi znacznie przewyższające jego armię siły, Warszawa zostałaby zniszczona na skutek ostrzału. W dodatku Poniatowski zgodnie z porozumieniem mógł zabrać z miasta do Modlina wszelkie zasoby wojenne razem z całym wojskiem, a chorych i rannych żołnierzy pozostawić w szpitalach, bo Austriacy zobowiązali się puścić ich wolno po wyzdrowieniu. Ale o tym wiedziała tylko garstka ludzi będąca z Poniatowskim w czasie rozmów z księciem d'Este w Rakowcu.

– Naród niewdzięczników! Miast dziękować, że włos z głowy nie spadnie nikomu w mieście, miast podziwiać, żem opuścił dobrowolnie swój pałac, oni w nas kamieniami! Żebym ja jako zdrajca... Ja! Com się zmierzył z dwa razy większą siłą wroga i pola żem nie oddał! – gorączkował się książę.

Tych żalów książęcych wysłuchiwał ze spokojem jego adiutant, pułkownik Józef Rautenstrauch, który z niejednego pieca chleb jadł, bo pamiętał czasy króla Stanisława, któremu herb zawdzięczał, a i w insurekcji brał udział.

– Wasza książęca wysokość, za pozwoleniem, a może wystarczyłoby dać ludziom coś... Cokolwiek, co odwróciłoby uwagę od chwilowego ustąpienia pola Austriakom – odezwał się wreszcie cicho.

– Do kroćset! Powtarzam, że nikomu nie ustąpiłem pola! – zacietrzewił się ponownie książę, ciskając przy tym rękawicami w kąt pomieszczenia.

Rautenstrauch odchrząknął.

– Jednakowoż tak to w oczach nieświadomych obywateli wygląda.

Książę przyjrzał się uważnie swemu adiutantowi.

– Co by mogło stać się dla nas owym sukcesem przesłaniającym ostatnie wydarzenia? Mniemam, żeś już co wymyślił.

– I owszem, wasza książęca wysokość – odrzekł z uśmiechem Rautenstrauch, przedsiębiorczy potomek doskonale prosperujących kupców.

– Miej tylko na uwadze, że siły mamy szczupłe, a wróg nie śpi. W dodatku nie posiadamy już wsparcia saskiej artylerii i wciąż liżemy rany po ostatnich potyczkach. Ledwie co pod Ostrówkiem 2 Pułk Ułanów udaremnił Austriakom przeprawę na drugi brzeg Wisły.

– Zapewniam, że przy odrobinie szczęścia wystarczy garstka ludzi, bo nie o walkę nam chodzi i czyny bohaterskie, ale o sukces moralny. O czyn, który przywróci nadzieję na odzyskanie dawnej potęgi kraju, którego zaledwie załóżek dał nam cesarz. O czyn, co pokaże, żeśmy nie poddali się ani Austriakom, ani Prusakom. Słowem, potrzebny nam czyn symboliczny.

Poniatowski zmrużył oczy i uśmiechnął się pod wąsem.

– Cóżeś wymyślił, szczwany lisie?

Tak narodził się pomysł prosty, ale wymagający dyskrecji, na wypadek gdyby nie udało się go zrealizować, bo taką możliwość również należało brać pod uwagę. Jego szczegóły Rautenstrauch wyluszczył księciu, który kiwał głową z aprobatą. Kiedy adiutant skończył, książę milczał, żeby przetrawiwszy wszystko, wydać rozkaz realizacji karkołomnego planu, ale w tej sytuacji mogącego uratować dobre imię Poniatowskiego i całej tej wojny, która Bóg wie, jak mogła się skończyć, jeśli Austriacy postanowią wzmocnić swe siły nad Wisłą. Wszystko jednak musiało odbyć się w najgłębszej tajemnicy. Bowiem gdyby plan się nie powiódł, zamiast rehabilitacji, czekałaby ich kompromitacja, a na to książę nie mógł sobie pozwolić.

## ROZDZIAŁ IV

### I

– Ty i tych dwóch. Jak was zwa? – Oficer, który stał przed Robertem i Krysią oraz Pierre’em wyglądał na doświadczonego w boju żołnierza. Szrama biegnąca przez jego prawy policzek, ale nade wszystko posępne spojrzenie niebieskich oczu świadczyło dobitnie o tym, że przeżył niejedno. Robert jednak wątpił, by doświadczył tego, co przytrafiło się jemu. Wbił wzrok w tamtego, aż oficer zaczął się niespokojnie kręcić. Rozbawiło to Roberta, ale nie dał po sobie niczego poznać.

– Szeregowi Podolski, Bréhan i Bourdie – odparł w imieniu całej trójki młody Polak. Robert zrozumiał ich nazwiska, więc domyślił się, o co pytał oficer.

– Francuzi... – zdziwił się żołnierz. Tym razem mówił po francusku, ale Robert odniósł wrażenie, że wyłącznie po to, by pokazać, że zna ten język. – Rozumieją po polsku?

– Niewiele – odparł znów w imieniu swoich kamratów Krystian.

– Może nawet i lepiej... – odrzekł po namyśle oficer. – Wy trzej pójdziecie ze mną.

Zgodnie z poleceniem, które Krystian skwapliwie przetłumaczył Robertowi i Pierre’owi, udali się z placu koszarowego twierdzy w Modlinie do jednego z budynków. Czekają tam na nich dwóch innych szeregowych, jak domyślał się Robert, bo nie mieli żadnych dystynkcji na znoszonych mundurach.

Bréhan wystarczająco dużo czasu spędził w armii, by wiedzieć, że wybranie spośród żołnierzy tak niewielkiego oddziału może oznaczać tylko jedno. Kłopoty. Oficer przystąpił z zapalem do wyłuszczenia misji, którą powierzono im z racji tego, że brali udział w heroicznej obronie pozycji w Falentach. Poza tym dowódca uznał, że ryzykowali własne życie, by ratować niejakiego Godebskiego, a ten, choć nie przeżył, to okazał się bohaterem wojennym. Stąd właśnie wziął się pomysł, by wysłać ich z niebezpieczną, ale jakże chwalebą misją do Königsberg<sup>[9]</sup>. Miała to być nagroda za dotychczasowe poświęcenie, jakby wysłanie kogo na pewną śmierć mogło stanowić nagrodę. Robert kolejny raz pożałował, że okazał serce owemu Godebskiemu. Wyszło na to, że jego dobroć znowu wpędzi go w kłopoty, których starał się unikać.

Ani Robert, ani pozostałych jego dwóch kompanów nie miało pojęcia, po co jadą do Prus Wschodnich i jaki jest właściwie cel wyprawy, ale tym się nikt nie kłopotał. Mieli za zadanie chronić oficera i tyle. To wystarczyło Robertowi. Im mniej wiedział, tym lepiej.

– Jeśli się spiszecie, żaden z was nie pożałuje tej wyprawy i kto wie, może patenty za tym pójda.

Może i ten oficerek dostanie patent, ale Robert nie wierzył, że tacy jak on szeregowi zyskają cokolwiek poza świeżymi bliznami. Raz już uczestniczył w chwalebnej misji i skończyła się ona dla niego katastrofą. Tym razem miał zamiar wykorzystać tę wyprawę i czmychnąć przy pierwszej nadarzającej się okazji. Oczywiście problemem był Pierre i ten młokos, Podolski. Ale przy odrobinie szczęścia zgubi i tych dwóch.

Swoją drogą myślał, że nic gorszego niż rozgadany i przyprawiający go o ból głowy Pierre nie może go już spotkać. Jakże się mylił! Ten drugi, Podolski, okazał się jeszcze większym utrapieniem. Patrzył na niego tymi swoimi wielkimi oczyma jak cielę, a jego drobne, zwinne ciało...

Bréhan zaklął w myślach. Co też za głupoty mu chodzą po głowie! W tym chłopaku było coś niepokojącego, coś, co sprawiało, że miał ochotę uciekać byle dalej od niego. Kiedy więc Podolski stanął na palcach, żeby znaleźć się bliżej jego ucha, Robert wzdrygnął się mimowolnie, a jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem spłoszonego dziewczęcia, a nie młodego żołnierza. Nagle Robert odczuł żal, bo był przekonany, że ten młokos nie pożyje długo, jeśli trafi w środek kolejnej bitwy. Już w czasie ostatniej potyczki przetrwał tylko dlatego, że miał za towarzysza jego, prawdziwego żołnierza. Znać było po młodziku, że szabli raczej nie trzymał często w garści, ale serce musiał mieć wielkie i gdyby dorósł był w innych czasach, mógłby niejedno osiągnąć.

Robert nie podejrzewał siebie o to, by był zdolny do współczucia czy żalu. Widać jednak wciąż miał w sobie jakieś pokłady człowieczeństwa, co nie rokowało dobrze. Jeżeli miał przeżyć, musiał być jak zwierzę; działać instynktownie, nie zastanawiać się, nie czuć niczego. Tylko w ten sposób mógł znaleźć tego, kto go strącił w to bagno bez dna, a następnie zemścić się na nim najokrutniej, jak tylko był w stanie. Zanim to jednak nastąpi, musiał zostać dezertorem. Dlatego ucieszył się niezmiernie,

że jeszcze tego samego dnia, który się przecież ledwie co rozpoczął, wyprawiono ich w drogę.

Ich oddział liczył ostatecznie sześciu ludzi. Na czele stanął młody oficer, który z poważną miną przytroczył sobie do siodła sakwę na dokumenty. Na jego miejscu Robert raczej ukryłby je starannie przy sobie, ale widać oficer nie dbał o zachowanie pozorów. Podolski wyglądał, jakby ducha zobaczył. Na samą wieść, że ruszają na północ, zbłądził i przez moment Robertowi wydawało się, że chłopak zwymiotuje. Natomiast Pierre swoim zwyczajem wyglądał na wielce podnieconego wyjazdem, bo gęba mu się od rana nie zamykała. Ponieważ jego kompan odjechał od niego na bezpieczną odległość pozwalającą zachować choć odrobinę prywatności, młodzik gadał bez opamiętania do jedynej słuchającej go osoby, czyli do Podolskiego, który i tak wzrok miał nieobecny. Pozostali nie rozumieli ani słowa z paplaniny Pierre'a, ale raz już Krystian musiał uciszać młokosa, bo żołnierze zaczęli najpierw coś mamrotać w tym ich twardym języku, a potem wyraźnie wrogo łypać na paplającego Francuza.

Nocleg wypadł im w zajeździe tak podłym, że Robert nawet żebrakowi by go nie polecił. W trakcie swojej wędrówki przez Prusy pozbył się był jakichkolwiek zahamowań i oczekiwań. W końcu zdarzało mu się spać na garstce zgniłej słomy w lochu, ale tu nie było wcale lepiej. Odprowadzili konie do stanu i weszli do środka, żeby posilić się, a potem ułożyć na spoczynek.

– Mam dość tych wojaży – mamrotał pod nosem Pierre, moszcząc się na słomie rozłożonej wprost na podłodze. – Wolałbym leżeć bodajże na gołych dechach w mojej chałupie niżli w tej spelunie. We Francji to nie do pomyslenia, żeby tak podróżnych traktować.

Podolski nie grymasił, ale widać też mu było niewygodnie, bo kręcił się pod okryciem z płaszczem i posapywał.

– Zamilcz wreszcie! – Robert nie wytrzymał i huknął na Pierre'a.

– O, nawet jegomość nerwowy, bo pewnie jakie źdźbło w zadek kole – zachichotał młodzik.

Robert nie odpowiedział. Zacisnął tylko szczęki i obrócił się tyłem do rozgadanego towarzysza. W mroku izby dostrzegł wpatrujące się w niego lśniąco oczy Podolskiego. Nawet kiedy zacisnął powieki, miał wrażenie, że widzi te oczy. Dlatego też kiepsko spał, a kiedy podniósł powieki, pomyślał, że to nie będzie dobry dzień. Wstał najciszej, jak tylko potrafił, i wyszedł przed zajazd, żeby pooddychać czystym, świeżym powietrzem, wciąż jeszcze chłodnym i nasyconym nocną rosą.

– Z jegomościa to ranny ptaszek. – Pierre klepnął go w plecy, aż Robert obrócił się z impetem, gotowy mu przyłożyć. Zamierzył się nawet pięścią i warknął, ale za plecami gadyły stanął Podolski z wyrazem paniki na twarzy. Bréhan mruknął, machnął ręką i poszedł za potrzebą.

Wyruszyli w dalszą drogę niedługo potem, wciąż kierując się na północ starym traktem łączącym Warszawę z Königsberg. Bréhan nadal trzymał się z tyłu ich niewielkiego oddziałiku, żeby nie słyszeć niczego i w spokoju obmyślać plan ucieczki. Najkorzystniej byłoby dotrzeć do Königsberg, bo w mieście zawsze łatwiej o transport na zachód. Zamierzał załapać się na jakiś statek płynący do Francji, gdyż tylko tak mógł spokojnie i bezpiecznie wrócić do domu. W grę wchodził też brak pieniędzy, a na statku mógłby po prostu pracować.

Pograżony w myślach, nie zwrócił uwagi na ruch w zaroślach okalających drogę. Jakiś czas temu wjechali do lasów ciągnących się pomiędzy jeziorami, których błękitna toń prześwitywała pomiędzy gałęziami drzew. Teren też nie był tu już tak płaski. Co i rusz musieli wspinać się na wzniesienia, żeby po chwili z nich zjeżdżać.

Kiedy pierwszy napastnik wypadł spośród drzew, Robert osadził konia w miejscu. Za chwilę z drugiej strony pojawili się kolejni wrogowie, ubrani w znoszone mundury nieokreślonej barwy. Było ich co najmniej dziesięciu. Wykrzykiwali coś w języku, którego Francuz nie rozumiał, ale nie był to szeleszczący język Podolskiego. Bréhan chwycił za szablę, jednak nie ruszył do walki. Czekał, co zrobi ich przerażony oficer, który nerwowo rozglądał się na boki, żeby stwierdzić, że atakujących jest więcej i podjąć decyzję najgorszą z możliwych, czyli opuścić broń i się poddać. Kimkolwiek byli ci zbójcy, pewnie liczyli na zdobycie pieniędzy, a przecież oni ich nie mieli zbyt wiele. Dobitnie świadczył o tym wczorajszy lichy nocleg. Przewozili tylko jakieś papiery. Robert przewrócił oczami, widząc, co się dzieje. Jeżeli nie dotrą do miasta, może zapomnieć o wyprawie do domu.

– Na litość boską – wymamrotał pod nosem, zwracając na siebie uwagę Podolskiego. – Pierre, atakujemy! – wrzasnął i spiął konia ostrogami.

Reszta potoczyła się błyskawicznie. Oficer dowodzący oddziałem Roberta spadł z konia, dźgnięty przez jednego ze zbójów. Pozostałych dwóch żołnierzy z ich oddziału broniło się dzielnie, ale kiedy jednego zraniono, drugi salwował się ucieczką. Podolski wrzeszczał za nim, by wracał, wywijając bez opamiętania szablą. Jednak przerażony żołnierz zniknął w tumanie kurzu wzbijanym kopytami konia. W pościg za uciekającym ruszyło dwóch napastników, dzięki czemu szanse oddziału Roberta na wygranie tej potyczki znacząco wzrosły, bo dwóch innych zbiorów właśnie dogorywało na gościńcu. Jakimś cudem Pierre usiekł też jednego, a Podolski, błądy jak sama śmierć, kolejnego, ale to sprawiło, że zaciął się w sobie i zamarł na końskim grzbiecie.

– Walcz! – krzyknął Robert. – Podolski!

Chłopak wyglądał, jakby się przebudził, mimo to nie podniósł szabli, kiedy ruszył w jego stronę następny napastnik.

Bréhan wrzasnął jak oszalały i pchnął na oślep walczącego z nim osiłka, który, mimo niezbyt potężnej postury, dotrzymywał mu pola. Nie widział już, jak tamten zsuwa się z konia, bo sam ścisnął boki swojego wierzchowca, aż ten stanął dęba, i ruszył z odsieczą zastygłemu w pozie zdziwienia Krystianowi. Robert zdążył jedynie podbić ostrze szabli napastnika, ale ten już wymierzył precyzyjny cios, który sięgnął korpusu Podolskiego. Chłopak pobladł i zgiął się wpół. W następnej chwili Robert natarł na zbója, którego twarz rozjaśnił uśmiech satysfakcji, i rozorał mu głowę. Krew zalała i ten uśmiech, i czarne wąsiska, i brudny mundur mężczyzny.

– Podolski! – krzyknął wybawca. Nie mógł jednak sprawdzić, jak mocno ucierpiał chłopak, bo musiał kontynuować walkę z dwoma pozostałymi rozwścieczonymi zbójami gotowymi zaatakować bezbronnego, skrzywionego z bólu Krystiana.

– W porządku! – odkrzyknął chłopak i wreszcie machnął szablą, krzywiąc się przy tym ruchu i dociskając dłoń do boku. Spomiędzy jego palców wypływała krew.

– Wy dranie! – miotał przekleństwa Pierre wymachujący szablą jak cepem, ale było to o tyle skuteczne, że przeciwnicy nie mieli do niego dostępu i przynajmniej on ostał się bez ran. – Krystian, nie daruję tym łotrom! – odgrażał się.

Robert pomyślał, jakim cudem to chuchro ma siłę tak wrzeszczeć i walczyć. Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, bo starał się zasłonić sobą Podolskiego i jednocześnie jak najszybciej pozbawić życia przeciwników. Na szczęście okazali się oni marnymi szermierzami. Wystarczyło przerzucić szablę do lewej ręki, a zdezorientowani nie umieli zareagować odpowiednio szybko. Jedno cięcie w poprzek i dwa gardła rozwarły się przed nim, wypływając ze środka żywo czerwone fontanny krwi.

Obrócił konia i dźgnął nacierającego na Pierre'a osiłka, który nie tak dawno zsunął się z konia, a teraz nagle powstał. Tamten zgiął się wpół i upuścił z bólu szablę, ale miał jeszcze na tyle siły i przytomności, by pognać swojego wierzchowca, a w końcu zniknąć za zakrętem drogi.

– Pierre? Jesteś cały? – Robert rozejrzał się, zmuszając konia do obrotu wokół własnej osi.

– Oj, namęczyłem się, jegomość. Aż mnie wszystko boli, ale gracko porachowałem kości tym trzem... – Pierre gadał jak zwykle, a to oznaczało, że nawet go nie drasnęli.

– Podolski... – Robertowi głos uwiązł w gardle.

Krystian ledwie trzymał się w siodle. Nasiąknięty krwią mundur nie rokował najlepiej. Krew kapała z opuszczonej wzdłuż ciała prawej ręki, a szabla leżała obok końskich kopyt.

Bréhan zsunął się z konia i doskoczył do rannego.

– Pierre, pomóż mi. Nie mamy czasu. Ten ostatni może wezwać swoich kamratów. Nie wiemy, ilu ich jeszcze jest.

Bourdie pobladł i przestał mówić. Widać nie brał pod uwagę następnej potyczki, a przecież niewykluczone, że banda liczyła więcej niż tych dziesięciu.

– Jegomość to wie, jak człowieka przestraszyć. – Pierre podjechał bliżej i zsiadł z konia. – A tobie co, Podolski? Ty tu nie udawaj... – urwał, kiedy dostrzegł, w jakim stanie jest chłopak. – Jasny diabeł i święci pańscy, ale go poharatali. Podolski, ty mi tu nie mdlej!

Robert w ostatniej chwili podtrzymał zsuwającego się z konia chłopaka.

– Co jegomość wyrabia? Jego trzeba ściągać co prędzej... – zaprotestował Bourdie, kiedy Bréhan

wdrapał się na grzbiet konia, żeby usiąść za plecami rannego.

– Złap konia oficerskiego, tego z sakwami. Weź też mojego. Nie ma czasu. Musimy uciekać, a tylko tak bezpiecznie go gdziekolwiek dowieziemy. – To mówiąc, umościł się w siodle. Przytrzymał jedną ręką wodze, a drugą objął w pasie prawie nieprzytomnego chłopaka, którego oparł o siebie. – Nie oglądaj się za nami. Jedź pierwszy i szukaj jakiego bezpiecznego postoju. Byle blisko.

– Jak jegomość każe. – Pierre, jak rzadko kiedy, nie dyskutował zanadto. Wykonał wszystkie polecenia bez szemrania i po chwili pędził razem z pozostałymi końmi przed siebie. Robert z Podolskim w objęciach ruszył zaraz za nim, omiatając pole walki szybkim spojrzeniem. Oficer na pewno nie żył, a jeden ze zbójów pojękiwał, ale nie było czasu, żeby go dobić. Dwa konie błąkały się po drodze, jednak nie warto było dla nędznych chabet ryzykować pościgów. Spiał konia, który z podwójnym obciążeniem nie był już tak szybki, a dodatkowo Robert musiał podtrzymywać teraz bezwładnego chłopaka. Modlił się tylko, żeby Krystian żył, kiedy dotrą w jakieś bezpieczne miejsce. No i miał cichą nadzieję, że Bourdie nie ucieknie, gdzie pieprz rośnie i nie zostawi go samego.

Na szczęście kolejny raz Pierre udowodnił, że bywa przydatnym i wiernym kompanem. Robert nie miał wielkich złudzeń co do chłopaka, ale wiedział również, że Pierre'owi po prostu opłacało się trzymać blisko silniejszego i mądrzejszego. Tym razem spisał się wyjątkowo dobrze. Znalazł miejsce odosobnione, ale też takie, w którym mogli się porozumieć w swoim języku. Dwór, gdzie zawitali, leżał na uboczu, jednak młoda gospodyni znała odrobinę francuski. Drewniany budynek chylił się ku ziemi i przypominał raczej większą chałupę niż siedzibę szlachecką. Ale Robert już dawno przywykł do tego, że w tym kraju byle biedak z kilkoma piędziami ziemi ma herb i zowie się szlachcicem.

Właściciel był w podeszłym wieku, dlatego też niechętnie przyjął obcych pod swój dach. Na ich korzyść działało to, że należeli do armii Księstwa Warszawskiego, a wciąż znajdowali się na terenach Rzeczypospolitej zajętych w wyniku rozbiorów przez Prusy. Stary szlachcic ubrany w kontusz nieokreślonego koloru, który przewiązał wysłużonym pasem, włosy miał całkiem siwe, ale dość bujne. Wąsy, kiedyś zapewne krzaczaste i dumnie nastroszone, teraz zwisały w kilku kłakach. Całość obejścia razem z gospodarzem sprawiała wrażenie reliktyw innych, lepszych i z pewnością dawnych czasów.

– Skoroście od Poniatowskiego – wychrypiał mężczyzna, dowiedziawszy się, kim są i przed czym uciekają – odmówić wam noclegu nie mogę. Sam walczyłem za Kościuszki, więc żołnierzom godzi się pomóc. Bylem nie miał z tego tytułu jakowys nieprzyjemności. – Skinął na wiotką i wciąż dość młodą kobietę, która z dziwną ekscytacją przyglądała się przybyszom. – Moja połowica zadba o was. Tylko żwawo tam! – Ostatnie zdanie skierował do rzucającej im zaciekawione spojrzenia żony, po czym zniknął we wnętrzu domu, zanosząc się kaszlem.

Kobieta tłumaczyła na tyle, na ile pozwalała jej znajomość podstawowych zwrotów. Czego nie zrozumieli, domyślili się z gestów. Gospodyni była dość ładna, o rumianej, zdrowej cerze i wydatnych ustach, jednak w przeciwieństwie do męża starała się nosić zgodnie z aktualną modą, choć materia była pośledniego gatunku.

Szlachcianka uśmiechnęła się do nich nieśmiało, ale temu uśmiechowi przeczyły oczy, którymi nachalnie lustrowała Roberta. Domyślił się, że jej mąż raczej nie spełniał wszystkich małżeńskich obowiązków. Bréhan pewnie byłby się zastanowił nad wykorzystaniem sytuacji, bo wystarczająco długo nie miał kobiety, żeby nabawić się od tego problemów zdrowotnych, ale nie było na to czasu. W pierwszej kolejności należało zająć się nieprzytomnym Podolskim, którego musiał zanieść do niewielkiego pomieszczenia w głębi domostwa. Chłopak wyglądał bardzo źle. Był blady jak śmierć. Jednak szybkie zatamowanie krwawienia mogło go uratować. Robert nie miał złudzeń co do tego, że każda rana mogła być śmiertelna, ale nie chciał pozostawiać kompana bez ratunku. Dlatego ułożył Podolskiego troskliwie na wysłużonym łóżku stanowiącym jeden z nielicznych mebli w nisko sklepionym pokoju.

– Przynieś wodę i czyste płótna do obmycia i zaopatrzenia rany – zwrócił się do Pierre'a, ignorując panią domu stojącą razem z dziewczką do pomocy w otwartych drzwiach.

– Nie wygląda to najlepiej, mój jegomość. Dużo krwi. – Pierre nachylił się i zajrzał siedzącemu na brzegu łóżka Robertowi przez ramię. Za wiele widać nie było, bo wciąż mundur skrywał ranę, jednak chłopak miał rację, że wypływ krwi nigdy nie był dobrym znakiem.



– Czy ja ci kazałem kłapać dziobem, czy wziąć się do roboty?

Leżący na łóżku Podolski jęknął z bólu, kiedy Robert usiłował go poruszyć, żeby zdjąć zeń kurtkę.

– Jegomość zawsze niezadowolony, a ja się tylko martwię. – Bourdie wzruszył ramionami.

Robert przybrał najsroźszą z możliwych minę, która wciąż działała odpowiednio na gadatliwego kompana, bo choć ten jeszcze marudził pod nosem, to w końcu ruszył żwawo w poszukiwaniu wody i płócien, zabierając ze sobą kobiety. Bréhan patrzył chwilę na rozsypane na poduszce czarne, kręcone włosy, po czym przystąpił do rozbierania półprzytomnego Podolskiego. Rozpiął nasiąkniętą krwią kurtkę munduru, ale postanowił nie męczyć się ze zdejmowaniem koszuli przez głowę. Wyjął z cholewy buta nóż i skraj koszuli podważył ostrzem, a potem rozciął jednym pewnym ruchem. Zamarł na widok tego, co ukazało się jego oczom po odsunięciu zakrwawionej materii na boki. Nie chodziło o ranę, wokół której zdążyła już zaschnąć krew, a która nie wyglądała aż tak źle, jak się spodziewał, bo była powierzchownym cięciem. Siłę dźgnięcia osłabiła gruba kurtka, zaś chłopak musiał stracić przytomność z powodu widoku krwi i strachu. Unoszącą się miarowo klatkę piersiową Podolskiego oplatał pas materiału. Robert w pierwszej chwili wziął to za opatrunek, ale szybko zrozumiał, że pod tkaniną rysowały się drobne piersi.

– Niemożliwe – wyszeptał i położył dłoń na wypukłości.

Nie mógł się mylić. Podolski był kobietą. Teraz wszystko, co do tej pory wydawało mu się dziwactwami chłopaka, nabrało zupełnie innego znaczenia. Delikatna dziewczęca uroda, zawstydenie, kiedy żołnierze dowcipkowali na temat kobiet i tego, co z nimi wyczyniali, niechęć do załatwiania potrzeb w obecności innych. Kimkolwiek była ta dziewczyna, z pewnością nie była Krystianem Podolskim i brakowało jej doświadczenia w walce. Robert przypuszczał, że w ogóle mogła to być jej pierwsza wyprawa z dala od domu. Nie miała za grosz pewności siebie i łatwo było ją przestraszyć byle czym. Teraz zrozumiał, skąd brało się to dziwne uczucie podniecenia, kiedy znajdowała się blisko. Robert wyciągnął rękę i pogłaskał policzek dziewczyny. Palce zsunęły się na nagie ramię i zostawiło na nim smugę rozmazanej krwi. Dziewczyna skórę miała miękką i chłodną. Dałby wiele, żeby otworzyła oczy i popatrzyła na niego jak wtedy, gdy opatrywała mu ranę: z troską i współczuciem.

Tymczasem Pierre wrócił w towarzystwie nieodstępującej go gospodyni i z miednicą pełną wody. Robert drgnął, jakby przyłapano go na czymś zdrożnym, a przecie tylko patrzył na nieprzytomną dziewczynę. Czym prędzej więc rozebrał ją z reszty munduru, przy okazji przekonując się definitywnie, że Krystian nie jest mężczyzną. Szczupłą talię, którą zapewne mógłby objąć dłońmi, i niezbyt szerokie biodra okryte bielizną na szczęście zdążył przysłonić pościelą, zanim wparował do pokoju Pierre.

– Toż to dziewczyna! – wykrzyknął chłopak nie mniej zaskoczony niż Robert, zobaczywszy obandażowane piersi poszkodowanej.

– Na to wygląda – odparł spokojnie Robert i zamoczył gałgan w wodzie, by delikatnie obmyć zraniony bok kobiety.

Rana rzeczywiście nie była duża, ale ostrze musiało przebić jakieś naczynie krwionośne. Bréhan znał się na anatomii na tyle, by stwierdzić, że raczej żadne ważne narządy nie powinny być naruszone. Ostrze rozcięło skórę poniżej żeber. Dziewczyna pozostawała nieprzytomna, bo straciła sporo krwi, a pewnie też sam fakt odniesienia rany mógł ją przyprawić o omdlenie. Na szczęście kiedy Robert zrobił solidny opatrunek i z pomocą Pierre'a zamocował go, dociskając do rany niewielkim kawałkiem drewna, krwawienie całkowicie ustało.

– Jaki plan, jegomość? – zapytał Pierre, kiedy skończyli, a Robert mył zakrwawione dłonie, czując na plecach niemal palące spojrzenie gospodyni.

Bréhan doskonale wiedział, o co kompanowi chodzi. Misja bez oficera straciła sens. Zresztą i tak nie mieli pojęcia, na czym miała polegać poza tym, że stanowili eskortę do Königsberg. Myślał chwilę, zanim odpowiedział, choć zapewne nie na taką odpowiedź chłopak liczył.

– Powinniśmy odpocząć, zjeść coś.

Teraz to Pierre umilkł, ale szybko zebrał się w sobie. Nabrał powietrza i zerknąwszy na leżącą na łóżku dziewczynę, powiedział:

– Jegomość wie, o co mi chodzi i droczy się ze mną. Co z nią zrobimy? – Wskazał brodą

na nieprzytomną. – Zostawiamy ją? Wracamy z dokumentami? A może, skoro już napatoczyła się okazja, warto czmychnąć... – urwał, bo Robert podniósł się i łypnął na niego groźnie.

– No co, jegomość? Tu miałaby dobrą opiekę. Jak się wyliże, to wróci, skąd przyszła. Nawet nie będzie wiedziała, żeśmy ją tu przywieźli i że przeżyliśmy.

Pierre ściszył głos i stanął na palcach, żeby być bliżej ucha Roberta.

– Tylko trzeba by naszej gospodyni wynagrodzić to jakoś, a to może nie być trudne, bo widzi mi się, że jegomość jej w oko wpadł okrutnie. Ja sam bym chętnie zadośćuczynił, no ale wiadomo, jegomość ma pierwszeństwo – zachichotał i pokazał na kobietę, która najwidoczniej zrozumiała, o co chodzi, bo zarumieniła się i było to nawet urocze.

Spojrzenie Roberta mimowolnie powędrowało jednak na nieprzytomną towarzyszkę, która wyglądała jak olśniewający czarnowłosy anioł otoczony piernatami niczym obłokami. Zaprzagnął, żeby wydobrzała, żeby mogła spojrzeć na niego tym swoim spłoszonym wzrokiem, teraz już nie jako chłopak, ale dziewczyna.

Mimo to nie skomentował propozycji kompana, bo wiedział, że ten ma rację. Trzeba im było uchościć, i to czym prędzej. Druga taka okazja mogła się nie nadarzyć. W dodatku zostawiliby za sobą balast w postaci Polaka, który okazał się kobietą. Najpierw jednak Robert musiał sprawdzić, co przewożą i dla kogo. Potem postanowi, co dalej. Trzeba im też było odpocząć i posilić się przed dalszą drogą, bo cokolwiek wymyśli, z pewnością nie mogli tu zostać. Tak przynajmniej starał się sobie wytłumaczyć chęć pozostania tu jeszcze jakiś czas. Gospodyni przyglądała mu się już teraz otwarcie, więc mógł zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Ale o tym miał zamiar pomyśleć na samym końcu.

Wyszedł na zewnątrz odprowadzany tęsknym spojrzeniem szlachcianki i rozejrzał się za studnią. Słońce grzało mu plecy. Staruteńkie drzewa w sadzie ocieniały umiejscowioną w pobliżu drugiego wyjścia studnię, która musiała być równie wiekowa co całe obejście. Drewniana osłona pochyliła się znacznie, a była tak zmurszała jak przejrzały grzyb, co lada moment stanie się pastwą robactwa. Robert napełnił wiadro wodą i zanurzył w niej dłonie. Przyjemnie chłodziła i koła obolałe palce. Zaczepnął jej w ręce, by umyć twarz. Rozejrzał się po obejściu, które w czasie deszczów musiało napełniać się wodą jak powykrzywiane cynowe naczynie. Wszędzie można było dostrzec koleiny pozostawione przez wozy lub doły wydeptane przez ludzi i zwierzęta. Gospodarstwo ocieniały zapuszczone krzewy i potężne drzewa.

Raptem zatęsknił za prawdziwą kąpielą, za czystą koszulą i wygodnym łóżkiem, na którym mógł się wyleżeć do woli. Zaraz jednak otrząsnął się z tych mrzonek i ruszył po dokumenty, które zostały w torbie w sieni. Wyszedł z nimi przed domostwo i usiadł na koślawej jak budynek ławce. Złamał pierwszą pieczęć i rozłożył papier. W miarę jak czytał, coraz mocniej się dziwił, że wysyłano tak mizerną grupkę ludzi, by dostarczyć korespondencję między innymi do samego króla Prus. Ale przy kolejnym liście pojął, że ich misja była tylko częścią planu. Wśród dokumentów w języku prawdopodobnie polskim, bo nie rozumiał z tego niczego, znalazł jeszcze jeden list, tym razem pisany po francusku, skierowany do księcia Antoniego Radziwiłła. To on był właściwym adresatem i wykonawcą zadania, które miało polegać na wysondowaniu, gdzie znajdują się regalia królów polskich skradzione przez Prusaków ze skarbcza na Wawelu w 1795 roku.

Jak wynikało z listu, żona księcia Radziwiłła była w dobrych stosunkach z królową Luizą, zaś sam Radziwiłł podobno już wcześniej, jak nadmieniał książę Poniatowski w liście, proponował mu wejście we współpracę z pruskim dworem i prosił był o wsparcie w walce z Francuzami. Poniatowski deklarował, że gdyby Radziwiłł był pozytywnie rozwiązał kwestię zwrotu regaliów, mógł rozważyć przystanie na wcześniejsze szlachetne propozycje dworu pruskiego. Robert domyślał się, że Fryderyk Wilhelm musiał Poniatowskiemu proponować przyłączenie się do koalicji antyfrancuskiej, a ten odmówił. Teraz zaś sam wyszedł z propozycją zawarcia przymierza. W razie niepowodzenia pierwszej części planu, miał Radziwiłł przekazać na ręce króla Fryderyka Wilhelma list od księcia Poniatowskiego, ewentualnie wy badać, gdzie się regalia znajdują.

Robert złożył dokumenty w równy stos i zapatrzył się na korony drzew odcinające się od błękitu nieba. Słońce wolno sunęło ku zachodowi, mijały minuty, a on nie miał najmniejszej ochoty się stąd ruszyć. Od dwóch lat usiłował wrócić do domu, a zamiast tego ciągle się od niego oddalał. Planował

ucieczki i usiłował przechytrzyć wszystkich, ale w rezultacie wyłądował tutaj, z dwoma niewydarzonymi towarzyszami podróży. Jeden miał niewyparzoną gębę i irytował go jak nikt inny, a drugi okazał się dziewczęciem, na widok którego on sam zaczynał odczuwać coś, od czego przecież uciekł na tę wojnę. Wpakował się w to wszystko, bo starał się wykonywać swe obowiązki względem kraju jak najlepiej. Wpakował się w to, bo nie mógł patrzeć na szczęście własnego brata, bo obawiał się, że pewnego razu przestanie panować nad sobą i skrzywdzi najbliższych, nie mogąc się pogodzić z jego, a właściwie z ich sielskim życiem. Im mocniej starał się być w życiu dobrym, tym gorzej na tym wychodził. Może więc pora wreszcie pomyśleć o sobie?

– Jegomościa jakaś melancholia dopadła... – Pierre wychynął z wnętrza domu. – A na melancholię najlepsze są kobitki – dokończył szeptem, prawdopodobnie dlatego, żeby gospodyni nie usłyszała, choć raczej nie byłoby to jej w stanie zniechęcić.

Robert nie miał ochoty dyskutować z chłopakiem. Wstał z zamiarem sprawdzenia, co z ranną dziewczyną, choć jego żołądek domagał się posiłku.

– No naprawdę, nie musi się już jegomość tak burmuszyć. Gospodyni zaprasza na wieczerzę. – Pierre nie rezygnował i nadal usiłował sprowokować kamrata do rozmowy.

– Wpierw wypada się doprowadzić do porządku – odpowiedział Robert niechętnie. – Trzeba było poprosić o balię z ciepłą wodą, a nie o jedzenie.

– Żebym jegomością nie znał, to bym pomyślał, że z niego taki czyścioch – zaśmiał się chłopak. – Tam mają ciepłe jedzenie. Mięsiwo pachnie, aż palce lizać – westchnął i cmoknął końce palców, a potem położył dłonie na zapadniętym brzuchu. – Nie wiem jak jegomość, ale mój żołądek dopomina się stawy, zaś moje wszy nie znoszą wody.

Bréhan odruchowo cofnął się o krok, na co Pierre zachichotał i zniknął we wnętrzu domostwa. Rad nierad Robert poszedł w jego ślady.

## II

Głosy dobiegały gdzieś zza ściany. Nie mogła zrozumieć, o czym mówią, choć wyteżęła słuch ze wszystkich sił. Postanowiła otworzyć oczy i zobaczyć, gdzie się znajduje, jednak powieki miała tak ciężkie, jakby coś na nich leżało. Strach dźgnął ją między żebra, po czym ścisnął za gardło. Najpewniej umarła i spoczywa teraz w trumnie, a na jej oczach leżą monety. Dusi się zapewne z braku powietrza pod ziemią. Piersi unoszą się szybko, płuca rozrywa ogień.

– Jegomość, coś z nią nie tak. – Usłyszała wyraźnie znajomy głos.

Nie chcę umierać! – krzyczała w myślach.

Strach sprawił, że się spięła i wreszcie ogromnym wysiłkiem woli podniosła powieki, żeby zobaczyć nad sobą pochmurne spojrzenie Roberta. Pochylał się nad nią, najwidoczniej chcąc sprawdzić, co się z nią dzieje. Wystarczyło, aby wyciągnęła rękę i mogłaby dotknąć jego ogorzałego policzka pokrytego ciemnym zarostem, jednak brakowało jej na to sił. Zastanawiała się, czemu wcześniej nie zauważyła jego pięknych gęstych rzęs. Może dlatego, że nie była nigdy tak blisko. Zamrugnęła.

– Odzyskała przytomność. Czego się tak drzesz? – Zanim Robert się wyprostował, poczuła na policzku jego oddech.

– Bogu dziękować! Wreszcie! – Głos Pierre'a poznałaby wszędzie. Teraz to on pochylił się nad Krysią. – Myśleli my z jegomościem, że się nie wyліżesz, ale twarda z ciebie dziewczucha.

– Daj jej spokój. Niech odpoczywa.

Krysią powędrowała wzrokiem za głosem Roberta, który skrył się za plecami Pierre'a.

– Od tego twojego gadania głowa potrafi rozboleć – dodał Bréhan.

– Nie słuchaj jegomości. Co my się o ciebie namartwili, co napłakali...

Krysią ponownie zerknęła na przewracającego oczyma Roberta. Jakoś trudno jej było sobie wyobrazić, że ten mrukowaty olbrzym mógł płakać.

– Zwłaszcza ty z nosem w biuście tej dziewczuchy – wtrącił zgryźliwie Robert.

– A kto miał mnie pocieszyć, jak jegomość zajęty był sobą? Myć mu się zachciało, kiedy ty tu bidulko...

Krysią przymknęła powieki i uśmiechnęła się. Rzeczywiście Robert wyglądał lepiej niż zazwyczaj. Włosy miał skrócone, choć i tak ciemne loki opadały na czoło. Głębokie cienie pod oczami

niemal zniknęły, a jego ubranie ktoś odświeżył.

– Nawet ona się z ciebie śmieje – zawyrokował Robert półgłosem. – Daj jej odpocząć.

– Nic mi nie jest – szepnęła Krysia słabym głosem. Nagle otworzyła szeroko oczy, bo zdała sobie sprawę, że zwracają się do niej jak do dziewczyny, jednak pochłonięci sprzeczką mężczyźni nie zauważyli tego.

– Jegomość mnie stale od niej odpędza. A nie wiemy jeszcze, jak mamy się do niej teraz zwracać. Chyba nie Krystian!

– W swoim czasie się dowiesz. Teraz szoruj mi stąd, bo cię wyniosę na butach. – Olbrzym zawisł nad kulącym się ze strachu Pierre'em jak jastrząb nad bezbroną myszą. – Przynieś jej co do picia i jedzenia, zamiast kłapać dziobem.

– Idę już, no idę – mamrotał niepocieszony chłopak.

Robert odprowadził go groźnym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi, które przeniósł na Krysę, jak tylko Pierre zniknął za drzwiami. Ona też odruchowo skuliła się na łóżku, a gdy przy niej usiadł, zamarła.

– Kiedy miałaś mi zamiar powiedzieć?

– O czym? – spytała głupio, choć wiedziała, co miał na myśli.

– Nie igraj ze mną, panienko – syknął, zbliżywszy twarz do jej twarzy.

Drgnęła i zaraz skrzywiła się z bólu, który rozlał się w boku. Pot zrosił jej czoło. Przymknęła oczy i opadła na poduszkę, co dało jej odrobinę czasu na zastanowienie się, ile może powiedzieć olbrzymowi.

– Nie igram – szepnęła i otworzyła oczy. – Musiałam uciekać, a tylko w męskim przebraniu mogłam się wyrwać z domu.

– Przed czym uciekasz?

Krysia wpatrywała się w zmrużone oczy Roberta. Znowu wpadła jej do głowy ta dziwna myśl, że gdyby tylko chciała, mogłaby go dotknąć i pogłaskać po szorstkim policzku. Czy kiedykolwiek zastanawiała się nad czymś podobnym w obecności Michała? Czy on też, gdyby się na nią zezłościł, patrzyłby takim wzrokiem? Zdecydowanie powinna skupić się na Michale, na tym, jak wyglądał i jak traktował ją z atencją i czułością. Tylko że przy Robertcie nie umiała sobie nawet przypomnieć, jak Michał wyglądał.

– Muszę wiedzieć, czy nie ściągniesz mi za chwilę na głowę kłopotów. Gadaj – warknął Bréhan.

Serce dziewczyny przyspieszyło, choć sama nie wiedziała dokładnie czy ze strachu, czy dlatego, że twarz Roberta od jej twarzy oddzielał jedynie oddech, którego dotyk czuła teraz na ustach. Znowu rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie Michała. Bréhana się bała, ale był to lęk podszyty fascynacją, do której nie bardzo chciała się przyznać. Kilka razy miała okazję znaleźć się blisko niego i za każdym razem jej ciało się napinało, jakby w oczekiwaniu na coś, czego sama nie potrafiła nazwać.

– Uciekam przed narzeczonym – powiedziała cicho. Postanowiła wyznać Robertowi prawdę. Zmyślanie nie leżało w jej naturze.

Bréhan zaniemówił na moment, po czym wybuchnął śmiechem. Krysia przyglądała mu się z otwartymi ze zdziwienia oczyma, a on zaśmiewał się do rozpuku, ocierając łzy płynące po policzkach.

– To aż takie zabawne? – nastroszyła się, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Czy to jakiś podstarzały amant? Jaką musi być kreaturą, że uciekasz? Starczyło może poczekać, aż sam zejdziesz z tego świata – dowcipkował w najlepsze.

Dziewczyna zaplotła ręce na piersi i znowu skrzywiła się z bólu. Przez tego gbura zapomniała na chwilę o własnym cierpieniu.

– Nie kocham go – rzekła poważnie, a Bréhan wreszcie umilkł.

Przyglądał jej się zupełnie innym wzrokiem. Rozbawienie zniknęło bez śladu i miała wrażenie, że pierwszy raz patrzy na nią tak naprawdę.

– Brak uczucia to żadna przeszkoda, żeby zawrzeć małżeństwo – powiedział wreszcie.

– Kocham... Kochałam kogoś innego. – Zdała sobie nagle sprawę, że to, co czuła do Michała, nigdy chyba nie zdążyło się rozwinąć w prawdziwe uczucie. To był ledwie zamysł, zamiar, który ucieła śmierć ukochanego, zaś nazwanie tego uczucia miłością, nie oddawało istoty rzeczy.

– Więc czemu za niego nie wysłaś?

– On zginął, a ja nie chciałam wyjść za sąsiada. Nie jestem jeszcze gotowa. Nie mogłam... – urwała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć więcej.

Robert umilkł, zaś Krysia opuściła spojrzenie na okryte pościelą kolana. Nie chciała, by widział łyzy lśniące w jej oczach.

– Jak się nazywasz? – zapytał tym razem cicho i bez cienia rozbawienia.

– Christine Podolski.

– Christine – powtórzył Robert. – I uważasz, że ucieczka na pole walki, pomiędzy obcych mężczyzn, jest lepszym rozwiązaniem niż małżeństwo z sąsiadem? A może chciałaś dołączyć do ukochanego? – Tym razem w jego głosie pobrzmiwała drwina.

Podniosła wzrok. Twarz Bréhana wykrzywił grymas pogardy.

– To nie tak. – Głos jej drżał. – Uciekłam z ochotnikami, ale miałam trafić do pałacu Pod Blachą, pod opiekę księcia Józefa Poniatowskiego. Nigdy nie powinnam była się znaleźć na polu bitwy...

– Ale się znalazłaś – wszedł jej w słowo. – Coś ty sobie wyobrażała, dziewczyno? Czy ty wiesz, że przez ciebie zginęli tam ludzie? Bo nie wiedziałaś, jak walczyć, jak stanąć ramię w ramię z innymi? Tylko skąd miałabyś wiedzieć, skoro nigdy nie walczyłaś w szyku bojowym, bo jedyną bronią, jaką władałaś, była igła!

Krysia nie poznawała tego mrukowatego dotąd żołnierza. Gestykulował, jego oczy ciskały gromy. Pewnie nawet przyznałaby mu rację, jednak sposób, w jaki o niej mówił... Jakby była ułomna, głupia i zupełnie nieodpowiedzialna. Sprawilo to, że coś się w niej obudziło. Iskra przekory, buntu, którą dotąd skutecznie tłumila w niej matka, nagle doszła do głosu. Zaciśnęła dłonie i wysyczała:

– Chyba zauważyłaś, że potrafię też machać szablą. Jeżdżę konno, od kiedy pamiętam. Wychowałam się we dworze, ale nie spędziłam życia na salonowych konwersacjach. A gdyby nie mężczyźni tacy jak ty, nikt by nie zginął. Jesteście żądni krwi, władzy i zwycięstw. Za nic macie ludzkie uczucia. Tylko to, co zdobędziecie siłą, jest w stanie zaspokoić wasze nieposkromione apetyty.

Bréhan pochylił się nad nią ponownie, ale tym razem nie kuliła się już pod wpływem jego wzroku. Uniosła podbródek i patrzyła mu prosto w oczy, choć serce waliło jak wtedy na polu bitwy, aż brak jej było tchu, a przed oczami wirowały czarne płatki.

– Nie wiesz, kim jestem i za co walczę – powiedział szeptem, ale usłyszała każde słowo wyraźnie, bo ich usta niemal się stykały. – Więc nie feruj wyroków pochopnie, dziecko. – Ostatnie słowo znowu ociekało pogardą.

– Nie jestem dzieckiem.

– Jesteś nieodpowiedzialnym, niewychowanym...

– Co tu tak gruchacie, gołąbeczki?

Pierre zjawił się jak zwykle nie w porę. Jednak jego obecność sprawiła, że Robert umilkł, wstał z łóżka i wyprostował się, choć nadal spoglądał na Krysę tym swoim pochmurnym wzrokiem. Bourdie postawił tacę z jedzeniem na stoliku ustawionym obok łóżka. Zaraz po pomieszczeniu rozszedł się przyjemny zapach, lecz Krysia tylko zerknęła na talerz. Zbyt była pochłonięta toczącą się rozmową.

– Chyba żem nie przeszkodził... – urwał chłopak.

– Nie! – odparli oboje jak na komendę.

– No proszę, nie ma mnie chwilę, a jegomość już grucha z naszą dziewczką jednym głosem – zachichotał Pierre.

– Czego chcesz? – Robert nie podchwycił żartu. Spiorunował za to chłopaka wzrokiem.

– W pierwszej kolejności chcę się dowiedzieć, kim jest nasza towarzyszka.

– Nazywam się Christine Podolski – powiedziała Krysia, starając się, by jej głos nie drżał. Nie odrywała przy tym wzroku od Roberta.

– Cudowne imię! – Pierre ucieszył się, jakby obiecała mu stos złotych monet. – Tak mi właśnie podejrzanie wyglądałaś. Wcale jak nie chłop. Kto by pomyślał, że wśród wojaków taki kwiatusek się trafi. – Chłopak swoim zwyczajem zaczynał się rozkręcać. – Teraz, kiedy tak na ciebie patrzę, to widzę tę ładną buzię i oczęta błyszczące, nawet figurę niczego sobie...

– Czegoś chciał poza wychwalaniem jej wdzięków? – przerwał mu Robert.

Pierre wziął się pod boki.

– No właśnie, jegomość. Poza tym, że mamy za towarzyszkę piękną dziewczynę, to jeszcze chciałbym się dowiedzieć co dalej.

– Nic – parsknął olbrzym.

– Jegomością to się zawsze żarty trzymają. – Pierre klepnął towarzysza w ramię, na co tamten przeszył go spojrzeniem tak groźnym, że chłopak aż cofnął się o krok i zerknął nerwowo na Krysię, ale kontynuował: – Musimy mieć jakiś plan, bo misję diabli wzięli.

Robert wyjął zza pazuchy plik listów, po czym rzucił je na pościel, na kolana Krysi.

– To są listy od waszego księcia do króla Prus i do księcia Radziwiłła. Poniatowski domaga się zwrotu skradzionych przez Prusaków regaliów. Dołączono spis zaginionych insygniów władzy. Gdyby król pruski odmówił ich oddania, to księżę ma się dowiedzieć, gdzie są trzymane, a wtedy zapewne zostaną skradzione przez waszych ludzi.

Krysią i Pierre milczeli. Dziewczyna z zaskoczenia, bo nie spodziewała się, że sprawa jest wagi państwowej, a chłopak chyba usiłował sobie ułożyć w głowie to, co usłyszał.

– Zaraz, zaraz. Jegomość chce nas zostawić?

– Jadę do Königsberg, a potem płynę do Francji. Nie mam zamiaru brać w tym udziału. Tobą zaopiekują się twoi rodacy – zwrócił się do Krysi. – Rozmawiałem z gospodarzem. Na ile go zrozumiałem, jak wydobrzejesz, odwiezają cię tam, skąd przyjechałaś.

– A co ze mną? – Głos Pierre’a wszedł w niebezpiecznie wysokie rejestry.

– Ty jesteś wolny. Możesz wracać do Francji albo tu zostać. Droga wolna.

– Ale to jest dezercja! – pisnęła Krysią. – Nie możecie mnie tak tutaj zostawić!

– Ależ możemy i mam zamiar to zrobić dla twojego dobra – odpowiedział spokojnie Robert.

– Nie mogę wrócić do domu. Matka mnie zmusi do małżeństwa! Przecież możemy doprowadzić misję do końca! – Odgarnęła pościel i opuściła nogi na ziemię, choć w głowie zaczynała jej szumieć. Powrót do domu nie wchodził w rachubę. Nie tak szybki, nie bez wstawiennictwa samego księcia, bo tylko ono mogło Krysią zagwarantować ucieczkę od natrętnego Olszewskiego.

– Niczego już nie musimy. Dowódca nie żyje. Listy wrócą do księcia, jeśli się uprzesz. Niech zorganizuje nowy oddział i bardziej się przy tym postara. Doprawdy głupio naraża swoich ludzi, a tu jest niebezpiecznie, co możesz mu przekazać. Mnie to już nie obchodzi.

– Zrozum, że ja nie mogę tam wrócić. Nie do Podolan. Ty i tak przecie jedziesz do Königsberg. Pomóż mi, proszę. Przekażę listy, wykonam zadanie, które nam powierzono. Potem możesz ruszać w swoją stronę.

– Myślisz, że sama cokolwiek wskórasz? Że odnajdziesz księcia? – Bréhan umilkł i zrobił krok w stronę siedzącej na łóżku Krysi. – Bo chyba nie wpadło ci do głowy, że w zamian za to Poniatowski zmusi twoich rodziców, by zrezygnowali z planów matrymonialnych – zawiesił głos i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jesteś nieodpowiedzialnym dzieciakiem. – Skłonił się i już miał się odwrócić do drzwi, kiedy Krysią wstała z łóżka.

Nogi się pod nią ugięły, ale zrobiła krok w stronę mężczyzny.

– Robercie! – Tylko tyle zdołała powiedzieć, bo świat zawirował, a ona razem z nim.

Bréhan chwycił ją, zanim upadła.

– Nie wolno ci wstawać, dziewczyno! Masz dziurę w boku. Rana musi się zagoić – mamrotał pod nosem, ściskając ją w ramionach.

– Jegomość wreszcie do rzeczy gada – wtrącił się Pierre. Jego głos dobiegał do Krysi jak zza ściany. Oparta całym ciałem o szerokie piersi Roberta, oddychała głęboko z przymkniętymi oczyma, próbując nie zemdleć.

Podniósł ją jak piórko i ułożył z powrotem na łóżku, po czym troskliwie okrył.

– Nie możesz zostawić mnie i Pierre’a. Po prostu nie możesz. – Uczepiła się jego rękawa i potrząsnęła nim z całą mocą, na jaką było ją stać. – Bez ciebie jesteśmy zupełnie bezbronni.

– Zawsze masz mnie – wyrwał się Pierre, jednak umilkł, gdy zatrzymało się na nim groźne spojrzenie kompana.

– Tu jesteście bezpieczni. – Robert chwycił jej dłoń i zamknął na niej palce, uwalniając się

od desperackiego chwytu dziewczyny. Ale zamiast się od niej odsunąć, tylko mocniej ją uściśnął. Zaskoczona, odwzajemniła dotyk. Robert dopiero wtedy puścił jej rękę.

– Nie dbam o bezpieczeństwo. Gdyby było inaczej, dziś byłabym żoną sąsiada – rzuciła w desperacji.

– Jako żywo zrejterowałaś przed ożenkiem?! – wykrzyknął Pierre i kolejny raz umilkł pod wpływem spojrzenia rzuconego przez kompana. – Rozumiem, już nic nie będę gadał. Tak sobie będę tu milczał i czekał, co też wy dwoje...

– Zamilcz! – ryknął Robert i chłopak dopiero wtedy przestał trąkotać.

– Podaj mi jeden powód, dla którego mam zrezygnować z powrotu do domu i marnotrawić czas, siedząc tu i czekając, aż dojdiesz do siebie. – Robert zwrócił się do Krysi, a ona kolejny raz zdziwiła się, jak szybko zmieniał się wyraz jego twarzy. W jednej chwili wyglądał jak gradowa chmura, kiedy patrzył na Pierre'a, żeby za moment wpatrywać się w nią z ciekawością. A może to była drwina?

– Nie możemy tu zostać. Musimy ruszać do Königsberg! Trzeba nam dokończyć misję! – zawołała pełna werwy Krysią i zaraz opadła na poduszki, bo rana odezwała się tęnym bólem. – Trzeba przekazać listy! Co z nimi będzie, jeśli teraz ty odjedziesz, a ja wrócę do Podolan?

Robert pokręcił głową i wstał.

– Sama widzisz, że musisz dojść do sił. To nie moja misja, nie mój kraj i nie moja wojna. Już nie. – To mówiąc, odwrócił się w kierunku drzwi.

– Za co chcesz wracać do Francji? Nie masz nawet grosza – rzuciła w przyływie desperacji Krysią.

Robert zamarł z ręką na klamce. Nie widział, jak Pierre szeroko się uśmiecha.

– To daleka droga – kontynuowała Krysią, widząc, że trafiła na podatny grunt. – Dylizans pocztowy kosztuje. Miejsce na statku też. Musisz gdzieś spać i jeść. Potrzebne ci pieniądze.

Bréhan odwrócił się wolno i podszedł do łóżka.

– Jeśli wypełnimy misję, jeśli prześlemy te dokumenty, zostaniesz sowicie wynagrodzony i opuścisz Księstwo Warszawskie jako wolny człowiek, nie dezertor – mówiła dalej Krysią, widząc, że jej słowa przynoszą efekt.

– Dobrze mówi, jegomość – wtrącił Pierre, ale szybko dodał: – Ja nie namawiam, jednakowoż pieniądze nie śmierdzą, jegomość. Dobrze by było zarobić trochę grosza...

Tymczasem Robert sięgnął za pazuchę i wyjął trzos. Zawartość zabrzczała, kiedy go podrzucił. Dźwięk nie pozostawiał złudzeń co do zawartości.

– Zabrałeś pieniądze oficerowi – stwierdziła ze zgrozą Krysią. Opadła i ją rezygnacja, bo Bréhan właśnie wytrącił jej ostatni argument z rąk.

– Jemu nie były już potrzebne – odparł spokojnie Robert i schował woreczek za połą munduru. – Jak widzisz mam środki na podróż...

– Ale nadal będziesz dezertorem. Poza tym księżę zapłaci ci więcej niż te nędzne parę groszy. – Krysią nie ustępowała. – Wrócisz do domu jako bogaty człowiek.

– Zapewniam cię, że jest tu pokaźna sumka. Poza wszystkim nie dbam o pieniądze.

– Dobrze jegomość prawi. Po brzęku wnoszę, że będzie tego... – wyrwał się Pierre.

– Nikt nie pytał cię o zdanie. – Robert go uciszył. – Żegnam.

– Proszę, Robercie... – Głos Krysi drżał. Pod powiekami zbierały się łzy bezsilności. – Jeśli ty mi nie pomożesz, cały mój wysiłek, ta ucieczka... To wszystko pójdzie na marne. Nie wyjdę za Olszewskiego. Prędeż ze sobą skończę! – Łzy popłynęły po policzkach, a ona opadła na poduszki.

Miała wrażenie, że otworzyła się w niej otchłań, z której poczęły się wylewać żale spowodowane przeżyciami ostatnich dni. Wyjazd z domu, oczekiwanie na bitwę, walka, w czasie której zmuszona była zabijać. Morze krwi przelanej za coś, co wydawało jej się w tym momencie całkiem bez sensu. Widok umierających w walce i konających od ran, wreszcie jej własny strach i niemoc, gdy zostali zaatakowani na drodze. – Nie możesz mnie zostawić. Proszę...

Bréhan zamarł odwrócony do nich tyłem, z ręką na drzwiach. Nawet Pierre wstrzymał oddech i czekał w milczeniu, co zrobi kompan. Krysią pociągnęła nosem, z całych sił usiłując odegnąć nękające ją obrazy. Chciała coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała, jak jeszcze mogłaby przekonać Roberta

do pozostania. Z nim czy bez niego musiała zrobić to, co należało zrobić. Bała się, zwłaszcza po ostatniej napaści, jednak powrót do Podolan nie wchodził w grę. Owszem, mogła jechać bezpośrednio do Poniatowskiego, ale podróż w przeciwnym kierunku wcale nie była bezpieczniejsza. W dodatku nie gwarantowała tego, że książę zechce jej pomóc. Ogarnęło ją znużenie. Zatęskniła nagle za bezpiecznym schronieniem, jakim był dom w Podolanach. Jakże inaczej wyglądałoby jej życie, gdyby Michał był przeżył. Ale czy zdołałby ją wyrwać z domu? Czy przekonałby rodziców o tym, że zapewni jej godne życie? Tego Krysia nie dowie się już nigdy.

Nagle Robert drgnął, szarpnął za klamkę i wyszedł. Trzasnął tylko za sobą drzwiami.

### III

Do Königsberg dotarli późnym wieczorem, kiedy zmrok spychał za horyzont ostatnie promienie słońca. Krysia z utęsknieniem czekała na koniec podróży. Rana w boku dawała o sobie znać tępym rwaniem. I tak dziewczyna miała dużo szczęścia, bo mimo utraty krwi, nie było to groźne dla życia cięcie, więc szybko wracała do siebie. Minał co prawda dopiero tydzień, w ciągu którego miała dobrą opiekę, jednak teraz po całym dniu spędzonym w siodle każdy ruch przypominał o owym spotkaniu z bandą dezertersów.

Krysia i tym razem skorzystała z męskiego stroju, dzięki czemu mogła przemierzać wyniszczoną wojną Prusy nie niepokojona przez żadnego mężczyznę z wyjątkiem Pierre'a, któremu tradycyjnie już nie zamykały się usta.

– Jaki zachód słońca! Co za widoki! A miasto jakie! Warszawa nie umywa się i zamek też tu mają. Widać z daleka. Ta wieża to pewnie katedra jakaś, chociaż do paryskiej się równać nie może. I ludzi pełno, a znać, że bogaci.

Rzeczywiście miasto było gwarne mimo zapadającego zmierzchu. Fasady kamienic i powozy przemierzające ulice kazały przypuszczać, że mieszkańcy żyją w dostatku. Miasto, poprzecinane odnogami rzeki zmierzającej do morza i pospinane klamrami mostów, tętniło życiem. Nie brakowało drobnych handlarzy, żebraków i wędrownych kuglarzy. Zupełnie jakby wojna nie dotyczyła tego miasta, które przecież było teraz siedzibą pary królewskiej. Inne niż w Warszawie były też tu zapachy. Od morza zawiewał chłodny, wilgotny wiatr niosący niezbyt przyjemną woń ryb, drewna i czegoś nieokreślonego, co mogło być zapachem typowym dla morskiej wody. Krysia, która nigdy morza nie widziała, zapragnęła choć raz wybrać się na wybrzeże, żeby je ujrzeć. Jednak teraz musiała się skupić na tym, co ją czekało.

– Jesteśmy na miejscu. – Robert przerwał zachwyty Pierre'a nad miastem.

Bréhan został z nimi, tłumacząc się tym, że i on potrzebuje odpoczynku, ale nie dłużej niż za tydzień miał zamiar ruszyć w swoją stronę. Dzięki temu Krysia zyskała czas na dojdzie do siebie. Co prawda Robert nie obiecywał, że jej pomoże w czymkolwiek, jeśli pojedą razem, jednakowoż samo już jego towarzystwo napawało Krysię otuchą i nadzieją, że uda im się przynajmniej przekazać listy księciu Radziwiłłowi, do którego były one zaadresowane.

Kiedy dotarli do miasta, najpierw zaopatrzyli się w porządne i przede wszystkim czyste stroje. Musieli też zadbać o siebie, by służba księcia nie wykurzyła ich, zanim zdążą powiedzieć, w jakim celu przybyli. Krysia drżała na samą myśl o tym, że staną przed przedstawicielem arystokracji. Czy będzie umiała się odpowiednio zachować? Czy w ogóle zostaną wpuszczeni przed oblicze księcia? Wreszcie, czy okaże się on chętny do pomocy, skoro sam książę Poniatowski w liście skierowanym do Radziwiłła zauważył, że jego żona Ludwika, mimo zdecydowanie propolskich sympatii, była z pochodzenia Prusaczką?

Bréhan wynajął im pokoje w zajeździe i nakazał obsłudze przygotowanie kąpieli. Krysia z przyjemnością zanurzyła się w balii, by zmyć z siebie trudy podróży oraz brud i pył. Ostrożnie obmyła ranę, zastanawiając się, czy Robert dbał o rozcięcie na swoim ramieniu. Goiło się raczej dobrze, bo już nie oszczędzał ręki jak jeszcze kilka dni temu. Obiecała sobie, że zapyta go o to przy najbliższej okazji.

Krysia nie dzieliła z nikim pokoju, ledwie jednak zdążyła się osuszyć i wciągnąć na siebie bieliznę i skromną, ciemną, ale przyjemną w dotyku sukienkę, a w progu stanął Robert. Wilgotne włosy kręciły mu się nad czołem, twarz miał gładko ogoloną. Krysia pomyślała, że zwykła kąpiel może zmienić wiele, bo poczuła na widok mężczyzny przyjemne ciepło rozlewające się wokół żołądka. On zmierzył ją wzrokiem, a jego spojrzenie zatrzymało się na jej ustach.



– Zanim wyjdziemy, osusz się porządnie przy kominku – rzucił od niechcenia.  
– Przyszedłeś, żeby mi o tym powiedzieć? – zażartowała, lecz nie uśmiechnął się.  
– Nie. Miałem nadzieję, że jesteś już gotowa, ale zapomniałem, że wy, kobiety, potrzebujecie więcej czasu.

– Mogę wyjść teraz, zaraz – powiedziała pewnym siebie głosem i zrobiła krok naprzód.  
– Jeszcze nie wydobrzałaś po ostatniej przygodzie, a już chcesz się nabawić choroby?  
Wstrzymała oddech, bo Bréhan zbliżył się do niej niebezpiecznie blisko. Wyciągnął rękę i dotknął pukla jej wilgotnych włosów, żeby założyć go za jej ucho. Nagle pożałowała, że je ścięła. Sięgały ledwie do brody. W dodatku były nierówne i nierozczesane.

– Są zbyt mokre, a chłodno na zewnątrz. Osusz je. – Odwrócił się z zamiarem odejścia.  
– Robercie... – Zaraz pożałowała, że go zawołała, gdy odwrócił się w jej stronę. – Jak twoja ręka?  
Zerknął na zranione ramię, po czym spojrzał na nią i uśmiechnął się.  
– W porządku. Wygląda na to, że się goi. Byłoby lepiej, gdybym nie musiał nią machać w najbliższym czasie. – Znów zrobił krok w jej stronę i wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć Krysi. – A jak twój bok?

– Boli jeszcze, ale jest lepiej z każdym dniem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będziesz musiał już walczyć. – Nie była pewna, kogo bardziej stara się pocieszyć, siebie czy jego. – Dziękuję. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

Nie odpowiedział nic. Skinął tylko głową i wyszedł. Krysia miała wrażenie, że dopiero teraz zaczęła znowu oddychać, a jej serce zaczęło bić.

Posłusznie osuszyła się porządnie, choć stwierdziła, że zupełnie niepotrzebnie, bo do domu zajmowanego przez rodzinę księcia mieli jechać wynajętym powozem. Bréhan uznał bowiem, że nie wypada, by Krysia dosiadła ponownie konia. Nie chciała rozpoczynać dyskusji, ponieważ wciąż się bała, że Robert w końcu odwróci się na pięcie i zostawi ich z tym całym bigosem kompletnie samych. W ślad za nim z pewnością ruszy Pierre, któremu też zależało na bezpiecznym powrocie do domu. Przełknęła więc wszystkie pretensje i posłusznie wsiadła do powozu.

Podobnie obcesowo Robert potraktował Pierre'a. Kiedy ten pojawił się w korytarzu gotowy do drogi, Bréhan rzucił:

– Kiedy dotrzemy do kamienicy, w której mieszka książę z rodziną, zostajesz w sieni. Będziesz pełnił rolę sługi.

– Że co proszę?! – Pierre poczerwieniał z gniewu. – Czemuż ja mam być jak jakowys oberwaniec, jak przybłąda...

– Nie przybłąda, a oddany sługa panienki Podolskiej – wyjaśnił spokojnie Robert. – Dziewczyna nie może zostać w mieście sama.

– A jegomość?

– Ja wracam do Francji. Najlepiej pierwszym wypływającym z portu statkiem.

– Że też taki despekt...

– Raczej honor wielki dostać się na służbę do polskiej szlachcianki, łachudro – warknął Bréhan.  
– Niech ci nawet do głowy nie przyjdzie, że zostaniesz wpuszczony na salony. Przypominam, żeś prosty żołnierz, nie żaden szlachcic.

– Jakby jegomość był lepszy... – wymamrotał Pierre ze skwaszoną miną.

– Ruszajmy – powiedział spokojnie Robert i nie czekając na Krysię, poszedł przodem.

Zatrzymali się przed okazałym budynkiem z kilkoma piętrami, którego okna ustawione w równych rzędach okolone były ozdobnymi gzymsami. Krysia rozglądała się z ciekawością, bo dla niej wszystko było nowe i nieznanne. Chłonęła najdrobniejsze szczegóły. Wpuszczono ich za furtę olbrzymiej sieni, gdzie czekali cierpliwie na swoją kolej, by spotkać się z księciem. Krysia drżała z niecierpliwości i zmęczenia. Bała się tej wizyty. Była prostą szlachcianką nienawykłą do rozmów z ludźmi wysokiego urodzenia. Antoni miał więcej obycia niż ona. Zazdrościła mu tej swobody wynikającej z ciągłych zmian otoczenia. Powtarzała sobie, że muszą przekazać wiadomości i za to nic złego ich spotkać nie może, ale nie bardzo wiedziała, co będzie dalej. Czy książę ich przyjmie? A może wyrzuci na zbity pysk? Czy zechce się podjąć misji, o której wykonanie prosił Poniatowski? Jedno dziewczyna wiedziała na pewno.

Miała zamiar błagać jego żonę, księżnę Ludwikę, by ta pozwoliła jej zostać u swego boku, nawet w roli służącej. Wszystko było lepsze niż powrót do Podolan czy ponowna droga do Warszawy, gdzie jej przyszłość była tak samo niepewna jak teraz tutaj.

– Długo każą czekać – utyskiwał Robert. – Kiszki marsza mi grają. Trzeba nam było posilić się, zanim dotarliśmy na miejsce – urwał, bo boczne drzwi otworzyły się i sługa w liberii kazał im podążać za sobą. Zagłębili się więc w płataninę korytarzy i klatek schodowych.

– Marudzisz jak Pierre – parsknęła dziewczyna, na co Robert zmierzył ją tym swoim charakterystycznym groźnym spojrzeniem, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo sługa zwrócił się do nich z zapytaniem, kogo ma anonsować.

– Robert Bréhan, hrabia Plélo – odparł pewnym głosem mężczyzna.

– Czyś ty oszalał? – Krysia zareagowała na tę prezentację dopiero, kiedy zostali ponownie sami.

– Podajesz się za hrabiego? Przecież kiedy to wyjdzie na jaw...

– Nikt mnie tu nie zna. Byle łachudry nie wpuszczą na salony, a muszę się rozmówić z księciem osobiście.

– Nie wystarczy przekazać listy?

– Nie. – Bréhan uciał rozmowę.

Zaraz po tym wyszedł do nich ponownie sługa, który zaprowadził ich do apartamentu na piętrze.

Robert minę miał nietęgą, kiedy okazało się, że oczekuje ich nie Radziwiłł, lecz jego żona, księżna Ludwika. Niewielki, przytulny salonik urządzony w kolorze błękitnym, ze ścianami ozdobionymi materią w takim samym odcieniu, przypominał kunsztowne puzderko. Księżna siedziała w obitym miękkim materiałem fotelu. Znać było po niej, że wiekiem niemłoda, jednak nosiła się modnie i jej luźna, krojem naśladująca tunikę suknia z pluszu w kolorze nocnego nieba idealnie współgrała z wystrojem saloniku. Niewielkie bufki udawały krótki rękaw, a dekolt i mankiety wykończono delikatną koronką, która musiała kosztować więcej niż jakakolwiek sukienka Krysi. W ciemnych włosach kobiety objętych opaską można było dojrzeć pierwsze siwe pasma, choć jej wypielęgnowana twarz przeczyła wiekowi. W pomieszczeniu unosił się delikatny kwiatowy zapach, który Krysi przywodził na myśl Émilie.

Robert skłonił się nisko, a Krysia dygnęła dopiero, kiedy Bréhan chrząknął znacząco. Oszłołmił ją przepych i ilość dekoracji, porcelanowych bibelotów, kunsztownych zdobień mebli i obrazów przedstawiających pejzaże. Jednak nie uszło jej uwadze, że Robert czuje się tu zaskakująco pewnie, jakby nie robiło na nim wrażenia ani to miejsce, ani sama księżna. Uznała to za przejaw jego pewności siebie i pogardy dla wyższych stanem.

– Jakie wiadomości od księcia Poniatowskiego przywozicie? – zapytała księżna zaraz po tym, jak zaanonsował ich sługa.

– Wasza książęca wysokość, nazywam się Robert Bréhan, hrabia Plélo, jestem francuskim żołnierzem w służbie Księstwa Warszawskiego, zaś moja towarzyszką to polska szlachcianka, Christine Podolski. Książę Poniatowski wyprawił nasz oddział z tymi oto listami do męża waszej miłości. – Robert umilkł, czekając widać na reakcję Radziwiłłowej.

– Cóż, mąż mój musiał się udać do Warszawy, ale listy przekażę mu niezwłocznie po powrocie. Proszę się nie obawiać. – Kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie, rozumiejąc wahanie przybysza.

Bréhan po namyśle zrobił krok w stronę siedzącej w fotelu księżnej i podał jej plik dokumentów.

– Niestety, w drodze padliśmy ofiarą zbirów. Panna Podolska o mały włos nie przypląciła tego spotkania życiem – wyjaśnił.

Brwi księżnej powędrowały do góry, a jej spojrzenie spoczęło na Krysi. Przyglądała się dziewczynie, gdy ta skromnie opuściła wzrok na buty, czując wykwitający na policzkach rumieniec. Jej prosta sukienka, raczej wisząca na niej, nie mogła równać się z wykwintną toaletą damy. Krysia zaplotła palce tak, by ukryć połamane paznokcie i czerwone, spierzchnięte dłonie.

– Mniej szczęścia miał dowódca naszego oddziału i pozostali uczestnicy tej wyprawy, wasza książęca mość – dodał Robert.

– Doprawdy książę jest aż tak nierozważny, żeby wysyłać z listami młode kobiety w towarzystwie obcych mężczyzn? Czy aż tak źle z jego armią? – Ironiczny ton był aż nadto słyszalny

w głosie księżnej.

– Panna Podolska ukrywała się w męskim przebraniu z powodów osobistych, wasza miłość, i nikt nie wiedział, aż do pamiętnego napadu, że jest ona kobietą. Zaś ja ani na jej cześć, ani na cześć żadnej innej damy nie jestem skłonny nastawać, bo uczono mnie szacunku do kobiet – wyjaśnił Robert.

Księżna zaniemówiła na moment, a Krysia kolejny raz tego dnia miała ochotę parsknąć śmiechem. Robert bywał tak nieprzyjemny, iż bez trudu mogła sobie wyobrazić owo nastawanie na jej cześć, bo przecież dobrowolnie by mu się nie oddała. Znowu spłonęła rumieńcem. Tym razem na myśl o dłoniach mężczyzny przesuujących się po jej ciele. Bo przecież dotykał jej, kiedy opatrywał jej ranę.

– Jakież to powody mogą wyjaśniać noszenie męskiej odzieży i udawanie, jak mniemam, żołnierza? – To pytanie skierowane było do Krysi, a Robert najwidoczniej nie miał zamiaru wybawiać jej z kłopotu, bo trącił ją lekko łokciem, by skłonić do udzielenia odpowiedzi.

– Mój narzeczony zginął w bitwie pod Frydlandem, wasza książęca wysokość – odparła cicho dziewczyna.

Robert spojrzął na nią i przez moment miała wrażenie, że w jego wzroku mignęła litość, może nawet współczucie.

– Rodzice – kontynuowała – postanowili wydać mnie za bogatego sąsiada...

– Uciekłaś więc – dokończyła księżna i uśmiechnęła się ciepło. – Cóż, moja droga, mamy więcej wspólnego, niż mogłoby ci się wydawać – dodała zagadkowo.

Księżna sięgnęła do listów spoczywających na jej kolanach. Część z nich odłożyła na stoliczek o tak misternie rzeźbionych nogach, że zdawał się ledwie wytrzymywać nawet ciężar papieru.

– Pieczęcie zostały złamane, wasza miłość, bo nie wyjawiono nam celu podróży. Podjąłem zatem decyzję, by otworzyć pisma, a kiedym zrozumiał wagę naszej misji, natychmiast postanowiłem zrealizować ją do końca – kłamał jak z nut Bréhan.

Krysia zamrugnęła gwałtownie i przyjrzała mu się uważnie. Na jego twarzy nie dostrzegła nawet najmniejszego grymasu zdradzającego, że nie mówi prawdy. Jej zdziwione spojrzenie nie uszło uwadze księżnej, która przyjrzała im się, zanim przystąpiła do czytania listów. Dziewczyna miała czas, by zastanowić się nad swobodą, z jaką Robert rozmawiał z księżną. Nie robił na nim wrażenia przepych miejsca, nie wyglądał też na skrępowanego czy niepewnego. Nigdy nie mówił wiele, ale teraz wypowiadał się płynnie i w dodatku posługiwał się starannym francuskim; nie wtrącał też niezrozumiałych dla niej zwrotów, jak to miał w zwyczaju Pierre. Dziwny był ten miły, dobrze wychowany Robert i zupełnie do siebie niepodobny.

Stali obydwoje, patrząc jak w miarę czytania kolejnych dokumentów brwi księżnej wędrowały ku górze, by zaraz zbiec się nad zgrabnym nosem. Jak zaciskała usta i jak je uchylała ze zdziwienia. Wreszcie westchnęła, pokręciła głową i popatrzyła na nich.

– No cóż. Sprawa jest wagi państwowej.

– Proszę o wybaczenie waszą książęcą wysokość, ale jestem tu tylko ze względu na pannę Podolską. – Robert skłonił się lekko, a Krysia znów popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Kolejny raz kłamał. Nic a nic nie obchodził go jej los. Chociaż... Mógł równie dobrze być teraz na statku do Francji, mógł zostawić ją pod drzwiami księżnej, a jednak zadbał o to, by przybyła tu odpowiednio ubrana. Jednak mówił w jej imieniu, zaś jego dłoń przez chwilę dotykała jej dłoni, kiedy księżna czytała, jakby chciał dodać jej otuchy. – Pragnę powrócić do Francji. Wzywają mnie tam obowiązki względem rodziny.

Krysia miała ochotę parsknąć śmiechem. Bréhan i rodzina! Doprawdy świetna wymówka!

– Panna Podolska ma wiernego sługę, niejakiego Pierre'a Bourdie, który gotowy jest życie za nią poświęcić. Zapewniam waszą książęcą wysokość, że zadba on o bezpieczeństwo szlachcianki za wszelką cenę. Za pozwoleniem waszej książęcej wysokości, chciałbym się już oddalić, ponieważ moje powinności zostały wypełnione. Zanim to jednak nastąpi, pragnąłbym prosić uniżenie waszą książęcą miłość, żeby panna Podolska mogła zostać pod opiekuńczymi skrzydłami waszej miłości. Wszak sama nie powinna wracać o domu, a tu mogłaby nabrać ogłady i jednocześnie przebywać pod dobrą opieką.

– Drogi panie Bréhan, nie będę pana zatrzymywać, choć nie ukrywam, że chętnie widziałabym pana w swoim otoczeniu. Naturalnie panna Podolska może pozostać w moim domu.

Krysi wydawało się, że się przesłyszała. Jednak reakcja Roberta sprawiła, że pozbyła się złudzeń. Bréhan uśmiechnął się i skłonił z kurtuazją.

– Wasza miłość jest dla mnie zbyt łaskawa. Jednakowoż wzywają mnie obowiązki, choć rad byłbym przedłużyć swój pobyt w Königsberg, mając tak wspaniałą towarzyszkę jak wasza miłość. Muszę jednak doprowadzić do końca sprawy w mym kraju.

– Który notabene jest wrogim dla Prus, gdzie się waszmość znalazł. Zalecam więc daleko posuniętą ostrożność i nieujawnianie się ze swym pochodzeniem oraz owymi sprawami – upomniała księżna.

– Mam to na względzie, wasza książęca wysokość, choć moje życiowe doświadczenia pokazują, iż czasem wróg jest bliższy sercu niż przyjaciel.

– Jestem tego samego zdania. – Księżna popadła w zadumę, a na jej ustach pojawił się smutny uśmiech. Krysia uznała, że kobieta doświadczyła w życiu wielu trudnych chwil. Émilie przybierała czasem podobny wyraz twarzy, gdy wspominała swego męża generała.

– Zatem zostawiam pannę Podolską pod kuratelą waszej miłości. Sam udaję się do portu, skąd dziś jeszcze wypływa statek na zachód Europy.

Krysia odwróciła się w stronę Roberta i popatrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma.

– Ale kiedy ty...? – urwała, bo mężczyzna nawet na nią nie spojrział. Jego zachmurzone oblicze skierowane było wyłącznie w stronę księżnej.

– Wasza miłość – powiedział i skłonił się, a następnie za pozwoleniem księżnej odwrócił się, żeby wyjść.

– Robert! – Krysia nie wytrzymała, kiedy jego dłoń spoczęła na klamce. – Nie możesz... – urwała, bo wiedziała, że mógł zrobić, co mu się żywnie podobało. Nie miała żadnego wpływu na niego i na jego postępowanie. Poczucie bezsilności załało ją nagle z taką siłą, że w oczach zakręciły jej się łzy.

Za jej plecami rozległ się cichy śmiech księżnej. Bréhan zatrzymał się i odwrócił. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Wszystko odbyło się zgodnie z twoim życzeniem. Ja wywiązałem się ze swojej części zadania. Teraz pora na ciebie – powiedział do Krysi, po czym zwrócił się jeszcze raz do księżnej. – Proszę o wybaczenie, wasza książęca wysokość, ale panna Podolska, jak widać, wymaga jeszcze wiele pracy, by nabrać ogłady.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że miał rację. Nie powinna zabierać głosu ani tym bardziej ignorować obecności księżnej, ale wiedziała, że jeśli pozwoli teraz wyjść Francuzowi za drzwi, już nigdy go nie zobaczy.

– Czy mogłabym ci chociaż towarzyszyć w drodze do portu? – zapytała cicho. Karcące spojrzenie Roberta nakazało jej zwrócić się do księżnej. – Wasza książęca wysokość, czy mogłabym...? – Nie bardzo wiedziała, jak miała sformułować to, o co chciała prosić. Przecież sama tak po prostu nie mogła udać się gdziekolwiek, zwłaszcza do portu.

– Nie wypada, żeby młoda kobieta... – zaczął Robert ze złością, lecz księżna weszła mu w słowo.

– Owszem, nie wypada, a skoro chcesz pozostać pod moim dachem, musisz się prowadzić przykładowie. Nie chcemy tu plotek, które utrudnią znalezienie ci w przyszłości dobrej partii.

Krysia przełknęła łzy i zrezygnowanym spojrzeniem pożegnała Roberta, który skłonił się jeszcze raz i zniknął za drzwiami. Dopiero, kiedy jego kroki umilkły, zebrała się w sobie i zwróciła do księżnej.

– Dziękuję waszej książęcej wysokości, że zechciała mnie przygarnąć.

Księżna wstała i zadzwoniła po służbę. Podeszła do Krysi i pogładziła jej policzki.

– Moje dziecko, lekcja numer jeden. Nie goń za mężczyzną. To on jest myśliwym. Ty zdobyczą.

– Palec księżnej powędrował do góry. – Wiedz, że straciłam niedawno drugą z mych córek, nieodżałowaną Loulou, mego aniołka. Niech spoczywa w spokoju. – Kobieta otarła zwilgotniałe oczy.

– Tak mi przykro, wasza miłość – szepnęła Krysia, czując żal na myśl, że ta piękna kobieta być może dlatego miała we włosach pasma siwizny, a w jej głosie wyczuwało się nostalgię, że dotknęła ją taka tragedia.

– Dobry Bóg wynagrodził mi cierpienia i dał syna. Jednak brak mi mojego anioła. Dlatego cieszę

się, że zamieszkaś tu z nami i będziesz mogła zabawić mnie w tym trudnym dla nas wszystkich czasie. Zajmujemy mieszkanie w kamienicy drogiego jenerała Auera. Musisz zrozumieć, że nie stać nas teraz na wielkie luksusy, ale docień mój gest.

– Oczywiście, wasza wysokość.

Rozmowę przerwało pojawianie się służącej. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda, drobna kobieta. Skłoniwszy się swej pani, czekała na rozkazy. Tymczasem księżna nakazała zabranie Krysi do pokoju i zadbanie o nią, co przeczyło wcześniejszemu ostrzeżeniu, że nie ma się co w domu Auera spodziewać wielkich wygód.

– Musimy nad tobą popracować, moja droga, zanim komukolwiek cię pokażemy – dodała księżna.

Kryśka akurat to rozumiała, bo pobyt wśród żołnierzy nie służył ani jej cerze, która stała się pod wpływem promieni słonecznych ciemniejsza, ani paznokciom, ani tym bardziej ściętym krótko włosom, które teraz upięła tak, że wyglądały na dość bujne, ale przecież były w tragicznym stanie, matowe i skołtunione. Jednak na dnie serca pozostała jakaś zadra, jakiś żal, że Bréhan tak po prostu wyszedł i ją zostawił. Na szczęście miał z nią zostać Pierre. Tu Kryśka błysnęła pewna myśl.

– Wasza księżęca wysokość, czy mogłabym posłać po mojego sługę? – zapytała nieśmiało, zanim odprowadzono ją do jej pokoju.

– Masz do dyspozycji służbę naszego drogiego gospodarza, moje dziecko.

– Pierre Bourdie wiele razy uratował mi życie. Nie godzi się, żebym go zostawiła jak pozostawia się zbędny bagaż.

– W takim razie pošlemy po niego – odrzekła księżna i skinęła na służącą, która zaprowadziła dziewczynę do jej pokoju.

#### IV

Kryśka nie mogła się odnaleźć w otaczającym ją przepychu, który księżna nazywała brakiem luksusów. Kafłowy, ozdobny piec ustawiony w rogu pokoju emanował ciepłem, a łóżko obłożone poduchami okazało się tak wygodne, że kiedy na nim usiadła, prawie natychmiast zerwała się na równe nogi, bo ugięło się pod nią niczym najdelikatniejsza pianka. Dziewczynie wydawało się przez to, że leci gdzieś w dół. Pokój, w którym miała spać, wyposażono jak przytulny, bo obitym tapetami i obwieszony kotarami, salonik. Stała tu etażerka z książkami i kobiecymi drobiazgami, maleńki stolicek na giętych nogach oraz delikatne fotele i sofka. W wystroju pomieszczenia dominowały zieleń.

Zapewne powinna się cieszyć, że znalazła się tutaj, że otoczono ją opieką tak, jak tego pragnęła. Teraz mogła w końcu napisać do rodziców i uspokoić ich, że jest bezpieczna. Matka też powinna być zadowolona, że jej niezbyt udana córka znalazła się pod księżęcą kuratelą. Może choć raz rodzicielka poczuje dumę, a jeśli nie, to przynajmniej odrobinę respektu przed arystokratką, która zaopiekowała się jej córką. Tylko dlaczego Kryśka nie doznała żadnej radości? Dlaczego ciągle myślami wracała do wspólnej podróży z Robertem i Pierre'em? Dlaczego miała poczucie, że czegoś nie zrobiła, nie załatwiła do końca? Dlaczego czuła żal, a może i gniew, że po tylu razem przeżytych trudach Bréhan tak po prostu odwrócił się i odszedł bez słowa, jakby zapomniał, że nigdy już mieli się nie zobaczyć?

Te rozważania przerwało pukanie do drzwi. Kiedy zaprosiła gościa, stanął w progu Pierre. Za jego plecami dostrzegła służącą.

– Tak szybko przyszedłeś? – Kryśka zerwała się z sofki i w pierwszym odruchu chciała się rzucić kompanowi na szyję, ale zaraz się powstrzymała, bo wciąż patrzyła na nich służącą.

– Przyprowadziła mnie ta stokrotka – wyjaśnił Pierre, pokazując na dziewczynę i uśmiechając się do niej szeroko, na co ta zarumieniła się uroczo, mimo że nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił.

– Wejdz! – Kryśka wciągnęła go do pokoju i zatrzasnęła za nimi drzwi.

– Nie powinienem tu przebywać. Jegomość mi powiedział tylko, że oczekujesz mnie, a on sam musi załatwić jeszcze jakoweś interesy.

– Więc nie wezwano cię tu na polecenie księżnej Radziwiłłowej?

– Nie – odrzekł z wahaniem Pierre. – Ale żem się zdziwił niepomnie, że tak bez trudu pozwolono mi się z tobą obaczyć, jakby mnie oczekiwano. Wzruszył ramionami.

– Bo w istocie tak było. A teraz słuchaj. Robert ma zamiar popłynąć do Francji. Nie powiedział

ci? – Krysia nie mogła uwierzyć, że Bréhan w tak okropny sposób pozbył się Pierre’a, który otworzył szeroko usta i pierwszy bodajże raz nie wiedział, co rzec. – To drań! Kazał ci tu przyjść, żebyś do niego nie dołączył. Mnie umieścił pod opieką księżnej, a tobie nazaczył rolę mego sługi. Dlatego cię tu wpuszczono.

Pierre pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Po takich kołomyjach, jakich my razem doświadczyli, po takich przygodach, zostawił nas jak za przeproszeniem koń za sobą zostawia łajno. No tegom się po jegomościu nie spodziewał.

– Jako i ja. Myślałam, że mimo wszystko... Że nie wyjedzie... Nie zostawi nas... – Krysia nie umiała ubrać w słowa tego, co czuła. Choć Bréhan nie miał powodów, by zostawać w Königsberg, to trudno było jej się pogodzić z jego decyzją, którą na dodatek podjął bez żalu. – Nie pożegnał się nawet...

– Cały jegomość, ale my się nie damy! Nie tak łatwo się nas pozbyć! – Pierre najwidoczniej powziął jakieś postanowienie, bo oczy mu błysnęły i szeroki uśmiech wykwitł na ustach.

– Jak to się nie damy?

– Znajdziemy ten jego statek, a potem i jegomością, i... i... – zapalił się Pierre, ale widać nie bardzo wiedział, co dalej.

– Chciałabym się tylko pożegnać. – Krysia wybawiła go z kłopotu. Chwyliła chłopaka za mankiet i dodała: – Tylko tyle. Wiesz dobrze, że on i tak postawi na swoim. Ale ciebie nie będę zatrzymywać. Możesz z nim popłynąć do domu. – Już kiedy to mówiła, zrobiło jej się dziwnie pusto. Póki był tu Pierre, czuła się pewniej. Nie mogła jednak samolubnie zatrzymywać chłopaka, który z pewnością tęsknił do domu, jak i ona, mimo że tam nic dobrego na nią nie czekało.

– I tak cię zostawić? Samą?

Krysia zrobiła krok w tył.

– Robert wróci do Francji, czy nam się to podoba, czy nie. Lepiej dla ciebie, żebyś popłynął z nim. Będziecie obydwaj bezpieczniejsi. Tym bardziej że tu, w Königsberg, Francuzi nie są mile widziani. A ja mam dobrą opiekę. U księżnej nic mi nie zagraża.

Pierre patrzył na nią w milczeniu i Krysia mogłaby przysiąc, że w oczach błysnęły mu łzy. Na szczęście szybko się opanował, bo i ją zaczęło coś dławić w gardle, a oczy jej zwilgotniały. Odchrząknęła jednak i dodała:

– Musimy się spieszyć, dziś jeszcze wypływa statek, na który ma się zabrać Robert. Tylko jak ja się stąd wyrwę? – zmartwiła się młoda Podolska. – Potrzebujemy koni...

– O to się nie frasuj – powiedział z mocą Pierre. – Poza tym podopieczne księżnej nie jeżdżą konno, lecz powozami. Czekaj na mnie cierpliwie!

Mrugnął do niej i zniknął za drzwiami.

## V

Kiedy Marianna Podolska opuszczała gabinet, w którym odbyła rozmowę z synem o niesubordynacji Krysi zakończonej ucieczką, a mogącej stać się przyczyną o wiele większych problemów, na jej twarzy Émilie dostrzegła pewność i poczucie wyższości, bo oto udało jej się doprowadzić do poróżnienia synowej z Antonim. Przynajmniej tak się mogło wydawać, bo Podolski wyglądał jak chmura gradowa. Gdy za matką i Leosią zamknęły się drzwi, w gabinecie zapadła cisza. Mąż patrzył na Émilie z wyrzutem i w zasadzie mógł być już nic nie mówić, bo i tak czuła się upokorzona i sprowadzona do roli beznadziejnie głupiej gęsi. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że właściwa rozmowa dopiero przed nimi.

– Powiedz to wreszcie – rzekła, gdy cisza się przedłużała, a wraz z nią malała jej pewność siebie.

– Wystarczająco mocno poniżyłeś mnie przy matce, więc chyba już nic gorszego powiedzieć nie można.

– Cóż ja mam ci powiedzieć, Émilie? Dobrze wiesz, że zadałaś naszej rodzinie celny cios, po którym może się długo nie podnieść. A najbardziej skrzywdziłaś Krysię. Na twoim miejscu modliłbym się, żeby Olszewski dalej żył w niewiedzy i sądził, iż narzeczona opuściła go, by nabrać ogłady, a nie uciec od niego.

W miarę jak Antoni mówił, Émilie bladła coraz bardziej, a krew zdawała się tężeć w jej żyłach. Jak skamieniała słuchała oskarżeń rzucanych pod jej adresem. Wciąż miała nadzieję, że Antoni przy matce odstawił teatr i połajanie jej było częścią tego widowiska, zaś w rzeczywistości stoi po stronie jej

i Krysi. Jednak jego słowa przeczyły temu, w co chciała wierzyć. Wreszcie otrząsnęła się i odparowała:

– Czy ty siebie słyszysz, Antoni? Czy naprawdę myślisz, że Krysi stanie się większa krzywda w pałacu Pod Blachą aniżeli w domu Olszewskiego? Przecie ta kreatura już pokazała rogi i uprzedziła, co czeka Krysię po ślubie.

– Ta kreatura to najlepsza partia w okolicy. Krysia będzie żyła jak pani...

– Będzie mieszkać w złotej klatce, w dodatku tresowana przez tego, tego... – z emocji zabrakło jej słów – ...tego gbura!

– Przestań obrażać szlachcica! I przestań upatrywać w Olszewskim kogoś pokroju Treillarda. To nie jest twój mąż, to człowiek z zasadami, który zadba o bezpieczeństwo swej żony.

– On jest dokładnie taki sam jak Charles. Czy wy wszyscy tego nie widzicie? – Émilie odsunęła się od męża, który próbował się do niej zbliżyć. Zrobiło jej się gorąco na samo wspomnienie tego, co wyczyniał z nią Charles. Nie mogła dopuścić do tego, by Krysia musiała przechodzić przez takie samo piekło. – Będzie ją poniżał, traktował jak rzecz, jak swoją własność. O szacunku i zrozumieniu nie będzie mowy.

– Émilie... – Antoni złagodniał i widać było, że chce ją udobruchać, ale było już za późno.

Wszystko to, czego doświadczyła od Treillarda, wróciło do niej w jednej chwili. Ból, poczucie osamotnienia i poniżenie oraz nieustający strach o własne dziecko. Kiedy Antoni ją objął, łzy popłynęły jej z oczu i jeszcze długo szarpała się, próbując wyplątać się z jego ramion. Jednak mąż znał ją lepiej niż ona sama. Nie puścił jej, póki nie zawisła w jego ramionach bezwładnie, póki nie wykrzyczała w jego surdut całego bólu wywołanego wspomnieniami.

– Proszę, Antoni. Nie pozwól na zmarnowanie niewinnej Krysi. Ona nie musi cierpieć – powiedziała wreszcie, zwracając ku mężowi zapłakaną twarz.

– Nie pozwolę skrzywdzić mojej siostry. Dziwię się, że w ogóle mogłaś tak choć przez chwilę pomyśleć – wyszeptał Antoni i otarł kciukiem jej łzy.

– Więc nie pozwolisz, by wyszła za tego łajdaka? – Nieśmiały uśmiech wypełził na usta Émilie.

– Tegom nie powiedział.

Żona zeszywniała w jego ramionach.

– Ale przecie obiecałeś, że nie dasz jej skrzywdzić – zaczęła, jednak mąż wszedł jej w słowo.

– Owszem. Krysia może w każdej chwili przyjść do mnie, gdyby Olszewski względem niej zachowywał się nieodpowiednio. Jeśli zaś dowiem się, że mą siostrzyczkę traktuje źle, nałożę mu rozumu do głowy. Jak będzie trzeba, to i z pomocą mej szabli. – Antoni zrobił groźną minę.

Podolska wyplątała się z ramion męża i odsunęła od niego nieznacznie. Pociągnęła nosem, otarła policzki i zebrała się w sobie. Próbowała mówić spokojnie, bo emocje na niewiele mogły się tu zdać.

– Kiedy Olszewski weźmie ją za żonę, będzie za późno na cokolwiek. Nikt, nawet ty, nie obroni jej przed mężem. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że tylko śmierć będzie mogła ją uwolnić spod jego władzy.

Antoni chwycił ją za dłonie.

– Émilie, najdroższa. Znam Olszewskiego długo. Dłużej nawet niż ciebie. Poza tym, że to człowiek zakochany w sobie, lubiący się szczyścić dokonaniem antenatów, nie ma na koncie żadnych występków. Ba, nawet w walce nie brał udziału, bo wygodnie mu zasłaniać się dobrem rodzinnego majątku. Taki z niego bohater. – Podolski zaśmiał się na koniec, jakby opowiedział dobry żart, a nie utwierdził Émilie w tym, co myślała o Olszewskim.

– Założmy, że masz rację, że walki się boi. Może nawet i ciebie by się bał. Jednak bezbronna kobieta, nad którą ma się władzę, jaką daje ślub i błogosławieństwo rodziny, staje się łatwym celem. Będzie mógł bezkarnie wyładowywać na niej wszelkie frustracje. Czy ty, Antoni, nie wiesz, jak to jest w życiu? Ludzie pokroju Olszewskiego nie walczą z tym, kto silniejszy od nich, ale mszczą się na słabszych. – Głos jej zaczął drżeć. Jeśli to nie miałyby przekonać Antoniego do zmiany decyzji, to nie wiedziała, co jeszcze można było powiedzieć. Na szczęście mąż zdawał się tracić rezon. W jego oczach dostrzegła błysk wątpliwości.

– Może i masz rację, może i przyjdzie nam się o tym boleśnie przekonać...

– Nie nam, a Krysi. To ona dostanie się pod but tyrana – wtrąciła Émilie.

– Owszem, Krysi, ale nas... Mnie dotknęłoby to tak samo mocno. Zrozum jedno. Ojciec podjął decyzję, złożył obietnicę. Ba, umówił się był już z Olszewskim co do wielkości wiana. Wycofanie się z tego wszystkiego byłoby jak największa potwarz zarówno dla Olszewskiego, jak i dla nas. Czy ty wiesz, jak ten człowiek by o nas mówił? Miałby pełne prawo odsądzać nas od czci i wiary. Jedno wiem na pewno, on jest mściwy i danie mu pożywki równa się zniszczeniu reputacji rodziny, czyli także przekreśleniu szans Krysi na wyjście za mąż za innego. Bo któż by chciał taką, co to jej rodzina warunków umów nie przestrzega.

Pomiędzy małżonkami zapadło ciężkie milczenie. Émilie trawiła to, co powiedział mąż, szukając jakichkolwiek argumentów, które pozwoliłyby jej zmienić los nieszczęsnej dziewczyny, ale nie przychodziło jej nic do głowy. Za to rosła w niej niezgoda na to, co, zdawałoby się, nieuchronne. Nagle błysnęła jej w głowie pewna myśl.

– Antoni, jest wyjście z tej sytuacji – zaczęła wolno, jeszcze niepewna tego, co dokładnie powinni zrobić. – Przecie możesz pojechać po Krysię do Warszawy, ale jej wcale nie znaleźć albo... – zawiesiła głos.

– Jak to nie znaleźć?

Émilie podeszła do męża i oparła głowę na jego piersi, po czym zajrzała mu przymilnie w oczy.

– Może się przecie okazać, że książę postanowił wydać ją za kogo innego.

– Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Ano tak, że z autorytetem księcia nikt przecie dyskutował nie będzie. Nawet Olszewski musiałby uznać, iż pierwszeństwo ma kandydat mający błogosławieństwo Poniatowskiego.

– Ja cię nie poznaję, Émilie! Na rany Chrystusa, czy ty myślisz, że mój ojciec złamie raz dane słowo z powodu twoich wymysłów? – Antoni odsunął żonę od siebie na odległość ramion.

– To nie moje wymysły. Mógłbyś przecie postarać się, będąc w Warszawie, żeby Krysią znalazła odpowiedniego kandydata do jej ręki.

– Dość! – ryknął wreszcie rozsierdzony na dobre Podolski.

– Ale Antoni...

– Dość, mówię! Jutro wyruszam do Warszawy. Do tego czasu nie chcę słyszeć nic o Krysi i Olszewskim. – Antoni zacisnął pięści i wrócił za biurko, jakby w ten sposób chciał odgrodzić się od Émilie. Dobra żona powinna podjąć ostatnią próbę złagodzenia gniewu męża, powinna go przeprosić i wreszcie powiedzieć mu o swych podejrzeniach, że prawdopodobnie jest w ciąży, ale w głowie Émilie eksplodowała furia. Podeszła do biurka i oparła na nim dłonie.

– Znoszę twoją matkę, która ledwie raczy mnie tolerować – mówiła cicho, hamując kipiący w niej gniew. – Pozwalam ci się łąać przy niej, milczę, kiedy ona mi dogryza, kiedy traktuje moją córkę jak powietrze, zapominając, że w naszych żyłach płynie hrabiowska krew. Staram się zadowolić ciebie i całą twoją rodzinę. A kiedy proszę cię, byś stanął w obronie swej pogardzanej przez matkę siostry, ty zasłaniasz się rodową dumą i szlacheckim honorem. Czy Krysią ci mówiła, że matka zamierzała wydać ją za Olszewskiego, kiedy jeszcze żył Michał? Czy wspominała ci, że twoja rodzicielka robiła wszystko, by ją wydać za mąż bogato, acz nieszczęśliwie?

Antoni wyglądał na zaskoczonego, ale milczał, więc mówiła dalej.

– Nie wiem, co takiego wydarzyło się w życiu Marianny Podolskiej, że upatrzyła sobie Krysię i to właśnie jej postanowiła odebrać prawo do szczęścia. Wiem jednak, że ta dziewczyna ma tylko nas i tylko od nas zależy, czy matka dopnie swego i złamie jej życie, czy też moja szwagierka będzie szczęśliwa jak ty i ja. Choć po dzisiejszej rozmowie śmiem twierdzić, że to nasze szczęście było jedynie moim wymysłem. – Émilie wyprostowała się i obrzuciła męża chłodnym spojrzeniem.

– Nie tylko ty poczułaś dziś rozczarowanie. Ja również zaczynam się zastanawiać, czy nie było błędem poślubienie kobiety, której wydaje się, że może mną kierować według swego widzimisie, a ze sprzeniewierzenia się utartym prawom i normom uczyniła sposób na życie, którym zaraziła mą siostrę, wmawiając jej, że porywy serca są ważniejsze niż interes rodziny. – W głosie Antoniego brzmiała twarda nuta, której Émilie nigdy dotąd nie słyszała. Zazwyczaj godzili się szybko, jeśli nawet dochodziło między nimi do gwałtownej wymiany zdań. Tym razem jednak uderzył celnie, uświadamiając żonie, co sądzi o jej postępowaniu, o jej próbach odzyskania dziecka i jednocześnie



uratowania ukochanego przed zemstą Treillarda. Przełknęła z trudem te słowa, choć widziała, że mąż pożałował tego, co powiedział w emocjach, zanim jeszcze skończył mówić. Wyprostowała się z dumą.

– Zapominasz, że gdybym nie łamała owych zasad, nie byłibyśmy dziś razem – rzekła spokojnie i wyszła z gabinetu z wysoko podniesioną głową. Łzom pozwoliła popłynąć dopiero wtedy, gdy znalazła się za drzwiami.

## ROZDZIAŁ V

### I

Krysia wyjrzała z okna rozklekotanej dorożki, którą trudno było nazwać powozem. Nie bardzo wiedziała, jakim cudem Pierre zdobył ten pojazd, bo wyjaśnił jej tylko, że przecież gość księżnej musi poruszać się po mieście przyzwoitym środkiem lokomocji, ale radowało się jej serce, że się udało. Nawet jeśli miałyby dostać reprimendę od księżnej za to, że wymknęła się bez jej wiedzy z pałacyku.

Przy nabrzeżu tonącym w szarości zmierzchu kołysały się olbrzymie statki, wzbudzając zachwyty i jednocześnie strach. Bo jakżeż to, żeby tak olbrzymie twory mogły spokojnie unosić się na wodach rzeki Pregel<sup>[10]</sup> i nie tonąć. Dopiero bowiem rzeką można się było dostać ku morzu, a i w przeciwnym kierunku była żeglowna i podobno transport nią odbywał się na olbrzymią skalę. Zresztą i port nie był tu jeden, bo niemal każda z dzielnic miasta miała swój własny.

W nozdrza dziewczyny uderzył specyficzny zapach ni to zgnilizny, ni rozkładu, w niczym nieprzypominający znanych jej woni. Okrzyki mężczyzn rozładowujących statek i nawołujących się w łasztowni na nabrzeżu wyrwały ją ze stanu zdziwienia i oszołomienia rozpościerającym się przed jej oczami widokiem. Pomiędzy statkami rozlewała się smolista woda. Lekko falująca i chlupocząca niespokojnie, ale rytmicznie. Wysokie spichlerze budziły podziw, bo Krysia nie miała wcześniej okazji widywać tak potężnych budynków. Szybkość i zwinność ludzi kręcących się jak mrówki wokół swego kopca powodowały zawroty głowy. Pewnie dziewczyna przyglądałaby się dalej temu widowisku, ale Pierre, który wrócił z nabrzeża, odnalazłszy statek odpływający lada moment na zachód, przypomniał jej swą obecnością o celu wyprawy do portu.

– To ten na końcu. – Chłopak wskazał statek z dumnie wypiętym kadłubem, którego maszty sięgały wyżej, niż Krysia mogła dojrzeć.

Nabrała powietrza i zarzuciła na głowę kaptur obszernego płaszcza, pod którym ukryła się cała jej drobna sylwetka, a potem wysiadła z powozu. Serce biło jej jak oszalałe. Nie miała czasu, żeby się zastanawiać, czy to ze strachu przed kręcącymi się po nabrzeżu potężnymi mężczyznami, którzy pokrzykiwali raz za razem, a czasem śmiali się głośno, aż ją dreszcze przechodziły, czy może z emocji, bo zaraz miała spotkać Roberta po raz ostatni.

Otrząsnęła się i zacisnęła palce na brzegach płaszcza. Nie pora na roztkliwianie się nad sobą, bo zbliżyli się do trapu prowadzącego na statek. Pierre podszedł do zwalistego, brodatego mężczyzny ubranego w coś, co przypominało mundur, i wcisnął mu w garść kilka monet. Krysia domyślała się, że Robert musiał zostawić chłopakowi jakieś pieniądze, bo niepodobna bez nich się obejść, zwłaszcza w obcym mieście. Może więc Bréhan nie był aż takim draniem bez serca, jak myślała.

– Lepiej żeby nikt w porcie nie słyszał francuskiego – szepnął do niej Pierre.

Krysia pokiwała głową i tym mocniej strach ścisnął ją za gardło. Jednocześnie podziwiała Pierre'a, który potrafił odnaleźć statek, opłacić kogo trzeba i znaleźć Roberta.

– Ten człowiek zabierze mnie na statek, tymczasem ty ukryj się w cieniu. Znajdę czym prędzej jegomościa i powiem, że na niego czekasz. Obiecuję, że zejdzie do ciebie, choćbym miał go tu zawlec siłą. Ale my pożegnamy się już teraz. – Zrobił znak krzyża na piersi, po czym dodał, ścisnąwszy jej dłoń: – Żegnaj, Christine. To był wielki zaszczyt poznać tak odważną kobietę.

– Szczęśliwej podróży i mam nadzieję, że dotrzesz bezpiecznie do domu – powiedziała Krysia. Wzruszenie zatamowało jej oddech.

– No nie wiem. Płynę z jegomościem, a tu wystarczy, żeby mnie podsadził i jużem za burtą – zażartował chłopak i Krysia musiała się zaśmiać.

Pierre spoważniał.

– Nie daj się wydać za byle kogo. Chociaż już współczuję twemu przyszłemu mężowi.

– Bréhan miał rację. – Trąciła go w ramię. – Jesteś okropny. – Wbrew żartobliwemu tonowi tej rozmowy, po policzkach popłynęły jej łzy.

– Żegnaj, Christine – wyszeptał Pierre. Padł sobie w ramiona, a potem on się odwrócił, żeby wbiec na pokład, zaś ona pozwoliła sobie na szloch.

### II

Dziewczyna stała na nabrzeżu w cieniu olbrzymiego spichlerza, starając się nie przykuwać

niczyjej uwagi, ale nikt nie schodził z pokładu, nikt, na kogo czekała. Przeszła z nogi na nogę. Mimowolne drżenie ciała nie ustępowało. Nagle zdała sobie sprawę, że przecież Robert wcale nie musi chcieć się z nią żegnać. Gdyby chciał, zrobiłby to już wtedy, gdy zostawił ją u księżnej. Minuty płynęły, mrok gęstniał, jakby zakradał się od spichlerzy szczelnie otaczających nabrzeże, jednak wśród ludzi na trapie nie mogła dostrzec znajomej zwalistej sylwetki. Zamiast tego ktoś szarpnął ją za ramię i powiedział coś po niemiecku. Nic nie rozumiała, ale zorientowała się, że padło jakieś pytanie, które zadał jej wysoki, chudy mężczyzna cuchnący na odległość tak obrzydliwie, jak może cuchnąć ktoś, kto nie mył się od wielu miesięcy.

Nieopatrznie Krysia zwróciła się do niego po francusku:

– *Parlez-vous français?*<sup>[11]</sup>

Szybko zreflektowała się, że popełniła błąd, jednak było za późno. Słów nie dało się cofnąć. Mężczyzna zrobił krok w tył, zmarszczył czoło, jakby intensywnie nad czymś myślał, i zawołał niezbyt głośno, patrząc jednocześnie gdzieś w bok. Przerazona Krysia zdała sobie sprawę, że zwrócił się zapewne do swoich kompanów. Chciała iść do powozu, ale chude palce przytrzymały mocno jej ramię. Szarpnęła się, jednak nie zdołała się uwolnić.

– Proszę mnie natychmiast puścić! – rzekła podniesionym głosem, tym razem po polsku. To niczego nie zmieniło, wręcz odwrotnie, tylko rozsierdziło napastnika. Mężczyzna szarpnął ją w swoją stronę. Żałowała, że nie ma ze sobą choć małego sztyletu. Była zupełnie bezbronna. Strach zacisnął na jej gardle zimne, sztywne palce.

Kiedy spojrzała w stronę, z której dochodziły głosy, dostrzegła dwóch kolejnych mężczyzn o zmierzwionych włosach. Ich odzienia, co dawno nie widziały wody, wisiały na nich smętnie. Jeden z nich chwycił ją za ramię z drugiej strony, a kolejny złapał za brzegi płaszcza, żeby go rozchylić i brudnymi łapskami zaczął ją obmacywać. Być może w poszukiwaniu pieniędzy, choć ich śmiechy i sapania kazały jej obawiać się najgorszego. Wrywała się i próbowała krzyczeć, ale cuchnące łapsko zacisnęło się tym razem na jej twarzy, blokując dostęp powietrza do płuc.

Czarne płaty zaczęły spadać jeden po drugim przed oczami Krysi. Wierzyła ostatkiem sił, jednak z każdym ruchem traciła rezon, a ból zranionego boku odbierał jej oddech. Brudne dłonie dotykały piersi, ciągnęły gdzieś w mrok, chwytaly za włosy. Kiedy w głowie miała już tylko jedną myśl: „to koniec!”, jeden ze zbirów odskoczył od niej, a raczej został oderwany. Towarzyszył temu ryk przypominający odgłos dzikiego zwierzęcia.

Kolejny z napastników uwolnił ją, ale w jego dłoni błysnęło ostrze. Krysia wciąż nie mogła się ruszyć, bo trzeci oplótł ją ramionami i skutecznie unieruchomił. Wciąż kręciło jej się w głowie, a policzek owiewał odór nieświeżego oddechu mężczyzny, mimo to mogła już swobodnie wciągnąć powietrze do płuc. Ból w boku stawał się nieznośny. Skupiona na nim, dopiero po chwili zorientowała się, że uzbrojony w nóż napastnik składa się do ciosu wymierzonego w plecy Roberta okładającego drugiego z mężczyzn.

– Robert! – wrzasnęła i jednocześnie szarpnęła się z całej siły.

Nagły ruch sprawił, że świat zakolysał się przed jej oczami. Gdyby nie ściskający ją zbir, upadłaby na ziemię. Przez moment nic nie widziała. Unosiła się gdzieś na fali bólu, a odgłosy walki dobiegały do niej jak zza kotary szczelnie otulającej jej ciało, które stało się nieznośnie ciężkie. Oprzytomniała dopiero, kiedy zbir, uderzony potężną pięścią prosto w skroń, puścił ją, a ona upadła na bruk, którym wyłożone było portowe nabrzeże, boleśnie się przy tym obtłukując.

– Christine! – Robert podniósł ją natychmiast z ziemi. – Nic ci nie zrobili? Możesz stanąć?

Krysia oddychała spazmatycznie, starając się uspokoić i odpowiedzieć na pytanie, ale wciąż strach tamował jej głos. Wtuliła się więc w znajome ramiona Roberta. Z jej piersi wyrwał się szloch. Ból pulsował w boku, więc wołała oprzeć się na stanowczo obejmującym ją mężczyźnie.

– Wszystko w porządku? – dopytywał wciąż, a ona mogła tylko kiwać głową.

Jeszcze długo chlipała, zanim się uspokoiła i mogła podnieść na niego zażawione, opuchnięte oczy. Bréhan głaskał uspokajająco jej plecy i mocno tulił, aż się wyplakała.

– Tak się bałam... – nie skończyła, bo w oczach Roberta mignęła wściekłość.

– Miałaś zostać u księżnej – warknął. – Co też ci do głowy przyszło! A ten idiota Bourdie nie

doczeka rana. Własnymi rękami go ubiję. – Aż zgrzytał zębami.

Jakby na potwierdzenie tych słów palce Roberta zacisnęły się na jej ramionach, ponieważ próbował ją odsunąć od siebie, zapewne żeby jego reprimenda była skuteczniejsza. Ale Krysia wczepiła się w jego surdut tak mocno, że zdołał tylko nią lekko potrząsnąć, co wywołało na jej twarzy grymas bólu.

– Twoja rana – domyślił się natychmiast, dlaczego się skrzywiła. – Do stu diabłów! Zabiję tego chłystka. Narażać cię i w dodatku...

Krysię zalała fala wdzięczności i czułości dla tego olbrzyma. A jednak się o nią martwił, a jednak dbał o jej dobro i kolejny raz udowodnił, że mu na niej zależy. Niewiele myśląc, zamknęła usta Roberta, przywierając do nich swoimi. Mężczyzna zamarł, ale po chwili objął ją mocniej i pocałował z pasją i całą wściekłością, jaka nim targała. Oderwali się od siebie dopiero, kiedy emocje opadły.

– Co to miało być? – parsknął Robert. Mówił już ciszej, a gniew jakby z niego uleciał. – Nie próbuj odwracać mojej uwagi od tego, że obydwoje jesteście lekkomyślni. Bourdie miał cię chronić.

– Nie pożegnałeś się ze mną. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy...

– Nie bądź śmieszna! Przyczepił się do mnie najpierw ten wieśniak, a potem sprowadził ciebie. Od początku wiedzieliście, jaki jest mój cel!

Krysi aż zabrakło tchu. To bolało bardziej niż rana w boku. Rozluźniła palce wciąż zacisnięte na ubraniu Roberta i wyplątała się z jego objęć. Zdawało jej się, że tym jednym zdaniem właśnie wyrwał jej serce, które zaczęło dla niego szybciej bić. Przy nim przestała wreszcie myśleć o Michale i zaczęła rozumieć, że być może poza młodzieńczym zauroczeniem, poza zachwytem pomieszany z gloryfikacją Śniegockiego, powinna była czuć coś więcej. Tym czymś było obezwładniające uczucie niespełnienia, które ogarniało ją, gdy Robert znajdował się w pobliżu. Teraz jednak boleśnie przekonała się, że Bréhan tego nie odwzajemnia. Ba, Pierre miał rację. Ona dla niego znaczyła tyle, co przyklejone do podeszwy końskie łajno, którego ze wstrętem chciał się pozbyć.

Robert oddychał jak po długim biegu. W jego ciemnych oczach czaił się ten tak dobrze jej znany rodzaj nieustępliwej pewności, a jego pięści zaciskały się z całej siły.

– Rozumiem – szepnęła Krysia słabo.

– Do mnie też dotarło, jegomość. – Pierre wyłonił się z mroku. – Chodźmy, Christine. Nic tu po nas. Nie będziemy jegomościowi w paradę wchodzić.

Krysia chciała iść, ale nogi jakby wrosły jej w ziemię. Chłopak miał rację. Zostało im tylko się wycofać. Powinna była raz na zawsze zapamiętać tę nauczkę i nigdy nikomu nie pozwalać wkradać się do serca. Michał złamał je pierwszy raz. Teraz Robert zrobił to samo. Nie, on to serce rozdeptał.

– Nie to miałem na myśli – powiedział Robert, wciąż wpatrzony w dziewczynę. – Jesteście obydwoje tak irytujący, tak natrętni... Jednak bezmyślne ryzykowanie to już szczyt głupoty.

Najwidoczniej usiłował załagodzić to, co wypłynęło w stanie wzburzenia z jego ust, ale nie potrafił przeprosić, nie umiał przyznać się do błędu. Co nie zmieniało faktu, że Krysia czuła się odrzucona.

– Chodźmy, Christine – ponaglił ją Pierre i wyciągnął do niej dłoń.

Oderwała stopy od ziemi z wielkim trudem. Dopiero wtedy spojrzała na Pierre'a. Skrzywiła się, bo rana znowu dała o sobie znać, po czym niepewnym krokiem ruszyła w stronę powozu ukrytego pomiędzy nadbrzeżnymi spichlerzami.

– Do krośset diabłów! – wykrzyknął Robert, Krysia jednak nie obejrzała się na niego. Zatrzymała się tylko, bo miała nadzieję, że padnie z jego ust słowo „przepraszam”. Ale nie z tego powodu Bréhan zaklął.

– No to sobie jegomość nie popłynie – zawyrokował Pierre.

Rzeczywiście statek w tym czasie, kiedy szarpali się z napastnikami, odbił od nabrzeża i właśnie majestatycznie sunął w stronę pełnego morza. Dziewczyna pokręciła głową i poszła w kierunku powozu, bo zrozumiała, że Robert bardziej przejął się statkiem niż nią i Pierre'em.

– Christine! Poczekaj! – Bréhan w kilku susach znalazł się przy niej i chwycił ją za ramię, ale się wyszarpnęła. Po jej twarzy przepłynął grymas bólu. Zacisnęła zęby, żeby nie okazać, jak mocno cierpi.

– Zostaw nas w spokoju – wysyczała.

– Postawiliście na swoim. By was wszyscy diabli! Następny statek...

Tego już było za dużo. Krysia podeszła tak blisko do Bréhana, że jej nos niemal dotykał jego brody. Dla dodania sobie animuszu, wspięła się na palce. Serce uderzało jej mocno i równo. Nigdy w życiu nie była tak pewna tego, kim jest i skąd się wywodzi jak w tej chwili. Nigdy nikt nie doprowadził jej do takiej furii jak ten mrukowaty, nieokrzesany francuski prostak.

– Kim ty jesteś, żeby do mnie mówić w taki sposób?! Nie jesteśmy sobie równi stanem, żebyś śmiała poważać się na takie impertynencje. Nazwałeś Pierre’a wieśniakiem, ale to tobie brak ogłady i wychowania! – Dźgnęła go palcem w pierś dla dodania powagi swoim słowom. – Nie obchodzi mnie, dokąd i kiedy się wybierasz. Nie obchodzisz mnie ani ty, ani twoje humory, ani tym bardziej twój statek. A teraz żegnam! – To mówiąc, obróciła się na pięcie i pomaszerowała do powozu, zaciskając zęby z bólu. Nie chciała pokazać w tej chwili słabości. Za jej plecami chichotał Pierre.

– Ale jegomościowi poszło w pięty... – umilkł, zapewne dlatego, że jak zawsze zawisło na nim ciężkie spojrzenie Roberta.

Krysia parsknęła tylko i wsiadła do powozu. Po chwili dołączył do niej Pierre.

### III

Mimo późnej pory nabrzeże nie pustoszało. Wciąż kręcili się tu ludzie, a pochodnie oświetlały żółtawym światłem te miejsca, gdzie pracy było najwięcej. Robert stał na nabrzeżu, wpatrując się w ledwie widoczny kształt oddalający się korytem rzeki ku morzu. Gdyby nie Pierre, który był wtargnął jak burza na statek, teraz on stałby gdzieś przy burcie i wpatrywał się w ciemność.

– Do diabła z nimi wszystkimi – warknął pod nosem, bo zdał sobie sprawę, że mimo chęci powrotu do Francji poczuł ulgę z powodu pozostania tutaj, w Königsberg.

Nie znosił, gdy coś lub ktoś krzyżował mu plany. Co prawda jego jedynym zamiarem jeszcze do niedawna była walka, aby zapomnieć o wszystkim, czego doświadczył, nim opuścił dom. Musiał jednak wreszcie przyznać, że uganiecie się po polu bitwy za wrogiem nie przynosiło mu żadnej ulgi, a wręcz sprawiało, że cierpiał bardziej niż dotąd. I nagle zjawiała się ta mała Podolska...

Nie zamierzał pozostawać tu dłużej, niż było to konieczne. A jednak ona sprawiła, że coś go zatrzymywało, że całe to ganiecie w poszukiwaniu guza i chwały na polu walki zdało mu się głupim wyczynem, kompletnie bez sensu. Dlatego tak mu spieszo było do Francji, by przekonać się, czy zdoła się pozbyć z głowy obrazu drobnej dziewczyny o dużych oczach, w których czaiły się determinacja, upór i czułość. Kiedyś już wpadł w pułapkę takich oczu. Drugi raz nie miał zamiaru popełniać tego samego błędu. Kiedy jednak Christine patrzyła na niego, a przed chwilą go pocałowała, tamto z przeszłości zdawało mu się młodzieńczym zadurzeniem, głupstwem i zabawką rozpieszczanego chłopaka, jakim wtedy był, przyzwyczajonego dostawać zawsze to, czego chciał.

Jeśli to obecne uczucie było prawdziwe, znał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Zostawić Christine daleko za sobą. A jeśli to nic nie da, wrócić czem prędzej, znaleźć ją i spróbować zdobyć jej serce. Choć żadnych gwarancji, że mu się to uda albo że ona wciąż będzie niezamężna, nie miał. To mętne rozumowanie, w którym mieszały się pragnienia i tęsknota za bliskością oraz strach przed odrzuceniem i samotnością, miało pokryć ulgę, że jednak statek odpłynął bez niego, a dziewczyna sama z siebie, zapewne walcząc ze sobą i z wpojonymi głęboko zasadami, pocałowała go. Dotknął swoich ust, na których wciąż miał jej słodki smak. Dotknął ust, które wypluły słowa raniące Christine i odpychające ją na bezpieczną odległość. Pytanie kto miał być bezpieczny – ona czy może jednak on? Raz już był zadurzony, raz jeden pragnął umrzeć z powodu miłości i wtedy przyrzekł był sobie, że nigdy więcej nie zawierzy nikomu, nie odda serca ani nie pozwoli zawładnąć swoimi uczuciami. Tymczasem okazało się, że nie tak łatwo nad nimi zapanować.

Bréhan rozejrzał się i podjął jedyną słuszną w tej sytuacji decyzję. Miał zamiar wrócić do przybytku, w którym wcześniej wynajęli pokoje celem oporządzenia się po podróży. Tam zamierzał zażądać od obsługi mocnego napitku i chętnej dziewczyny, a potem zatracić się w jednym i drugim.

Błądził dłuższy czas uliczkami, zanim trafił do miejsca, którego szukał. Miasto o tej porze nie było już gwarnym i jasnym zbiorowiskiem ludzi. Noc skutecznie przeganiała porządnymi obywateli z ulic, na których po zmroku gościły wyłącznie przypadkowe indywidualia. Wreszcie wszedł do wyszynku wypełnionego wonią niemytych ciał, taniego alkoholu i starego jedzenia. Śmiech i głośne rozmowy

na moment przycichły, a kilka par oczu czujnie obserwowało przybysza. Kiedy jednak ruszył w stronę obsługującego ten przybytek mężczyzny, towarzystwo skupiło się ponownie na swych napitkach i niezbyt urodziwych kobietach.

Tymczasem odziany w brudną koszulę krępy i zarośnięty typ o szerokim karku obsługujący gości zagadał do Roberta w miejscowym języku, z którego Bréhan nie rozumiał ani słowa. Spod zawiniętych rękawów mężczyzny wyłaniały się owłosione ramiona zakończone szerokimi łapskami o brudnych paznokciach, a oczy łypały groźnie spod nastroszonych brwi. Francuz wyjął zza pazuchy kilka monet i rzucił je na blat oddzielający go od mężczyzny, co natychmiast odmieniło twarz tamtego. Szeroki, przymiłny uśmiech wykwitł mu na usta.

– Żebyś ty jeszcze przyniósł mi dobrego wina i jaką czystą dziewczkę załatwił... – mruknął bez nadziei na otrzymanie odpowiedzi Bréhan.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się jeszcze bardziej.

– Wino, kobieta! – zakrzyknął po francusku i zaraz zabrał się do nalewania trunku do kubka, ale Robert zabrał mu z ręki cały dzban. – Wino! – powtórzył mężczyzna i zarechotał. Spojrzał gdzieś za plecy Bréhana i przywołał kogoś gestem.

Obok Roberta stanęła pulchna dziewczka. Uśmiechnęła się i wypięła jeszcze mocniej obfity biust z ledwością utrzymywany w ryzach przez stanik niezbyt czystej sukni nieokreślonego koloru. Bréhan z ulgą odnotował, że panna ma wszystkie zęby, jest dość młoda i w miarę czysta, bo nie cuchnie na odległość. W dodatku miała duże oczy, w których połyskiwały iskierki wywołane zapewne wypitym winem, zaś jej ciemne włosy w mdłym świetle wyszynku zdawały się podobne do pukli Christine.

Dziewka nie potrzebowała zachęty. Starczyło jej kilka zdań rzuconych po niemiecku przez gospodarza. Zaraz zaczęła ciągnąć Roberta do stołu, od którego odegnała kilku wyrostków, ale Bréhan pokręcił głową i pokazał na piętro, gdzie znajdowały się pokoje. Dziewczyna zaśmiała się, lecz posłusznie zmieniła kierunek, wzięła dopalający się ogarek i poprowadziła mężczyznę na piętro. Robert zdążył jeszcze pociągnąć solidny łyk trunku, po czym ze wstrętem się skrzywił, co wywołało znowu uśmiech na twarzy dziewczki. Jej harde spojrzenie było zaprzeczeniem skromnego i nieśmiałego usposobienia Christine.

– Na litość boską! – warknął na głos, uświadamiając sobie, że myśli jego nieustannie krążą wokół Polki, a tę doświadczoną młodą kobietę wciąż porównuje do niewinnej Podolskiej.

Drzwi pokoju zamknęły się z trzaskiem za Robertem i jego towarzyszką, która bez chwili zwłoki zabrała się do spełniania swych obowiązków, uprzednio podetknąwszy amantowi pod nos dzban z winem, by pociągnął kolejny łyk. Kiedy odsunął od ust naczynie, właśnie kończyła rozpinąć mu kurtkę, żeby móc dobrać się do spodni. W mdłym, jakby brudnym blasku kaganka lekko zamroczony już kiepskim, ale mocnym winem Robert nachylił się nad rzucającą mu wyzywające spojrzenia kobietą. Zmrużyła oczy i zalotnie oblizwała pełne usta. Christine w takiej sytuacji spuściłaby wzrok, choć przecie dziś jeszcze, całkiem niedawno pocałowała go pierwsza. Zamknął oczy i wrócił myślami do tamtej chwili. Musnął lekko usta Christine i objął jej drobne ciało, które zdawało się rozpluwać w jego ramionach, a palce prawej ręki zanurzył w miękkich włosach pachnących wiatrem. W głowie mu zaszumiało. Pragnienie pęczniało w nim i rozpierało rozkołysane winem ciało, ale tak bardzo nie chciał skrzywdzić tej delikatnej, niewinnej istoty. Musiał nad sobą panować, być ostrożny i uważny.

– Christie... – szepnął.

Nagle z tego transu wyrwał go mocny, pewny chwyt doświadczonej kobiety, która szybko odnalazła drogę do jego męskości. Otworzył oczy i zamarł. Dziewka miała wciąż ten sam lubieżny wyraz twarzy. Odepchnął ją ze wstrętem, aż się zatoczyła, ale nawet na chwilę nie przestała grać swej roli, zapewne biorąc to za element gry. Robert cofnął się z odrazą, kiedy próbowała się zbliżyć. Brzydził się nią i sobą jeszcze mocniej. Zza pazuchy wydobył kilka monet i rzucił je kobiecie, która widać pojęła, że stracił chęci na igraszki. Wydeła usta, z pogardą patrząc na monety leżące na stole i powiedziała coś niezrozumiałego, a potem splunęła mu pod nogi. Kiedy jednak chciał zabrać pieniądze, rzuciła się po nie zwinnie niczym łasica. Robert zaśmiał się i wyszedł.

#### IV

Łatwiej było wymknąć się z domu generała Auera, niż tam niezauważenie wrócić. Co prawda

czekali z Pierre'em cierpliwie przez kilkadziesiąt minut, żeby móc podjechać bezszelestnie pod kamienicę, ale na niewiele się to zdało. Nie zdziwiło specjalnie Krysi, że zaraz potem, gdy powóz zatrzymał się przed drzwiami, lokaj przekazał jej polecenie księżnej, by natychmiast stawiała się w saloniku, gdzie Radziwiłłowa czekała na nią mimo późnej pory. Krysia ledwie zdążyła zdjąć płaszcz i skromny kapelusik, a już prowadzono ją przed oblicze matrony.

Oczywiście księżna miała na sobie strój nocny, na który narzuciła obszerny aksamitny szlafrok obramowany koronkami. Włosy miała splecione w warkocz spoczywający na piersiach. Jednak to nie jej ubiór zwrócił uwagę Krysi, ale zaciśnięte w grymasie niezadowolenia usta i zmarszczone brwi. Dziewczyna dygnęła i spuściła spojrzenie na skraj sukni księżnej.

– Czekam na wyjaśnienia, młoda damo. Choć wątpię, byś znalazła argumenty mogące w jakikolwiek sposób usprawiedliwić to, co zrobiłaś. Bo, jak mniemam, zdajesz sobie sprawę, że tym nierozważnym postępkim naraziłaś na szwank nie tylko swoją reputację, ale i moje dobre imię. Nie toleruję pod moim dachem osób, które są nie tylko nieposłuszne, lecz również krnąbrne i prowadzą się, jak nie przymierzając, kobiety lekkich obyczajów.

Krysia drgnęła na tę zniewagę. Niemal została nazwana ladaczną, a na to jej szlachecka duma nie pozwalała. Powstrzymała się jednak od zaprzeczenia czy jakiegokolwiek innej odpowiedzi, czekając, aż księżna dopuści ją do głosu. Kiedy ta wreszcie umilkła, zacisnąwszy usta w ciup, Podolska odchrząknęła.

– Wasza książęca wysokość ma całkowitą rację. Nic nie jest w stanie wytłumaczyć mojego postępku. Mogę jedynie wyrazić ubolewanie, że zawiadłam pokładane we mnie zaufanie...

Krysi przerwało pukanie do drzwi. Księżnę najwyraźniej też ono zaskoczyło, bo dopiero po namyśle kazała wejść lokajowi, który zaanonsował niejakiego hrabiego Plélo. Podolska aż sapnęła z niedowierzania i przestąpiła z nogi na nogę, jednak nic nie wyrzekła, aby nie rozsierdzić ponownie księżnej, której uwaga skupiła się teraz na gościu.

– Wasza książęca wysokość. – Robert obrzucił Krysię zagadkowym spojrzeniem, jednocześnie zginając się w głębokim ukłonie. – Proszę wybaczyć tę późną wizytę, jednak nie mogłem pozwolić, by panna Podolska z mojej winy otrzymała reprimendę.

Księżna poruszyła się niespokojnie, a Krysia przewróciła oczami. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by trafnie ocenić sytuację. Zupełnie jakby podsłuchiwał rozmowę i jakby jeszcze tego samego wieczoru nie odtrącił jej w brutalny sposób. Diabelnie miłosierny samarytanin. Poniewczasie postanowił się zreflektować. Krysia zacisnęła usta, choć korciło ją, by mu powiedzieć, że jest dwulicowym, podłym, niewdzięcznym, zwyczajnym prostakiem. W dodatku miała wrażenie, że mówi niewyraźnie, choć bardzo się stara panować nad płaczącym się językiem.

– Kolejny raz uratowała moje życie, spiesząc, by mnie ostrzec przed czyhającymi na mnie w porcie zbirami. Proszę się też nie kłopotać reputacją panny Podolskiej. To uczciwa dziewczyna umiejąca obronić swą cnotę, na której straży stoi towarzyszący jej jak cień Pierre Bourdie.

Kiedy Bréhan wspomniał o cnocie, rumieniec wypłynął na twarz Krysi. Miała nadzieję, że księżna tego nie zauważyła. W porcie nie zachowała się jak cnotliwa panna. Wręcz odwrotnie, zaś Robert raczej nie miał nic przeciwko, skoro nie przerwał tego pocałunku.

Nagle dziewczyna zdała sobie sprawę, że mężczyzna odwzajemnił jej czułość, że kiedy ją obejmował, jego palce wędrowały po jej plecach z delikatnością, o jaką by go nie podejrzewała. Gdyby była mu zupełnie obojętna, nie staliby tam spleceni w uścisku tak długo. Zerknęła na Roberta z ciekawością, co też jeszcze wymyśli, by udobruchać księżnę, ale on nawet na nią nie spojrział.

– Więc twierdzi pan, panie hrabio, że panną Podolską kierował strach o pańskie życie... – Księżna przyjrzała się uważnie Krysi. – To bardzo ciekawe. Istotnie niebывałe – dodała po chwili zadumy.

– Niestety, z tego powodu nie mogłem wsiąść na statek, żeby wrócić do Francji. Jednakowoż jestem ogromnie wdzięczny pannie Podolskiej, bo pływałbym teraz w portowym basenie, gdyby nie ona.

– Tylko skąd panna Podolska miała informację o niebezpieczeństwie? I dlaczego nie wysłała tam swego sługi? – zapytała przytomnie księżna, a Krysia myślała, że udławi się z wrażenia. Ponieważ kobieta patrzyła na nią, to ona powinna była udzielić odpowiedzi. Tylko co miała wyrzec? Już otwierała usta, by powiedzieć prawdę, gdy wtrącił się Bréhan, kolejny raz ratując ją z opresji.

– To Pierre Bourdie zdobył te informacje i to jego należałoby zapytać, gdzie o tym usłyszał. Natomiast jedno jest pewne. Czas naglił. Z całym szacunkiem, wasza księżęca wysokość, gdyby nie panna Podolska, nikt spośród służby nie pozwoliłby mu jechać powozem do portu. Tylko pod pretekstem wyjazdu z panną Podolską, która jest gościem waszej wysokości, możliwe było skorzystanie z powozu.

Wersja wydarzeń Roberta była naciągana i chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo zaciskał dłoń, kiedy to mówił. Księżna najwidoczniej też mu nie dowierzała, bo nieufnie spoglądała to na niego, to na Krysię. Wreszcie jednak zwyciężyło zmęczenie, więc kobieta pokiwała głową i rzekła:

– Pora już późna. Uznajmy zatem, że przyjmuję pana tłumaczenie, hrabio, za dobrą monetę i tym razem daruję pannie Podolskiej. Jednak proszę mieć na uwadze, że drugiego razu nie będzie i oddałę pannę z marszu. – Tu księżna pogroziła Krysi palcem, jakby ta była niesfornym dzieckiem.

– Dziękuję, wasza miłość – szepnęła.

– Słowa nie wypowiedzą, jak jestem wdzięczny waszej księżęcej wysokości za wielkie serce i wyrozumiałość. – Bréhan skłonił się głęboko, lekko się przy tym chwiejąc. – Proszę o pozwolenie, by się oddalić, bom utrudzon wielce, a muszę znaleźć jeszcze miejsce na nocleg.

– Nie ma takiej potrzeby. Miejsca ci tutaj dostatek i sądzę, że jedna dusza więcej nie zrobi różnicy naszemu gospodarzowi, któren i tak przebywa teraz poza miastem – rzekła księżna, po czym zadzwoniła na służbę. Kiedy lokaj stanął w drzwiach, nakazała mu uszykowanie dla Roberta miejsca do spania. Po Krysię zaś przyszła panna służąca, która zaprowadziła ją do jej pokoi i której zadaniem było pomóc dziewczynie w przygotowaniu się do snu.

Krysią w domu robiła to sama. Ze skrzępowaniem przyjęła więc pomoc dziewczyny, ale nie miała siły, by protestować. Chętnie zdjęła z siebie ubranie i z zadowoleniem stwierdziła, że rana, choć wciąż boli, to nie otworzyła się, a jedynie blizna nabrała ciemniejszej, sinopurpurowej barwy.

Kiedy wreszcie znalazła się w łóżku, była przekonana, że szybko zaśnie, jednak świadomość, że gdzieś w pobliżu znajduje się Robert, okazała się nieznośna i uwierała ją, jak potrafi uwierać zagniecenie w bieliznie niefortunnie układające się we wrażliwym miejscu. W końcu dziewczyna zaczęła sobie przypominać, jak smakowały usta Roberta i jak jego dłonie badały załamania jej ciała, kiedy ją obejmował. Jeszcze raz doszła do wniosku, że nie była mu obojętna, aż wreszcie zapadła w sen z uśmiechem na ustach.

## V

Gwar na ulicach Warszawy zdawał się narastać, choć słońce chyliło się ku zachodowi. Przez turkot powozów przebijały się pokrzykiwania woźniców i przekupek, a kurz z wyschniętych w promieniach wiosennego słońca ulic unosił się w powietrzu i osiadał na mniej lub bardziej zaniedbanych kamienicach, na świeżej zieleni drzew, na ludziach i pojazdach. W powietrzu unosiła się dokuczliwa woń zgnilizny, końskiego łajna, ludzkich odchodów i odpadków, która potęgowała się w ciepłe dni.

Podolski, kołysząc się na końskim grzbiecie, zdał sobie sprawę, że brakowało mu w ciszy Podolan tego rozgardiaszu, choć akurat za zapachami miasta nie przepadał. Jednak w tym gwarze łatwo było pozostać anonimowym, łatwo też było udawać kogoś, kim się nie jest, jak to miał w zwyczaju za młodych lat. Z rozrzewnieniem wspominał Michała Śniegockiego, nieodłącznego kompana młodzieńczych zabaw, towarzysza oddającego się z upodobaniem wielkomięskim rozrywkom. Gdyby nie on, Antoni nie uszedłby pewnie cało z pola walki. Nigdy też nie zaznałby szczęścia z ukochaną Émilie. Choć to szczęście ostatnio stanęło pod znakiem zapytania.

Poznał Émilie jako dzielną, odważną i zdolną do wielkich poświęceń kobietę. Pogodził się z tym, że miewa własne zdanie i czasem nawet jej słuchał. W końcu ojcu również zdarzało się korzystać z podpowiedzi matki. Jednak to, że Émilie postawiła rodzinę Podolskich w sytuacji mogącej zakończyć się skandalem, było nie do przyjęcia. Owszem, niepotrzebnie przy matce pokazał, jak bardzo jest na nią zły. Marianna bowiem wystarczająco mocno nie znosiła synowej i bez jego połajanek. Dla Émilie zaś reprimenda z ust męża, którą usłyszała teściowa, uwłaczała jej godności i stała się przyczyną zaognienia ich konfliktu. Antoni nie sądził, iż Émilie przejmie się losem Krysi tak mocno, że zorganizuje jej ucieczkę z domu. W dodatku razem z oddziałem żołnierzy. Mróz po kościach przeszedł mu na samą myśl, co mogli zrobić tacy znieczuleni na okrucieństwo mężczyźni, gdyby odkryli, że mają w swych



szeregach młodą kobietę. Na szczęście Krysia po dotarciu do Warszawy trafiła do pałacu Pod Blachą, gdzie może nie była całkowicie bezpieczna, jednak księżę i jego siostra, tudzież utrzymanka, to nie to samo, co oddział żołnierzy.

Émilie nie miała pojęcia, na co naraziła młodziutką i niewinną Krysię. Tak przynajmniej Antoni próbował sobie wyjaśnić niesubordynację żony. Wiedział, że w jej mniemaniu Krysi mogło przytrafić się to samo, co jej w małżeństwie z Treillardem. Za każdym razem, gdy widział żonę naga, wracał mu przed oczy ten opętany okrucieństwem człowiek, który na jej ciele pozostawił blizny. Jednak nie sądził, by Olszewski był kimś pokroju francuskiego generała. Krysia, przy odrobinie dobrej woli, mogła z niego wykrzesać pokłady przyzwoitości, a brak miłości nie był wystarczającym powodem, by narażać się na hańbę.

O ile rozumiał strach o Krysię, o tyle nie mógł pojąć, czemu Émilie nie przysłała z nim porozmawiać przed wyjazdem. Tylko matka i Marie, uwieszona po dziecinnemu na jego szyi, żegnały go na ganku. Obrzucił czujnym wzrokiem domostwo, zanim uwolniwszy się z objęć dziecka, dosiadł konia, i zdawało mu się, że dostrzegł ruch w jednym z okien. Chciał wierzyć, że to Émilie choć tak go żegnała. Podróż nie była ani zbyt daleka, ani specjalnie męcząca. Jednak piekła go boleśnie świadomość, że żona ponad ich miłość przedkłada współczucie dla Krysi. Coraz częściej zastanawiał się nad tym, czy zrobił dobrze, wybierając na partnerkę kobietę, która miała własne zdanie, która nie bała się go wyrażać i która potrafiła brać sprawy we własne ręce, gdy inni nie działali według jej widzimisie. Gdyby pojął za żonę kogoś spolegliwego, nie miałby takich problemów i nie musiałby jeździć teraz do Warszawy.

Tymczasem dotarł był do pałacu Pod Blachą, którego dziedziniec zdał mu się dziwnie opustoszały. Tłumaczył to sobie faktem wszczęcia przez Austriaków wojny, o której coraz głośniej rozprawiano pomiędzy szlachtą. Księcia nie spodziewał się być spotkać, dlatego też poprosił o spotkanie z osobą, która faktycznie sprawowała rządy w tym miejscu, czyli z Henriette de Vauban, wieloletnią przyjaciółką księcia. Była to kobieta charakteru trudnego, a i urody nieoczywistej.

Antoni zastanawiał się, jakim cudem udało jej się tyle lat utrzymać stosunki z księciem, który żadną miarą nie mógł lub może nie chciał wymknąć się spod jej skrzydeł. Chyba tylko dlatego, że się jej bał, bo z kochanki przeistoczyła się szybko w kwokę otaczającą swego wybranka nadmiarem opieki. A nie była opieka jej bezinteresowna. Henriette na wszystkim robiła interesy. Czy to sprzedając bilety na sławetny już w stolicy Théâtre de Société<sup>[12]</sup>, czy też na bale charytatywne i loterie organizowane z jej inicjatywy. Krążyły plotki jakoby handlowała z równą łatwością co owymi biletami również wdziękami panien i mężatek, jednak Antoni wolał myśleć, że to tylko pomówienia zawistników.

Kiedy wpuszczono go wreszcie do saloniku na parterze, gdzie mieszkała i przyjmowała gości pani Vauban, Podolski cały spływał potem. Mimo że na zewnątrz wcale nie było gorąco, w pomieszczeniach zajmowanych przez Henriette panowały trudne do wytrzymania upały. Kobieta leżała na kozetce zakutana po uszy w koronkowe narzuty, spomiędzy których wyglądała jedynie jej posiwiała głowa udekorowana nakryciem przypominającym koronkowy czepiec. Z ospowatej twarzy o zapadniętych policzkach pokrytych znamionami wyzierały czujne paciorki oczu.

– Co pana do mnie sprowadza, Podolski? – zagaiła chropawym, jakby zardzewiałym lekko głosem, nie spuszczać ze swojego gościa świdrującego wzroku.

Antoni zamiast odpowiedzieć, miał ochotę wybiec na zewnątrz i złapać kilka haustów świeżego powietrza. Przemógł się jednak i czując jak wzdłuż kręgosłupa spływa mu strużka potu, wyłuszczył cel swej wizyty.

– Poszukuję mej siostry, Christine Podolski, która trafiła nie dalej jak kilka dni temu do pałacu. Żona moja oddała ją pod kuratelę księcia i jego siostry, a ty, pani, wiesz o wszystkim, co dzieje się w pałacu... – urwał, bo z gorąca zaschło mu w ustach.

Vauban poruszyła się nieznacznie, co poznał po drganiu falbanek i koronek.

– Christine Podolski. Wiedziałabym, gdyby ktoś nowy pojawił się u nas.

– Musiała tu dotrzeć, pani. Miała przy sobie list do księcia... – upierał się Antoni. Zdawał sobie sprawę, że Vauban czyta korespondencję księcia i wie o wszystkim, co dzieje się w tym pałacu, więc list do Poniatowskiego musiał być trafić w jej ręce.

– Czy młoda była? Jak wyglądała? – dociekała kobieta.

– Nie ma jeszcze osiemnastu lat. Podobna nieco do mnie. Ciemnowłosa, drobna i bardzo skromna. – Antoni pojął, że jego siostra była naprawdę doskonałą partią, bo nie zbywało jej ni urody, ni pokory. Czy Olszewski potrafiłby to docenić? – zaświtała mu w głowie, po raz pierwszy, wątpliwość.

– Powiadasz pan, że do pana podobna... Tylko ładniejsza i skromna. Z jakiej więc przyczyny tu ją odesłała pańska żona?

Nie za bardzo Podolski miał ochotę wchodzić w sprawy domowe, jednak coś odpowiedzieć musiał. Poruszył się niespokojnie, czując opływającą go falę gorąca.

– Pragnęła, by dziewczyna nabrała ogłady i poznała dworskie zwyczaje, nim wyjdzie za mąż, pani.

Na twarzy Vauban zagościło coś, co mogło być uśmiechem lub równie dobrze grymasem niechęci.

– Żona pańska chyba nie zna tutejszych ludzi i plotek nie słucha. Nie najlepsze o tym miejscu mają zdanie ci, którzy tu nie są zapraszani. A według niektórych wysłać tu dziecko, to jak rzucić je na pastwę dzikiego zwierza. – Tym razem kobieta zachichotała, zaś Antoni poczuł ulgę, bo skoro sama Vauban twierdziła, że historie opowiadane o pałacu Pod Blachą wynikają z zazdrości, to może Krysia rzeczywiście była tu bezpieczna.

– Niestety, nie ma tu pana siostry i nigdy nie było. Z pewnością przyprowadzono by ją do mnie, gdyby tylko przybyła, a i list ów trafiłby w me ręce – dodała kobieta pewnym głosem, potwierdzając przypuszczenia Antoniego i do reszty pozbawiając go złudzeń.

Podolski stał jak skamieniały. Powinien był wyjść, bo sprawa została wyjaśniona, ale przecie nie o takie wyjaśnienie mu chodziło. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Vauban wysunęła spod koronek suchą rękę i zadzwoniła na służbę, czym definitywnie zakończyła rozmowę. Antoni musiał więc wyjść, nie bardzo wiedząc, co teraz począć. Przecie powinien był odnaleźć siostrę i wrócić z nią najdalej jutro do Podolan. Tymczasem okazało się, że ona nigdy tu nie dotarła.

Zanim jednak ostatecznie opuścił teren pałacu, postanowił się upewnić, że Henriette de Vauban się nie myli. Rozpytał służbę i nawet Brodowskiego, który był kamerdynerem księcia i wiedział o tym, co się tu dzieje, nie mniej niż Vauban. Niestety, nikt nie widział Krysi ani w przebraniu męskim, ani w sukni. Nie słyszano też o tym, by ktokolwiek próbował ów list od Émilie przekazać Marii Teresie Tyszkiewiczowej, siostrze księcia.

– Émilie, w coś ty wplątała tę biedną dziewczynę? – warknął pod nosem, stojąc już w pałacowej sieni.

– Kogóż moje oczy widzą?

Antoni odwrócił się. Pytanie zadane po francusku musiało być skierowane do niego, ponieważ poza strażnikami nikogo innego tu nie było. W zasadzie wiedział, kto je zadał, tak samo jak wiedział, że powinien stąd wyjść, nie reagując na nie, a jednak odpowiedział po polsku stojącej przed nim kobiecie.

– Witaj, Anno. Prędzej samego czarta bym się tutaj spodziewał niż ciebie. – Pochylił się, by ucałować wyciągniętą w jego kierunku drobną dłoń.

Anna Czacka, żona jednego z książęcych urzędników, która swej urodzie i sprytowi oraz nieposkromionemu apetytowi seksualnemu zawdzięczała znalezienie się w otoczeniu siostry księcia i jej przyjaciółki, Henriette de Vauban, uśmiechnęła się do Antoniego drapieżnie. Nie można było jej odmówić urody. Drobna, jasnowłosa, o białej cerze i błękitnych oczach, które równie dobrze potrafiły rzucać zalotne spojrzenia, co miotać gromy. Poznał i jedno, i drugie w jej wykonaniu. Choć dawniej był się zachwycał jej ciałem i podziwiał za przebiegłość oraz pomysłowość w sztuce miłosnej, teraz nie odczuł zgoła nic poza żalem. Gdyby jego żona choć odrobinę przypominała Czacką, nie sprzeciwiałaby się rodzinie, bo interes rodu przedkładałaby ponad porwy uczucia.

– Czarta powiadasz – zaśmiała się kobieta, przechodząc na polski. – To raczej ja nie spodziewałam się tu ciebie. Słyszałam, żeś się ustatkował, że żonę masz i podobno jej dzieckiem się opiekujesz. Kto by pomyślał, Antoni, żeś zdolny do takich poświęceń. – Drwiła z niego, a bystre oczy przewiercały go na wylot. Dawniej pod wpływem tego spojrzenia oblewałby się gorącem. Teraz jego emocje ostygły, choć ciało nadal reagowało przyjemnym napięciem.

– Dobrześ poinformowana, moja droga. Nie wiesz tylko, że kocham swą żonę...

Anna ponownie się zaśmiała i machnęła ręką.

– Chybaś zapomniał, że miłość w niczem nie przeszkadza – rzekła pobłażliwie, kładąc przy tym dłoń na jego piersi.

Antoni poczuł znajomy intensywny zapach, którym emanowała Anna.

– Pamiętasz, gdzie mnie znaleźć, gdybyś potrzebował pociechy i tęsknił za połowicą – wyszeptała z twarzą tak blisko niego, że prawie poczuł dotyk jej warg na płatku ucha. Potem zaśmiała się i podeszła do drzwi na końcu korytarza połączonego z sienią. Zanim za nimi zniknęła, rzuciła mu jeszcze jedno zalotne spojrzenie, od którego kiedyś w nim wrzało.

W sercu nic nie czuł, ale resztki niezdrowej fascynacji wciąż gdzieś się w nim tliły. Otrząsnął się i ruszył na poszukiwanie kwatery, żeby zdążyć przed nocą.

## ROZDZIAŁ VI

### I

Nazajutrz wczesnym rankiem księżna wezwała Krysię do swego apartamentu. Dziewczyna nie zdążyła się zorientować, o co chodzi, a już wokół niej zaroilo się od służby, która poczęła ją szykować na opuszczenie pokoju. Mogła była jeszcze spać i mocno się dziwiła, że ledwie słońce wzeszło, księżna już zarządziła pobudkę.

– Jej książęca wysokość nie lubi tracić czasu i zazwyczaj śpi niewiele, ale też chodzi spać wcześniej – wyjaśniła jedna ze służących, które pojawiły się w apartamencie Krysi. – Najmłodszy jej syn, który jest przy niej, Bogusław, też wstaje wcześniej, a jej wysokość dogląda go z rana osobiście, bo dwie córki straciła.

Krysia teraz rozumiała, skąd słychać było dziecięcy płacz, który wibrował w powietrzu, gdy szła korytarzem.

– Więc księżna ma małe dziecko – powiedziała bardziej do siebie niż do służącej.

– Tak, Bogusław jest jej umiłowanym synkiem. Ma ledwie kilka miesięcy, a wszyscy rozpieszczają go jak jakiego królewicza – zaśmiała się służąca. – Zwłaszcza że, jak wspomniałam, pani straciła dwie córki. Księżniczka Helena zmarła była jeszcze w Berlinie, a księżniczka Loulou w czasie poprzedniego pobytu księżnej w Königsberg. To był istny aniołek i chyba Pan Bóg zabrał ją do siebie tak szybko, by mu umiała czas. – Dziewczyna posmutniała na wspomnienie dziecka.

Krysia nic nie odpowiedziała. Popadła w zadumę. Trudno jej było sobie wyobrazić, jak musiała cierpieć księżna po śmierci córek. Przypomniała sobie Émilie, która dla Marie przemierzyła Europę, a póki książę Poniatowski nie odesłał jej dziecka do Podolan, póty na obliczu Francuzki nie zagościł uśmiech. Ciężkie było życie kobiet, bo widać po urodzeniu dziecka ich dusze rozdzielały się jakby na pół i już na zawsze pozostawały w tym rozdzielaniu, a im latorośl stawała się starsza, tym mocniej tę osobność musiały odczuwać. Dlaczego więc jej matka nie umiała pokochać jedynej córki? Dlaczego tylko z Antonim czuła więź i w nim pokładała wszelkie nadzieje? Może tej duszy nie stało już dla Krysi? Dziewczyna westchnęła do swego odbicia w lustrze, nie będąc pewna, na ile sama byłaby w stanie pokochać swego potomka.

Nagle pomyślała o Robercie, w którego ramionach maleńka istotka mogłaby wyglądać tak kompletnie rozbijająco. On, posępny, złośliwy, oschły olbrzym. I maleństwo, niewinne, słodkie, bezbronne. Szybko otrzepała się z tych mrzonek. Bréhan niebawem miał zniknąć z miasta, a w jej głowie roily się niestworzone historie z jego udziałem, co zaczynało ją przerażać. Przyspieszone bicie serca skutecznie ją otrzeźwiło.

Krysi przyniesiono czyste ubranie, czyli lekką jasną suknię odciętą wysoko pod piersiami zgodnie z obowiązującą modą. Ponieważ wiosenny chłód nie pozwalał jeszcze na zbytne odsłanianie ciała, suknia miała rękawy długie, a na nich bufki imitujące rękawy krótkie. Dekolt też był zabudowany, ale Krysia i tak zachwycała się miękkością materii, z której został strój uszyty. Nowa bielizna, pończochy i pantofelki dopełniały całości. Zadbano również o jej niesfornie opadające na twarz loki i uczesano tak przemyślnie, że wyglądały zjawiskowo. Krysia przypatrywała się sobie w lustrze z zachwytem. Proste, nie zawsze modne sukienki, które nosiła w domu, miały przede wszystkim chronić przed chłodem. Tu liczyło się to, by dobrze wyglądać, by zadać szyku i olśnić, nawet w domowym stroju. Czy spodobałaby się Robertowi? Co powiedziałby, gdyby ją zobaczył? Dotąd widywał ją w mundurze – połatany, brudnym łachmanie o nieciekawym zapachu. Wczoraj miał okazję dostrzec w niej kobietę, ale czy to docenił? Potrząsnęła głową, by pozbyć się niewygodnych myśli. Zgodnie z tym, czego pragnął Bréhan, niebawem miał zniknąć z jej życia. Być może nie spotka go już nigdy więcej.

Krysia posmutniała. Kolejny raz pomyślała, że nie jest jej pisane szczęście rodzinne, o dzieciach nawet nie wspominając, a kabała, w którą popadła, uciekając przed małżeństwem, przekreśliła być może ostatecznie jej szanse na zamążpójście.

Gdybyś żył, Michale... – pomyślała. Tylko co by to dało? Czy rzeczywiście byłiby razem? Czy mogliby być szczęśliwi? Czy Michał wzbudziłby w niej te wszystkie uczucia, które wzbudzał teraz Robert? Czy jej serce biłoby tak samo mocno przy nim? Nigdy już miała się tego nie dowiedzieć. Z pewnością nie wyjechałaby z Podolan. Nie uciekłaby na to wzburzone morze, jakim okazała się jej

przyszłość. Nie przekonałaby się, jak smakuje strach, nie zobaczyłaby okrucieństwa bitwy i nie doświadczyła zachwyty życiem.

Na szczęście kiedy Krysia niemal popadła w melancholię, użalając się nad swym losem, służba w porę wskazała jej drogę do apartamentów oczekującej na nią księżnej.

– Co tak długo, moje dziecko?! – powitała ją księżna bez zbędnych wstępów. – Przekazano ci zapewne, że nie lubię marnotrawienia czasu. Tym bardziej że właśnie nadarza się sposobność, by wprowadzić cię na dwór. Zresztą zamierzam też przedstawić królowej i królowi naszego drogiego hrabiego Plélo. Książę Poniatowski nie mógł lepiej trafić, jeśli idzie o adresata swych listów i swych pragnień. Choć nie chce mi się wierzyć, by nasz drogi Fryderyk Wilhelm zlecił coś tak okropnego jak kradzież regaliów. Rozmówię się z nim na ten temat w stosownej chwili. Zanim to jednak nastąpi, udamy się na uroczystą kolację z okazji urodzin królowej Luizy. – Palec księżnej powędrował ku górze niczym wykrzyknik. – Już w zeszłym tygodniu, kiedym ją odwiedzała w zamku, wspominała, że wydać chce przyjęcie z tej okazji, bo dobrze nam robi w tym smutnym czasie odrobina rozrywki. Fryderyk jej nie popierał, ale dlatego tylko, że ci jego doradcy ciągle ubolewają nad pustym skarbcem, a jak przychodzi co do czego, zaraz środki znajdują na nowy oddział wojska albo jaką ważną podróż dyplomatyczną dla siebie.

Krysia dopiero teraz dostrzegła na kolanach Radziwiłłowej kartę zapisaną ozdobnym pismem, która pewnie była zaproszeniem na ową kolację. Skłoniwszy się przed opiekunką, nieśmiało rzekła:

– Nie posiadam stosownej toalety, by móc pokazać się przed królem i królową, wasza książęca wysokość.

– Och, moja droga, tym się nie przejmuj. – Księżna machnęła lekceważąco ręką. – Jesteś drobnej budowy, niemal jak dziecko. Po mej drogiej Loulou pozostawiono wszystkie suknie. Wreszcie mogą się na coś przydać. Mój aniołek nawet po śmierci zdaje się działać dla innych. – Kobieta westchnęła głęboko ze smutkiem.

Podolska w czasie tej rozmowy zrozumiała, dlaczego książę Poniatowski spośród wielu przedstawicieli arystokracji zamieszkujących w Königsberg wybrał akurat księcia Radziwiłła. Jego żona była bodajże najbliższej dworu królewskiego. O królu i królowej mówiła dość poufale i najwidoczniej zapraszała ich do siebie i sama bywała zapraszana do zamku. Nie była Polką, ale mąż Polak i sympatia dla spraw jego ojczyzny stawiały ją w pierwszym szeregu ludzi użytecznych Księstwu Warszawskiemu, choć Poniatowski nie przewidział, że akurat od niej będzie zależało powodzenie misji odzyskania regaliów, a nie od Radziwiłła.

– Siadaj, moje dziecko, i słuchaj.

Krysia wykonała polecenie i przycupnęła na brzegu fotela pokrytego ałasem.

– Królowa Luiza obchodzić będzie urodziny. Czas nieszczególny to, więc i atmosfera zapewne nie będzie zbyt dobra, jednakowoż nie wypada nam nie pojawić się na tym przyjęciu. – Księżna zamachała ozdobnym kartonem. – Nie mogłoby być lepszej okazji, żeby wprowadzić cię do towarzystwa, nie mówiąc już o tym, bym mogła tu i ówdzie dyskretnie rozpytać o los klejnotów. Po śmierci mej drogiej Loulou – tu księżna otarła zwilgotniałe oczy – nikogo nie zdziwi, że szukam kogoś, kto ukołi moje zranione stratą matczyne serce.

Księżna umilkła, widocznie czekając na reakcję ze strony Krysi. Dziewczyna z wrażenia przestała oddychać i gwałtownie pobladła. Bo przecież przebywanie pod opieką księżnej w jej domu to nie to samo, co przyjęcie wydawane przez króla i królową.

– Wasza książęca wysokość, nie mam stosownego obycia. Nie chciałabym waszej miłości narazić na jakoweś nieprzyjemności z powodu nie tyle braku manier, co nieświadomości zasad panujących na dworze – rzekła słabym głosem.

– O, doprawdy żadna to przeszkoda – prychnęła księżna. – Jak się inaczej nauczysz, moja droga, co wypada, a co nie, jeśli nie będziesz bywać? Poza tym obserwuj mnie i słuchaj, a nic złego się nie wydarzy. Hrabia Plélo również cię wesprze, bo znać po nim, że bywały w świecie.

Krysię zamurowało. Księżna nie była świadoma, że ów hrabia był nim tylko z nazwy i pojęcia nie miał, jak się zachowywać w obecności króla, nie mówiąc już o takcie i manierach, których miał tyle, co kot napłakał. O ile strach przed kompromitacją własnej osoby przyprawił dziewczynę o szybsze bicie

serca, o tyle świadomość, że z jej powodu Bréhan może zostać zdemaskowany, doprowadziła ją niemal do ataku paniki.

– Hrabia niebawem zapewne wyruszy do Francji, wasza miłość. Nie sędzę, by mógł znacząco wpłynąć...

Księżna uciszyła ją gestem.

– Niecodziennie mamy okazję gościć francuskiego hrabiego. Jego kraj toczy co prawda wojnę z naszym, jednakowoż w moim mniemaniu lepiej wroga sobie zjednać, oczarować i pokazać, że ma przed sobą dumny naród, niż chować się po kątach lub atakować, kiedy się jest zbyt słabym. Z samym cesarzem Francuzów miałam okazję rozmawiać i nie zrobił on na mnie najlepszego wrażenia. – Radziwiłłowa dumnie wypięła pierś, co wydawało się Krysi dość nie na miejscu, bo oznaczało, że w czasie kiedy jej kraj toczył wojnę z Francją Napoleona, księżna jakby nigdy nie bawiła się na salonach z wrogiem. Tymczasem kobieta kontynuowała, w ogóle nie zauważając zaskoczenia Krysi. – Zaś nasz drogi hrabia wręcz odwrotnie. Nie brak mu ni manier, ni wyczucia. Zapewniam cię, że oczaruje i naszą drogą Luizę.

Tak zgłosił ostatni promyk nadziei na niedopuszczenie Bréhana na salony.

## II

W zamkowej komnacie panował półmrok rozświetlany jedynie słabym światłem świec i płonącego w kominku ognia. Czerwonawe smugi pełzały po portretach odległych przodków oraz po sztukateriach i kosztownych meblach z dębowego drewna. Król Fryderyk Wilhelm wpatrywał się w ten spektakl światłocieni i w zadumie na zmianę gładził i mierzwił niezbyt bujne bokobrody. Przed nim, na blacie wiekowego biurka, spoczywał dokument, a w zasadzie rozporządzenie, które przed momentem podpisał. Sen z powiek spędzało mu i kazało oddać się rozmyśleniom nad kondycją jego wspaniałego narodu wcale nie to, że na mocy tegoż dokumentu miały zostać zniszczone bezpowrotnie insygnia władzy królów, którym niegdyś jego przodkowie składali lenny hołd<sup>[13]</sup>. Jedną z tych koron spoczywających w zamkowym skarbcu miał na głowie król, przed którym zgiął kolana Hohenzollern w 1525 roku. Od tamtego czasu Prusy urosły do rangi mocarstwa, żeby przez Napoleona stoczyć się i upaść tak nisko, że Luiza, jego żona, musiała upokorzyć się przed cesarzem i grać skruszoną oraz poruszoną losem swego narodu. Tymczasem chodziło o wpływy i interesy rodu, a nie państwa, o czym naród nie musiał wiedzieć. I to właśnie sprawy własnej rodziny trapiły Fryderyka najmocniej i kazały podejmować nie zawsze wygodne i moralnie słuszne decyzje.

Wycofali się z Berlina aż tutaj, na wschodnie rubieże, by uciec przed nawałą francuską. Nie pomogły sojusze z carem, nie pomogły wreszcie ich legendarna pruska obowiązkowość i dryl. Armia Fryderyka II Wielkiego<sup>[14]</sup>, wybitnego reformatora, okazała się sztuczna i słaba jak groźnie wyglądająca makieta, imitacja wojennej maszyny wykonana z papieru. Zbieranina narodów, przypadkowych, źle żywionych i trzymany w nieludzkich warunkach żołnierzy karanych w wymyślny sposób za byle przewinienia nie mogła stanowić dostatecznej ochrony państwa. Fryderyk Wilhelm III wiedział o tym aż nazbyt dobrze, ale nie potrafił nic z tym zrobić. Musiałby wyrzucić obowiązujący porządek, a na to nie było stać ani jego jako króla, ani tego państwa. I nie chodziło tu o pieniądze, ale o siłę i wolę, by za pomocą rozgrywek politycznych i odpowiednich dokumentów zmusić dowódców do reorganizacji armii.

Ani pieniądze pozyskane ze sprzedaży klejnotów z polskich regaliów, ani złoto, które zgodnie z rozporządzeniem przetopione zostanie na monety, nie mogły rozwiązać tych problemów. Były zaledwie kroplą w morzu ogromnych potrzeb samego dworu królewskiego. Najpilniejszą z tych potrzeb była podróż do Petersburga, do której parła Luiza, bo jak słusznie uważała, tylko tak można było zacieśnić sojusz z carem.

Rozmyślenia króla przerwało ciche skrzypnięcie ciężkich, rzeźbionych drzwi. Do pokoju wsunęła się Luiza. Fryderyk za każdym razem, kiedy ją widział, zastanawiał się, jakim cudem ta wspaniała istota zechciała właśnie jego. Musiałby być głupi, żeby wierzyć we własny urok osobisty. Nie chodziło też o to, że był królem. Luiza mogła wyjść za każdego innego następcę tronu, a wybrała właśnie jego, by obdarzyć go szczerym uczuciem. Bo że królowa go kochała, nie miał żadnych wątpliwości.

Podeszła do niego i otarła się biodrem o jego ramię wsparte na podłokietniku.

– Nad czym mój drogi król tak intensywnie rozmyśla? – Zerknęła przy tym na dokumenty zajmujące blat. Fryderyk uwielbiał w niej to, że wszystko ją interesowało, że żyła sprawami kraju, że robiła wiele, by pokazać, jak bardzo król i królowa mają na uwadze interesy swych poddanych. Nie bez powodu ludzie ją uwielbiali.

Fryderyk oparł głowę o bok żony i przymknął oczy, wciągając w nozdrza znajomy kobiecy zapach, którym nasiąkła jej suknia po całym dniu.

– Chcę pójść za twoją radą i przetopić te klejnoty, które trzymamy w skarbcu.

– Masz jakieś skrupuły? – Dłoń Luizy pogładziła jego ramię.

– Nie chodzi o skrupuły. Po prostu te korony... Nosili je królowie, z którymi i nasza... moja rodzina jest spokrewniona<sup>[15]</sup>. Jednym aktem mogę je obrócić w pył, w nic nieznaczącą bryłę złota i garść kamieni. Te klejnoty to setki wieków historii...

– Jak sam zauważyłeś, to tylko złoty złom. Dla nas kompletnie bez znaczenia. Ale może nam pomóc i wtedy zyska na wartości, bo wesprze wielką sprawę naszego królestwa. Tak samo jak moje klejnoty, które kazałam przetopić.

– Ale zachowałam kamienie i można w każdej chwili...

– To nieważne. Noszę te żeliwne obręcze z dumą, bo zależy mi na Prusach, na Prusach Fryderyka Wilhelma III, na naszych Prusach, mój królu. – Luiza mówiła z ogniem w oczach, z niezachwianą pewnością, której tak bardzo jej zazdrościł.

Potrafiła przekonać go do wszystkiego, i to bez większego trudu. Zresztą nie tylko jego umiała zręcznie poprowadzić tam, gdzie sobie tego życzyła. Gdyby nie ona, Prusy nie stanęłyby ramię w ramię z Rosją przeciw cesarzowi Francuzów. Nie rozumiał, jakim cudem Napoleon mógł jej odmówić czegokolwiek. Choć to jej staraniom Fryderyk zawdzięczał ostateczny i wcale jego zdaniem nie najgorszy kształt układów w Tylży<sup>[16]</sup>. W końcu zawsze mogło być gorzej. Mogli go pozbawić wszystkiego, a wciąż był królem, co prawda mocno okrojonego państwa, jednak mieszkał teraz w zamku i żył jak dawniej. Z tą tylko różnicą, że musiał wysłuchiwać płomiennych kazań Luizy niezadowolonej z ich obecnej sytuacji. Jeśli więc podpisanie tego rozporządzenia, na mocy którego regalia miały przestać istnieć, mogło ją choć na jakiś czas udobruchać, to nie miał zamiaru wahać się ani minuty.

– Wiem, jak bardzo ci zależy na naszym kraju, na naszych ludziach, i dlatego podpisałem dokument.

Twarz Luizy rozjaśnił uśmiech. Uwielbiał ją taką.

– Nie mogłeś podjąć lepszej decyzji, mój drogi. Jestem z ciebie taka dumna, wasza wysokość.

Fryderyk wiedział doskonale, że kiedy Luiza nazywa go waszą wysokością, to jest to oczywiste zaproszenie do jej sypialni. Żeby tam trafić, podpisałby tysiąc takich dokumentów. Na samą myśl o jej miękkim, jasnym ciele uśmiechnął się szeroko, czego Luiza już nie widziała, bo ruszyła ku drzwiom. Poprawił wąsy, wielce z siebie zadowolony wstał zza biurka, zostawiając na nim dokument, i poszedł za królową, która skierowała się do swoich pokoi.

### III

Brzęk monet otwierał wiele drzwi. Krysia pierwszy bodaj raz w życiu przekonała się o tym na własnej skórze. Ponieważ była pod opieką księżnej, nikt nie zadawał pytań i nie był zdziwiony, gdy ta kazała do kamienicy sprowadzić specjalistki znające się na najnowszej modzie w strojach i fryzurach. Po wspaniałej kąpieli w pachnącej olejkami wodzie wystarczyło włożyć na siebie elegancką suknię w kolorze błękitu przypominającego odcieniem niebo i dopełnić stroju perłami oraz długimi białymi rękawiczkami, by wyglądać jak prawdziwa dama. Suknia została odpowiednio do jej wzrostu i figury przerobiona przez zręczną szwaczkę. Nikt nie domyśliłby się, że ją przedłużono za pomocą falbany, zaś stanik powiększono, by zmieściły się w nim piersi młodej kobiety. Loulou była ledwie dziewczęciem, w dodatku dość wiotkim i delikatnym, co Krysia poznała po rodzaju przeróbek, jakich dokonywały zwinne ręce szwaczki.

Największy problem wciąż sprawiała fryzura. Nierówno, po męsku ścięte włosy podrygiwały wokół twarzy i trzeba było nie lada umiejętności, by je okiełznać i upiąć w zgrabny, lecz luźny kok, który przepleciono białą wstążką podtrzymującą pukle. Dziewczyna zaniemówiła, kiedy przejrzała się w zwierciadle. Patrzyła na nią czarnowłosa piękność o drobnych ustach, zgrabnym ciele i złotawej

skórce. Nawet niewielkie piersi, starannie dotąd ukrywane pod mundurem, a teraz obramowane dekoltem wykończonym białą lamówką, sprawiały wrażenie pełniejszych. Spojrzenie ciemnych oczu naznaczone było tajemnicą i głębią, ale też strachem.

– Czy zadowolona pani z efektu? – zagadnęła starsza z kobiet, które zawezwała gospodyni.

Dziewczyna drgnęła.

– Tak! Bardzo... – Ponownie zerknęła w zwierciadło. Kobieta zwróciła się do niej jak do mężatki. Założyła, że Krysia, mimo młodego wieku, ma towarzysza życia. Jednak spłoszone spojrzenie i niepewność w głosie mogły robić zgoła odmienne wrażenie. Krysia odchrząknęła i powiedziała już pewniejszym tonem:

– Sprawiliście się tak dobrze, że sama się nie poznałam. – Wstała z miejsca i podziękowawszy kobietom, odprawiła je.

Zrobiła kilka kroków po pomieszczeniu, żeby przywyknąć do płaczącej się pomiędzy nogami sukni z ciężkiego materiału. Och, jakżeż doceniała teraz męski strój i jak bardzo zazdrościła noszącym go panom. Zdało jej się, że im bardziej wymyślna kreacja, tym mocniej krępuje kobiece ruchy, a kobiety jakby na własne życzenie dają się w ten sposób ograniczać. Choć ona nie powinna utyskiwać, bo nowoczesne suknie miały raczej swobodny krój. Gdyby przyjrzeć się portretom przodków, ich sztywno zapiętym pod szyją sukniom z kryzami, z setkami guziczków i kilkoma warstwami spódnic i halek, to dopiero można by dostać zawrotu głowy. Jedno było pewne. Jeśli Krysia chciała cokolwiek osiągnąć na dworze królowej Luizy, musiała nie tylko przeistoczyć się zewnętrznie w elegancką damę. Przede wszystkim powinna była się nią stać wewnętrznie. Kiedy ponownie popatrzyła w lustro, zobaczyła w nim twarde spojrzenie kobiety, która wiele w życiu widziała i wiele przeszła mimo młodego wieku. W istocie bowiem nawet jej oschła matka nie miała okazji uczestniczyć w bitwie z jej całym okrucieństwem. Nigdy też nie zabiła człowieka. Dziewczyna odwróciła wzrok od lustra i wzdrygnęła się na wspomnienie bryzgającej z głowy austriackiego żołnierza krwi.

Nie pora na wyrzuty, jeśli chce się być użytecznym! – pomyślała i sięgnęła po obszerną, satynową pelerynę, ale nie dane jej było bez przeszkód dotrzeć do apartamentu księżnej, która zapewne już jej oczekiwała. Zza załamania ściany na korytarzu wyłonił się bowiem Pierre. Najwyraźniej na nią czekał, bo kiedy zobaczył dziewczynę, odetchnął z ulgą i chwycił ją za rękę, żeby odciągnąć w stronę wnęki, w której obsadzono portfenetr.

– Myślał żem, że cię te panusie już nie uwolnią. Powiem ci jednak, że widok oszałamiający. Gdybym gustował w szczupłych kobietach... – Pierre pokiwał z uznaniem głową, mierząc Krysię spojrzeniem od stóp do głów. – Jegomość musi ślepy być, żeby nie widzieć, jaki kwiatusek z ciebie albo może chłopów woli... – Chłopak się rozkręcał, zapominając o tym, co miał jej powiedzieć.

– Pierre! – Krysia trzepnęła go w ramię, nagle zaróżowiona z zażenowania. Co innego myśleć o Robercie w zaciszu sypialni, a co innego słyszeć z ust innego mężczyzny, że jest piękną kobietą, która mogłaby mu się podobać. – Chyba nie po to czekałeś na mnie, żeby mi prawić komplementa.

– No nie. – Chłopak rozejrzał się po korytarzu, czy nikt nie widzi, jak czają się za kotarą osłaniającą okno. – Kiedym zszedł do kuchni, natrafiłem na wielce ciekawą rozmowę sługi markiza Souvré, który był wizytował naszą drogą księżnę. Ten sługa twierdzi, że jego pan znał się z niejakim hrabią Plélo, ale dziwił się, bo pono ten hrabia zginął na ostatniej wojnie. – Chłopak umilkł, by wywołać właściwe wrażenie na Krysi.

– Ale jak to? Przecież hrabia Plélo to wymysł naszego drogiego Bréhana.

– Wymysł, nie wymysł. Jeśli ten markiz pojawi się na salonach i zechce pogawędzić ze swym starym znajomym hrabią, to będzie jegomość miał kłopoty. Ba! Kłopoty! Toż to będzie prawdziwa tragedia! Pewnikiem go zamkną. Że też musiał tak niefortunnie wybrać sobie fałszywe nazwisko. Na domiar złego nie ma go nigdzie w domu, choć szukam go od rana. I co my teraz zrobim? – Pierre swoim zwyczajem popadł w egzaltowany ton.

– Masz rację. Robertowi grozi niebezpieczeństwo, a my na to nie możemy pozwolić. – Krysia gorączkowo zaczęła się zastanawiać, co należy w tej sytuacji zrobić. Powiedzieć księżnie prawdę? To nie wchodziło w grę. W najlepszym wypadku przepędziłaby ich jak pospolitych złodziei. W najgorszym mogłaby wezwać stróżów prawa i kazać ich osadzić w areszcie. Zdradzając prawdę, nie tylko



ryzykowałyaby życie Roberta, ale też swoje i Pierre'a.

– I co my teraz poczniemy? – powtórzył chłopak.

– Nic – rzekła Krysia.

Pierre umilkł i wlepił w nią zdziwione spojrzenie.

– Ale jak to?

– Tak to! Teraz nic nie zrobimy. Pójdę z księżną na to urodzinowe przyjęcie. Znajdę Roberta i ostrzegę go. A jeśli odmówi wyjścia, to go stamtąd siłą wyciągnę. – Dziewczyna zacisnęła pięści w geście desperacji. – Szukanie go teraz byłoby stratą czasu. Poza tym księżna na mnie już czeka, więc nie mamy chwili do stracenia. Im szybciej będziemy na zamku, tym prędzej znajdem Bréhana i uratuję ten jego niewdzięczny zadek.

Pierre uśmiechnął się szeroko.

– Zuch dziewczyna! – Chwycił Krysię za ramiona i potrząsnął nią. – Wiedziałem, że razem coś wymyślimy. No to do roboty!

– Ty nie zostajesz tutaj. Pojedziesz z nami i jako służa rozejrzysz się po zamku. Porozmawiasz ze służbą, a być może dowiesz się, gdzie królowa i król trzymają klejnoty.

– Dalibóg, czy aby mnie co kto powie? – Pierre'a opuściły resztki odwagi. – I jak mam się zabrać z wami, skoro stangret mi nie pozwoli na kozioł wejść?

– Twoja w tym głowa, żeby ubłagać stangreta. Jeśli ty się tego nie dowiesz, to ja tym bardziej. – Wiedziała, że jako gość i podopieczna księżnej nie będzie miała zbyt wielu okazji do rozmowy o biżuterii jako takiej, a co dopiero o zrabowanych i zapewne przechowywanych w tajemnicy regaliach. Co innego służba.

Krysia wiedziała, że nawet w ich domu w Podolanach służba miała brzydki zwyczaj wściubiać nos w nie swoje sprawy i podsłuchiwać, a potem nierzadko wyśmiewać swoich panów. Bycie częścią dworskiego tła miało tę zaletę, że Krysia wiele rzeczy mogła z tego tła zaobserwować, jednocześnie bacznie się rozglądać i w porę ostrzec Bréhana, zanim spotka go coś złego.

#### IV

Nigdy dotąd nie była na wytwornym przyjęciu. Jej świat ograniczał się do szlichtad organizowanych zimą i spotkań w gronie rodziny i sąsiadów. Jednak pojęcie o dobrym wychowaniu oraz etykietce posiadała. Głównie dzięki Émilie. To ona opowiadała jej o balach na cześć Napoleona i wytwornych damach.

– Nie denerwuj się, moje dziecko. – Księżna położyła dłoń osłoniętą rękawiczką i ozdobioną pierścieniami na jej niespokojnie podrygujących na kolanach dłoniach. – To tylko ludzie, tacy sami jak ty.

– Nie tacy sami, wasza miłość. Mają władzę i pieniądze. Mogą wszystko – wyszeptala Krysia pobiegałymi wargami. Z coraz większym trudem hamowała rosnącą w niej panikę.

Księżna zaśmiała się cicho.

– Mogą wiele, ale nie wszystko, a to duża różnica. Poza tym popatrz na króla i królową. Kilka lat temu chępli się wielkością swego państwa, którą Napoleon rozbił w pył w parę miesięcy. Nie tak dawno Luiza błagała cesarza ze łzami w oczach, by oszczędził Prusy. Dziś znowu knuje przeciw niemu. Uwierz, że obycie nie jest kluczem do sukcesu na salonach, a wyłącznie pewność siebie i to, czy potrafisz rozgrywać ludźmi jak pionkami. W walce o cel zasady nie istnieją.

– Ja mam cel – odparła Krysia, choć miała na myśli zupełnie co innego niż księżna.

– I masz też urodę, a to wiele znaczy. Dlatego dasz sobie radę.

Całą drogę w powozie Krysia drżała z nerwów, mimo uspokajających słów Radziwiłłowej. Tuż przed wejściem do zamku wzięła głęboki oddech, zacisnęła mocno dłoń na woreczku i skoncentrowała się na celu, który jej przyświecał. Tylko tak mogła odegrać swą rolę idealnie i uratować Roberta.

Już na zewnątrz panował gwar rozmów pomieszany ze stukotem przemieszczających się po dziedzińcu pojazdów konnych. Wewnątrz było jeszcze głośniejsze, tłoczniejsze i duszno tak, że aż zakręciło się Krysi w głowie. Serce uderzało ciężko i opieszale, gdy zaanonsowano księżną. Dziewczyna najchętniej chwyciłaby swą towarzyszkę za rękę. Szybko jednak zapomniała o strachu, bo światła, zapachy i kolory wirujące w powietrzu oszołomiły ją i całkowicie pochłonęły. Rozglądała się

z zaciekawieniem, starając się nie zachowywać jak prowincjonalna gęś. Przepych, jakiego nie widziała, a nawet sobie nie wyobrażała, porażał zmysły. Kwiatowe festony zdobiące korytarze, sale i klatkę schodową, lśniące, jedwabne draperie, drogocenne klejnoty o niespotykanej wielkości zdobiące szyje kobiet przyprawiały o zawrót głowy, choć według słów księżnej arystokracja pruska na wzór królowej Luizy nosiła odlane z żeliwa ozdoby, by tym zmanifestować ciężką sytuację, w jakiej znalazło się państwo. Widać jednak dziś każdy chciał błyszczeć.

Radziwiłłowa tymczasem parła ku najważniejszej osobie wśród zgromadzonych gości. Królowa Luiza była piękną, dojrzałą kobietą zbliżoną wiekiem do Émilie. Jej suknię na ramionach udrapowaną w fałdy przytrzymały olbrzymie żelazne brosze ozdobione kamieniami szlachetnymi. Ale to nie one skupiały na sobie uwagę. Nie była to też żeliwna przepaska połyskująca wśród upiętych misternie i zarazem swobodnie skręconych włosów. Od władczyni biła pewność siebie, a w jej oczach czaiło się przekonanie o własnej wspaniałości. Księżna uświadomiła Krysi, że Luiza, tak kochana przez naród, była wytrawnym politykiem i intrygantką, która doprowadziła swoimi machinacjami do wojny z Napoleonem. Ponoć całą biżuterię przeznaczyła na ratowanie zubożałego skarbcza, stąd owe żeliwne, odlewane w Bawarii ozdoby, które jednak nie zostały pozbawione kamieni.

Dziewczyna złożyła przed królową ukłon, w którym miała ochotę pozostać, by nie musieć podnosić wzroku na władczynię.

– Kimże jest ta urocza istota, moja droga Ludwiko? – zapytała Luiza.

– To moja podopieczna, przysłana do mnie przez księcia Poniatowskiego. Sam nie był w stanie zapewnić jej należytej opieki, a przy mnie może nabyć oglady. To córka szlachcica Podolskiego, do niedawna jednego z naszych poddanych. – Zaskoczona Krysią spojrzała na księżną. Rzeczywiście majątek Podolany znalazł się pod jurysdykcją pruską, choć obecnie przydzielono go do Księstwa Warszawskiego. W ten oto zręczny sposób Radziwiłłowa uzasadniła jej pobyt w Königsbergu.

– Moja droga Ludwiko, nie wspominaj przy mnie, proszę, o tym nieszczęsnym Księstwie. – Luiza zamachała wachlarzem, jakby chciała odegnać od siebie natrętną wizję walącego się w gruzy państwa pruskiego.

– To dziecko niczemu nie jest winne. – Radziwiłłowa spojrzała z troską na Krysię, a ta zrobiła najbardziej skromną minę, na jaką ją było stać. Nie chciała, by królowa w jakikolwiek sposób odczuła, że w jej rodzinnym domu nie wypowiadano się pochlebnie o pruskich porządkach na Mazowszu.

– Masz rację, moja droga. Dzieci są ofiarą tego, co wyczyniają ich ojcowie – rzekła filozoficznie królowa. – A ty, moje drogie dziecko – zwróciła się do Krysi – bądź wdzięczna swej opiekunce, naszej umiłowanej Ludwice, która serce ma gołębie, a tak ciężko została przez los pokrzywdzona stratą dzieci. Trafiwszy pod jej opiekuńcze skrzydła, zyskacie na znaczeniu i ty, i twoja rodzina. Zaś twa niewątpliwa uroda sprawi, że z pewnością znajdziemy ci tu dobrą partię.

– Dziękuję, wasza królewska mość – szepnęła zawstydzona Krysią.

Zaraz potem oddaliły się ku tłumowi pozostałych gości, więc dziewczyna teraz już swobodnie mogła się rozejrzeć po sali. Prowadzona przez księżną, poznać miała znamienitych obywateli miasta.

Radziwiłłowa miała rację, że mimo radosnej przecież okazji, bo urodzin królowej, panował smętny nastrój. Uczestnicy zachowywali się, jakby przytłaczał ich ciężar i dało się odczuć rodzaj napięcia oraz niepewności, która tłumiała co i rusz rozmowy, z oczu co wrażliwszych pań wyciskała łzy, zaś panom zachmurzała oblicza.

Księżna z Krysią podeszła do grupy kobiet zabawianych przez ciemnowłosego mężczyznę stojącego tyłem. Panie wyraźnie dobrze się z nim czuły, a ich kompan o szerokich barkach pochylał się i szeptał do nich, co przyjmowały z widoczną wesołością. Jedna z nich zauważyła księżną. Krysią wiele by dała, żeby przeszły niezauważone obok tej grupy, ale niestety jej marzenia spełzły na niczym. Wciąż nie mogła odnaleźć Roberta i to ją coraz mocniej niepokoiło.

– Jakże miło widzieć waszą księżęcą wysokość w dobrym zdrowiu! – zakrzyknęła dama w zieleni, na co oczy pozostałych zwróciły się ku Krysi i Radziwiłłowej.

Również towarzysz kobiet obrócił się w ich stronę i uśmiech zamarł mu na ustach. Wyglądał, jakby nie przymierzając, przydzwonił głową o bruk. Oczy wyszły mu z orbit, a po chwili mignęła w nich wściekłość. Krysią odruchowo się skuliła, lecz zaraz drgnęła w jej wnętrzu jakaś niepokorna cząstka,

za sprawą której znalazła się w tym właśnie miejscu. On nie miał żadnego prawa czegokolwiek jej zabraniać, a już z pewnością nie mógł jej zabronić na swój sposób walczyć dla kraju, w którym się urodziła.

– Cóż za klejnot towarzyszy waszej książęcej wysokości? – zagadnęła druga z kobiet rzucająca wcześniej Robertowi zalotne spojrzenia. Krysia stwierdziła z dziwnym smutkiem, że owa dama pasowałaby do niego. Była piękna, wiotka i ciemnowłosa. Proporcjonalne rysy jej twarzy wręcz przypominały dzieło starannie zaaranżowane przez artystę malarza.

Na nią samą Robert reagował jak na natrętną muchę. Choć w sumie nie powinna mu się dziwić. Może wciąż do końca nie wierzył, że jest kobietą, nie żołnierzem. Zaskoczone spojrzenie Bréhana sprawiło Krysi ogromną satysfakcję. Wyglądała bowiem wreszcie jak prawdziwa dama. Kiedy jego wzrok prześlizgiwał się raz za razem po jej ciele, poczuła się jednak niezdarna, nie dość ładna i dziecinna. Wbrew tym odczuciom pod jej skórą pulsowała rozgrzana tym spojrzeniem krew.

– Poznajcie drogie panie... – zaczęła księżna.

– Moją przyszłą żonę, Christine Podolski – dokończył Robert.

Tym razem to Krysia wyglądała, jakby rąbnęła głową o bruk. Gorączkowo zaczęła się zastanawiać, co ten dureń wymyślił i dlaczego nagle postanowił zrobić z niej swoją przyszłą żonę. W dodatku stał się raptem uprzedzająco miły, wcale nie jak gburowaty olbrzym, którym zazwyczaj był. Spojrzała skonsternowana na księżnę, ale ta starannie ukryła zaskoczenie, które przemknęło po jej twarzy, uśmiechnęła się dobrotliwie i ze zrozumieniem pokiwała głową. Za to wszystkie trzy umizgujące się do Roberta arystokratki wyglądały, jakby ktoś wylał im po wiadrze zimnej wody na głowę.

– Nie mówiłeś, żeś po słowie – parsknęła najbardziej pulchna i najniższa z nich. Krysia chciała powiedzieć dokładnie to samo, ale w porę ugryzła się w język. Zerknęła na księżnę. Ta nadal uśmiechała się zagadkowo. Pulchna dama wyglądała na urażoną, zupełnie jakby pojawienie się Krysi mogło być przeszkodą w nawiązaniu zażyłości z tym kawalerem.

Krysię wciąż dziwiło to, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli wiele pozamałżeńskich związków. Wśród szlachty było to nie do pomyślenia. W każdym razie nie słyszała o takich przypadkach, ale z tego, co opowiadała Émilie, taki sposób na życie nie był czymś niespotykanym wśród arystokracji. Ona sobie tego nie mogła wyobrazić do momentu, w którym matka postanowiła wydać ją za Olszewskiego. Gdyby powiódł się plan matki, a ona spotkałaby kogoś, dla kogo jej serce zabiłoby zwawiej, czy potrafiłaby dochować wierności?

– Cóż, Christine źle się czuła – odparł Robert.

– Nie wypadało jednak odmówić zaproszeniu królowej – uzupełniła księżna.

– Ale już pani lepiej? – spytała z troską w oczach ostatnia z towarzyszek Roberta.

– Dziękuję, zdecydowanie tak.

– Jeśli będzie trzeba, odwiozę cię wcześniej do domu – wtrącił się Robert, a w jego spojrzeniu czaiła się groźba.

W odpowiedzi Krysia przewróciła oczami.

– Doprawdy nie ma takiej potrzeby. Czuję się wyśmienicie, mój drogi. – Ostatnie słowo powiedziała z mocą, co nie pozostało niezauważone przez kobiety, które zachichotały jak na komendę. Zapewne wyobrażały sobie, że nie są zbyt zgodną parą, a przyszłe małżeństwo było zaaranżowanym na potrzeby rodzinnych interesów związkiem. Krysia była ciekawa, jakie miałyby miny, gdyby wiedziały, kim są obydwójce i że żadne z nich nie ma jakiegokolwiek tytułu, nie wspominając o tym, że nic ich nie łączy.

Potem nastąpiła niezobowiązująca wymiana uprzejmości i komplementów, mniej lub bardziej fałszywych. Krysia słuchała tego jednym uchem, bo jej uwagę pochłaniało zupełnie co innego. Rozglądała się bacznie, usiłując dojrzeć, czy nie pojawił się wśród gości zagrażający im zdemaskowaniem człowiek. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Robert wbija w nią roziskrzone spojrzenie. Odniosła wrażenie, że musiał wypić już sporo wina, bo wyglądał, jakby miał się na nią rzucić. Zadrżała, choć wcale nie ze strachu.

Zrobiła krok w jego stronę, wykorzystując to, że księżna wymieniała się ploteczkami z trzema arystokratkami. Uniosła głowę, żeby spojrzeć prosto w oczy Roberta, a on pochylił się ku niej.

- Mam coś na twarzy? Wpatrujesz się we mnie, jakbyś pierwszy raz mnie widział – szepnęła.
- Nie powinno cię tu być – warknął, ignorując żartobliwy ton wyraźnie wyczuwalny w jej głosie.
- Nie mam wpływu na to, co księżna dla mnie planuje. W końcu sam mnie zostawiłeś pod jej opieką. Widzę, że pókim udawała mężczyznę, mogłam chodzić, gdzie mi się tylko podobało.
- Nie jesteś mężczyzną.
- Czy to coś zmienia?
- To zmienia wszystko – wyszczał Robert i wbił w nią płonący wzrok.

Na moment Krysia straciła rezon. Miała wrażenie, że w dusznym powietrzu sali balowej zrobiło się raptem gorąco jak w piecu, a między nią a tym mrukiem zaiskrzyło.

– Może dla ciebie, bo dla mnie niczego to nie zmienia. Przyszłam tu, żeby cię ostrzec. – Zapewne powinna się zaczerwienić i uciec wzrokiem, ale była tak wściekła na tego niewdzięcznika, że aż drżała z emocji.

- Ostrzec?
- Wyobraź sobie, że jest tu ktoś, kto zna prawdziwego hrabiego Plélo i bez trudu cię zdemaskuje. Nie możemy tu dłużej... – Pozostałe słowa Krysi zagłuszyła muzyka, która rozległa się za ich plecami.

Pochłonięci rozmową, nie zauważyli, że muzycy w obramowanych złotymi lamówkami błękitnych liberiiach stroili instrumenty. Robert skłonił się jej, chwycił ją bez słowa pod łokieć i pociągnął za sobą, zanim zdążyła odwzajemnić ukłon. Zorientowała się, że on ma zamiar z nią tańczyć, dopiero gdy obok nich ustawiły się inne pary.

– Ależ ja nie potrafię... – wyszeptala mu do ucha gorączkowym szeptem, stając na palcach, żeby być wyższą. Serce uderzało jej jak oszalałe, bo oto zaraz miało się wydać, że jest prostą dziewczyną z prowincji, nie żadną arystokratką. Co też on wyczyniał? Przecież sam nie umiał z pewnością żadnego z tych modnych tańców. Zachwiała się, kiedy ramię Roberta oplotło jej talię.

– Poradzisz sobie. Na polu bitwy też nigdy nie byłeś, a usiekłaś tego Austriaka – powiedział ze złośliwym uśmieszkiem, kładąc dużą, ciepłą dłoń na jej plecach.

- Ktoś się zorientuje...
- Rób to, co ja. – Pociągnął ją ku sobie i Krysia przez moment była skupiona tylko na stawianiu kroków we właściwym rytmie.

Szybko pojęła, że Émilie kolejny raz jej się przysłużyła, bo był to jeden z tych tańców, które żona brata nuciła, kręcąc się w kółko po bawialni z Marie w ramionach. Kilka razy nawet chwyciła Krysię i wirowały jak szalone. Potem śmiały się do rozpuku. Dziewczyna zatęskniła raptownie za Podolanami, a jeszcze bardziej za Émilie i jej córką, bo były to jedyne osoby, z którymi czuła się bezpiecznie i dobrze; jedyne, które ją w ogóle zauważały. Żal zapiekł Krysię w piersi tak nagle, że pochyliła głowę i skuliła się w sobie.

– Wszystko dobrze? – Robert kolejny raz ją zaskoczył. Nigdy nie przejmował się jej samopoczuciem i zdawał się kompletnie ją ignorować. Tylko raz, w porcie, wyglądał na przejętego. Tym razem słyszała taką samą troskę w jego głosie, jak wtedy.

Skinęła w odpowiedzi głową. Zapragnęła nagle, by to wszystko było prawdą. Żeby Robert naprawdę miał zostać jej mężem, może nawet niekoniecznie francuskim hrabią, ale kimś, kogo jej rodzina zaakceptuje. Wsparta na jego ramieniu, rozkołysana, z dłonią ukrytą w jego dłoni, z łatwością poddała się marzeniom. Niepewnie uniosła głowę i zerknęła na nachmurzone oblicze Roberta. Jej wzrok prześlizgnął się po wyrazistych, ciemnych brwiach, po silnej szczęce, teraz gładko ogolonej, po mocnych wargach i wysuniętym lekko podbródku, w którym jak kropka nad „i” widoczny był niewielki dołek. Na szczęście zdążyła umknąć wzrokiem, zanim Robert się zorientował, że mu się bacznie przygląda. Tylko jej przyspieszony oddech mógł ją zdradzić, gdyby on zwracał na to uwagę, gdyby w ogóle się nią interesował. Kolejny raz wspomniła Michała. Śniegocki jawił jej się teraz jak odległe dzieciinne marzenie. Bréhan był za to tutaj, blisko, na wyciągnięcie ręki, realny i wzbudzający wszystkie te uczucia, przed którymi się wzbraniała.

– Powiedziałaś, że jest tu ktoś, kto może mnie zdemaskować. – Ciepły oddech mężczyzny owionął jej policzek.

- Księżnę odwiedził niejaki markiz Souvré. – Na dźwięk tego nazwiska Robert nieznacznie

drgnął, jednak Krysia kontynuowała. – Pierre wdał się w rozmowę z jego sługą, w czasie której pochwalił się, że służy hrabiemu Plélo. Lokaj markiza zdziwił się niepomniernie, bo ponoć hrabia zginął w czasie ostatniej wojny. W każdym razie słuch po nim zaginął. – Krysia odczekała, aż milczący wciąż Robert obróci ją, i dokończyła z wyrzutem: – Nie mogłeś wybrać sobie nazwiska jakiego żyjącego szlachcica?

Kiedy Robert nadal się nie odzywał, dodała:

– Zawsze możemy rzec, żeś jest jakim dalekim krewnym hrabiego, jego spadkobiercą.

Przyjrzała się Robertowi. Jego twarz niczego nie wyrażała. Z pewnością jednak nie wyglądał na przestraszonego.

– Powiedźże coś wreszcie! – Nie wytrzymała.

– Cóż mam ci powiedzieć? Skoro wszystko wiesz najlepiej. – W jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Na litość boską, Robercie! Wtrąca cię do więzienia! Czy nawet to nie jest cię w stanie przerazić?

– W więzieniu już byłem. Ale że tak się o mnie martwisz, widzę pierwszy raz. – Nie starał się ukryć szyderczej nuty pobrzmiwającej w głosie. Tak samo jak nie krył zaciekawienia jej mocno wyeksponowanymi w dekolcie piersiami, tylko nieznacznie osłoniętymi delikatną jak pianka koronką obramowania.

Krysia oblała się rumieńcem, lecz nie ustępowała.

– Musimy jak najszybciej opuścić to przyjęcie, zanim będzie zbyt późno.

Muzyka ucichła i Robert wypuścił dziewczynę z objęć.

– Zbyt daleko zaszliśmy, żeby teraz zrezygnować. Jak dotąd nie widziałem nigdzie tego markiza, więc skup się na tym, co jest ponoć twym zadaniem. Skoro tu już jesteś, to zauważyłaś, co ma na sobie królowa? – mówił, prowadząc Krysię ku bocznemu wyjściu otwartemu na oświetlony rześcicie ogród.

– Bréhan, przysięgłbym, żeś trup, a tu proszę! – Rozległ się głos z boku. Stał przed nimi pulchny mężczyzna, wyglądający jakby ktoś go wbił siłą w zbyt ciasny ubiór złożony z białych spodni, krótkiej kamizelki oraz surduta. Halsztuk opinał szyję i podkreślał jeszcze mocniej krągłość policzków okolonych bokobrodami. – Wyśmienicie wyglądasz i jak zawsze w uroczym towarzystwie. – Mężczyzna uklonił się Krysi, a ta odruchowo skinęła głową, choć w pierwszym momencie sparaliżował ją strach. Mocniej wczepiła się w ramię Roberta, zaś on położył dłoń na jej dłoni. Kiedy popatrzyła na niego z przestachem, Bréhan powiedział coś, co sprawiło, że zaniemówiła na kilka ładnych chwil.

– Nicolas, dobrze cię widzieć. To moja przyszła żona, Christine. Jak widzisz, wbrew moim wrogom, żyję i mam się świetnie. Co u ciebie, przyjacielu?

Skonsternowana dziewczyna wybałuszyła oczy na Roberta. To, że przedstawiał ją jako przyszłą żonę, nie dziwiło jej już w ogóle, ale wyglądało na to, że ci dwaj znają się i że ów Nicolas wie lepiej od niej, kim jest Robert. Tyle że on nie był tym, za kogo się podawał.

– Christine, to mój przyjaciel z lat młodości, Louis-Nicolas Le Tellier, markiz Souvré.

– No tak. Przyszła żona. Ledwie wyjechał i nawet w obcym kraju znalazł kobietę klejnot – westchnął markiz i ucałował dłoń oszołomionej Krysi, do której wciąż nie docierało, jakim cudem tych dwóch mogło się znać, skoro Robert nie był żadnym hrabią... – Mnie się nie szczęści u płci przeciwnej – dodał.

– Nie wierzę doprawdy, że narzekasz na brak powodzenia.

– Masz rację, mój drogi Robercie. Ale ponarzekać jest teraz w dobrym guście. – Pochylił się ku przyjacielowi. – Zwłaszcza tutaj – dodał szeptem i zaśmiał się cicho.

– Atmosfera rzeczywiście upiorna – przywodził mu Robert. – Lecz nie przeszkadza to Prusakom gościć Francuzów jak swoich.

– Wiesz, jaka jest arystokracja. Granice i obywatelstwa ma za nic, bo każdy tu z każdym spowinowacony, jeśli nie za sprawą więzów krwi, to przynajmniej za pomocą interesów. Choć Bogiem a prawdą, nie wiem, które z tych więzów trwalsze i bardziej realne. Z państwem interesu nie zrobisz i za państwo nie wydasz dzieci. Nawet król i królowa to nic, tylko arystokraci z ambicjami, może nieco większymi niż reszta, jednak ambicjami rodzinnymi. Bo każdemu zależy wyłącznie na rodzinie. Zauważ

– księżna Radziwiłłowa. Prusaczka z książęcej rodziny Hohenzollernów, a wyszła za Polaka i choć mąż agituje jak może w sprawach swego nieistniejącego przecie państwa, ona nie boczy się o to na niego. Wręcz przeciwnie, sprzyja jego zamiarom, jakby ledwie co rodacy męża nie uwolnili się byli spod jarzma Prus. Takie to widzisz teraz ceregiele.

Tymczasem w głowie Krysi gotowało się od niespokojnych myśli. Najchętniej wyciągnęłaby beztrósko słuchającego Roberta na zewnątrz i wyjaśniła z nim, o co chodzi z tym markizem. Wciąż nie mogła pojąć, jakim cudem ów oschły, zimny żołnierz, którego znała, przeistoczył się nagle w arystokratę.

– Gdzie się zatrzymałeś? Chętnie bym cię odwiedził. Widzę, żeś zorientowany w tutejszych układach. Mnie spieszno do domu i chętnie zabrałbym się na jaki statek albo z którym bądź arystokratą zmierzającym na zachód. – Robert najwidoczniej postanowił wykorzystać sytuację.

– Teraz mało kto podąża na zachód, mój drogi, bo tu w Prusach to wielce niepopularny kierunek. Sam rozumiesz, że ci wszyscy ludzie uciekli do Königsberg przed *Grande Armée* i Napoleonem. A ja mam kwaterę niedaleko katedry. Nie umywa się do mojego pałacu, ale i Königsberg równać się nie może do Berlina. Choć przyznam, że mnie to miasto zaskoczyło niepomiernie, bom wyobrażał sobie, że to prowincjonalna miejscina. Tymczasem port, te kanały rzeczne, te mosty i zabudowa urocza wreszcie... – Markiz lubił mówić, co dało się odczuć za każdym razem, gdy pozwoliło mu się dojść do słowa. – Zapraszam cię oczywiście z uroczą panną Christine. – Ukłonił się w stronę Krysi, która zarumieniała się kolejny raz, na co Robert zareagował przewróceniem oczu. – Z wielką przyjemnością poznam bliżej piękną przyszlą hrabinę Plélo. Choć szczerze, tom się nie spodziewał, że poza uroczą Jeanne kiedykolwiek kogokolwiek obdarzysz uczuciem...

– Odwiedzę cię w najbliższym czasie, Souvré – wszedł mu w słowo Robert.

Krysią zauważyła, że spał się w sobie, najeżył i mocno zacisnął dłonie. Kim była owa Jeanne? Czy to z jej powodu znalazł się z dala od Francji? I dlaczego nie są razem?

– Żywię taką nadzieję. Tymczasem chciałbym zatańczyć z twą uroczą towarzyszką.

Na policzki Krysi ponownie wystąpił rumieniec. Tańczyć z Robertem to jednak było co innego niż tańczyć z obcym mężczyzną, który w dodatku obrzucał ją co i rusz śmiałymi spojrzeniami spod zmrużonych powiek. Od tych spojrzeń po jej plecach przechodziły zimne dreszcze. Poza tym nie zdarzyło się dotąd, by obcy mężczyzna poza Michałem, no i oczywiście Robertem, trzymał ją w ramionach. W końcu Bréhan, zaciskając szczęki tak mocno, że aż pulsowały mu żyły na skroniach, skinął przyzwalająco głową.

Pierwsze takty zmusiły Krysię do tego, by skupić się na właściwym rytmie i na tym, by nie nadepnąć partnerowi na stopę. Na szczęście melodia tym razem płynęła wolno i jakby leniwie, więc niemal natychmiast udało jej się podchwycić sposób, w jaki partner się poruszał. Markiz musiał zauważyć, że dziewczyna jest spięta, ponieważ nie ponaglał jej ani nie zaczynał rozmowy, póki nie podniosła na niego wzroku i nie rozluźniła się nieco. Zaraz jednak spłonęła rumieńcem, bo napotkała wzrok Souvré'a, który śmiało błąkał się po jej piersiach i ustach.

– Panienska uroczo się rumieni – zauważył mężczyzna. – Tutaj rzadko która z dam posiada tę umiejętność, a nawet jeśli, jest ona starannie wystudowaną pozą i niczem więcej. Cóż więc tak urocza osóbką robi u boku mego drogiego przyjaciela Bréhana? Jakim cudem ten nicpoń skradł panienski serce?

Krysi musiała się ugryźć w język, żeby nie odparować, iż wcale nie skradł jej serca.

– Przypadek tak zrządził, że Robert stanął na mej drodze.

Korciło ją, by spytać o tę całą Jeanne, jednak musiała powściągnąć ciekawość, jeśli nie chciała wyjść na prowincjuszkę i głupią gąskę bez wychowania.

– Przypadek, powiada panienska... Rzecz to ciekawa. Bo swego czasu głośno było o tym, jakoby nasz drogi hrabia zginął był w czasie jednej z bitew. A tu taka niespodzianka. Spotykam go na królewskim przyjęciu. Doprawdy niezbadane są wyroki losu. – Markiz zmarszczył nos.

– Robert wiele przeszedł, zanim żeśmy się spotkali. Z natury jest skryty i nie wraca do przeszłości. – Inaczej nie potrafiła wybrnąć z sytuacji. Przecież nie mogła powiedzieć rozmówcy, że do dzisiejszego wieczora nie miała pojęcia, iż Robert kłamał w sprawie swego szlacheckiego pochodzenia także wcześniej. Tak sobie bowiem wytłumaczyła ów nieprawdopodobny zbieg okoliczności i to, że Souvré i Robert się znali. Bréhan musiał udawać hrabiego na długo przed tym,

zanim spotkał Krysię. I najpewniej z tego powodu znalazł się w wojskowym więzieniu, a potem został siłą wcielony do wojsk Księstwa, jednakowoż jako szeregowiec.

– Tu muszę przyznać panience rację. Skryty z niego typ i uparty. – Spojrzenie Souvré'a powędrowało ku stojącemu na uboczu Robertowi, który obserwował ich z nachmurzonym czołem.

Krysi zdawało się dziwne, że Bréhan nie wygląda na zbyt zadowolonego. Powinien się cieszyć, bo oto uciążliwa podopieczna, którą dla niego była, znalazła kogoś, kto okazywał jej zainteresowanie. Uśmiechnęła się promiennie do partnera i z gracją wykonała kolejną figurę taneczną. Robert nie spuszczał z niej wzroku. Kolejny obrót i znowu napotkała jego spojrzenie. Ignorował zupełnie swego przyjaciela, natomiast ciągle wpatrywał się w nią, aż zmyliła krok.

– Widzę, że nasz drogi hrabia pilnuje swej przyszłej żony jak oka w głowie – zachichotał markiz. – I słusznie, bo niejedyn tutaj zapewne połakomiłby się na taki świeży i nieskalany wielkoświatową manierą, sztuczością i pewnością siebie kwiatusek.

– Czuję się doprawdy onieśmielona słowami pana, markizie – szepnęła dziewczyna i zerknęła niepewnie na partnera, na którego twarzy malował się autentyczny zachwyty. Potem dyskretnie rozejrzała się po sali i rzeczywiście dostrzegła kilka par oczu wpatrzonych w nią z uwagą i nieskrywanym zainteresowaniem.

– I to onieśmielenie świadczy o tobie, moja droga, najlepiej, a ja żałuję, że nasze drogi nie zeszły się wcześniej. Jednakowoż gdybyś zechciała kiedyś mieć we mnie powiernika... – Markiz urwał, bowiem muzyka ucichła i zastąpił ją rozchodzący się po sali gwar rozmów. Mężczyzna skłonił się przed Krysią i dokończył dopiero wtedy, gdy stanęli ponownie przed Bréhanem.

– Jestem do twych usług, pani. Mam nadzieję, że wspomnienie mej osoby będzie ci miłym. – Souvré obrzucił Krysię powłóczytym spojrzeniem.

Robert parsknął, kiedy markiz pożegnawszy się, odszedł w stronę grupki kobiet.

– Nazwał mnie piękną – szepnęła Krysia chyba bardziej do siebie niż do Bréhana. Nieszczęściem on usłyszał jej słowa.

– W końcu myśli, że jesteś moją przyszłą żoną – rzekł z przekąsem.

– No tak, ty nie mógłbyś mieć brzydkiej żony.

– Wolę mieć brzydką niż pyskącą żonę, która na każdym kroku pcha się w tarapaty.

Kolejny raz Krysia poczuła się jak wtedy na przystani. Nie przywykła, by ktokolwiek ją chwalił, w ogóle do zainteresowania nie przywykła. Bycie niezauważaną miało tę zaletę, że nikt nie śmiał się z ciebie, nie krytykował i nie poniżał jak teraz Robert.

– Kto wie, może i takową masz – odcięła się.

– Gdybym miał żonę, pilnowałbym jej teraz, zamiast szukać waszego Świętego Graala.

– Nie Graala, tylko regaliów. Poza tym mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego markiz z uporem nazywał cię hrabią? Jak długo oszukujesz wszystkich wokół i udajesz kogoś, kim nie jesteś?

Bréhan rozejrzał się po sali wypełnionej ludźmi. Nikt nie zwracał na niego uwagi, gdyż większość była pogrążona w rozmowach. Widać tematy musiały być przygnębiające, bo łatwiej było dostrzec zmarszczone czoła i strapione miny niż uśmiechy. Muzyka ponownie zagrała w tle, ale to nie przeszkadzało nikomu, bo i nikt nie rwał się do tańców po tych kilku pierwszych.

– Chodźmy stąd. – Robert ujął Krysię pod ramię.

Wyszli z dusznej sali na przestronny korytarz. Dziewczyna dostrzegła jeszcze odprowadzające ich spojrzenie księżnej i zrobiło jej się wstyd. W końcu Robert był obcym mężczyzną. Co prawda zgromadzeni myśleli, że to jej przyszły mąż, ale Krysia zdawała sobie sprawę, że kompromituje się kolejny raz w oczach Radziwiłłowej. Cóż jednak mogła w tej sytuacji poradzić?

Na zewnątrz było dużo chłodniej. Korytarzami również snuli się tu i ówdzie goście, ale raczej nie było tam tłumów. Służba dyskretnie pilnowała, by nikt nie zapuszczał się głębiej i nie trafił do apartamentów królewskich.

Sprowadziwszy Krysię schodami na dół, Robert tak sprytnie lawirował, że wkrótce znaleźli się w niewielkim gabinecie. Być może służył jako salon, w którym przyjmowano mniej ważnych gości lub po prostu wstawiono tu rzadziej używane sprzęty. Pomieszczenie było usytuowane na niższych kondygnacjach, nisko sklepione, a jego całe wyposażenie stanowiło ciężkie, rzeźbione biurko, szafa oraz

obita grubą materią ława z oparciem. W półmroku rozświetlanym przez żółtawe światło padające z okien wychodzących na jaśniejący dziedziniec Krysia dostrzegła skwaszoną minę Roberta. Już miała zapytać, czy choć raz nie mógłby zdjąć tej maski, kiedy wargi mężczyzny zamknęły jej rozchylone usta. Tak ją tym zaskoczył, że w pierwszym momencie zeszywniała, zaraz jednak ochoczo odpowiedziała na tę niespodziewaną pieśczołę. Wspięła się na palce i zarzuciła ręce na szyję Bréhana, a ten z cichym jękiem objął ją mocniej i podniósł do góry. Krew w uszach dziewczyny szumiała i burzyła się jak woda w kipieli. Krysia wplotła palce w jego gęste włosy. Ogarnęły ją płomienie, przed którymi szukała ratunku w bliskości z tulącym ją mężczyzną.

Tym mocniej odczuła nagły chłód, który pojawił się, gdy niespodziewanie postawił ją na podłodze i cofnął się, ciężko oddychając. Patrzyli na siebie zdyszani, obydwójce tak samo zaskoczeni. Krysia nie wiedziała, co ma powiedzieć i dlaczego właściwie się tu znaleźli. Na krótką chwilę jej ciało odłączyło się od umysłu i nie była w stanie nic rzec.

– Wybacz – powiedział schrypniętym głosem Robert i przeczesał włosy rozcapierzonymi palcami. – Souvré mnie rozsierdził. Nie powinienem był... Jako moja przyszła żona nie możesz się uśmiechać do takich jak on, którym jedno w głowie.

– Więc to była kara – parsknęła dziewczyna. Ciekawie się zapowiadała ta rozmowa.

– Nie. Nie w tym rzecz. – Bréhan zaciskał pięści nerwowo, jakby ze sobą walczył, aż wreszcie nie wytrzymał. – Do diabła, dziewczyno! Nie widzisz, co ze mną robisz?

Krysia zaniemówiła na dobre. Nie rozumiała, o co Robertowi chodzi. Cóż takiego robiła, że raz się na nią wściekał, innym znowu razem ją całował.

– Co ja takiego uczyniłam? – spytała więc całkiem niewinnie.

– Prowokujesz mnie – warknął.

– Prowokuję? – Nadal nic nie rozumiała. – To raczej ty prowokujesz mnie. Kim ty jesteś, Robercie? Jeśli myślisz, że całując mnie, odwrócisz moją uwagę od istotnych spraw, to jesteś w błędzie. Niczego złego ci nie robię, a ty mnie oszukujesz. Oszukujesz wszystkich! Traktujesz mnie jak balast, jak służę, którego można odesłać, gdy staje się zbędny. – Głos dziewczyny zaczynał drżeć, a w jej oczach zakręciły się pierwsze łzy. Było tak w istocie, że za nic miał jej uczucia, że ciągle na nią pokrzykiwał i odpychał, mimo że starała się być pomocna. – Przyjechałam tu, żeby cię ostrzec. Bałam się, że kiedy się wyda, kim jesteś, zamkną cię w więzieniu. Zrobiłabym wszystko, żebyś choć raz spojrział na mnie jak na kogoś, kto życzy ci dobrze, kto, gdyby mógł, pragnąłby choć raz wywołać uśmiech na twojej ciągle poważnej twarzy. Tymczasem ty zachowujesz się jak niewdzięczny gbur i ryzykujesz swoje i nasze z Pierre'em życie, bo masz ochotę poudawać kogoś, kim nie jesteś.

Krysia urwała, czując, że tym razem naprawdę rozsierdziła Roberta, jednak wbrew lękowi poczuła wielką ulgę.

– Chciałabyś wywołać uśmiech na mojej twarzy... – Gdy powtórzył jej słowa, w jego głosie usłyszała coś, czego dotąd nie było. Jakąś miękkość, może nawet czułość. Bréhan wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Nie cofnęła się, kiedy kciuk otarł toczącą się po nim łzę. – I chcesz wiedzieć, kim jestem.

– Chcę – szepnęła, a Robert objął ją i zamknął w ramionach. Oddychała znajomym zapachem, z przymkniętymi powiekami. Niespodziewanie dla siebie odczuła spokój, jakby wróciła do domu.

– Nazywam się Robert Hippolyte Bréhan i jestem hrabią Plélo. Markiz Souvré się nie mylił. Znamy się od dzieciństwa. – Krysia zeszywniała, jakby zamarzała z każdym słowem, choć ramiona mężczyzny rozgrzewały jej ciało. – Znalazłem się w waszym kraju, bom dostał się do niewoli. Raz wtedy, gdy mnie osadzono razem z Pierre'em w wojskowym więzieniu, a teraz ponownie.

W głowie Krysi kolejny raz tego wieczoru kotłowały się setki myśli. Wyplątała się z objęć Roberta i cofnęła o krok.

– To niemożliwe. Ty jesteś Robert, żołnierz.

– Niestety, to prawda. Najpierw jestem hrabią, a potem żołnierzem, a raczej generałem dywizji.

Dziewczyna poczuła, że brak jej tchu. Wiele rzeczy wreszcie trafiło na swoje miejsce. Wyższość, z jaką traktował Pierre'a, pogarda dla niższych stanem, pewność siebie i zadziwiająca jak na prostego żołnierza znajomość zasad i konwenansów. No i język. Mówił eleganckim, salonowym wręcz



francuskim, nie prostym językiem jak Pierre. Wszystko to pasowało poza jednym. Skąd francuski hrabia wziął się w Księstwie Warszawskim? Dlaczego nie było z nim jego oddziału?

– Więc jakim cudem znalazłeś się tutaj, jeśli to prawda, co mówisz? – wykrztusiła.

– Dobrze pytanie. – Na twarzy Roberta pojawił się grymas złości. – Nie byłoby mnie tu, gdybyś pozwoliła mi wsiąść na statek.

– Odpłynąłbyś, gdybyś się pożegnał, a nie tak po prostu wyszedł.

– Odpłynąłbym, gdybyś nie pchała się w tarapaty, z których muszę cię wyciągać, zamiast zostać tam, gdzie cię zostawił.

Krysia zaplotła ręce na piersiach.

– Doprawdy? Nikt cię nie zmuszał, żebyś spieszył mi z pomocą. Poradziłabym sobie, a Pierre by mi pomógł z chęci, nie z przymusu.

– Dobrze sobie! Ten tchórz gdyby mógł, wlaźby w mysią dziurę, byleby nie ryzykować. On miałby cię ratować? Poza tym nie mówiłem, że nie wrócę. Miałaś tu siedzieć i czekać.

Młoda Podolska zaniemówiła. Ramiona opuściła wzdłuż ciała i z szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w mężczyznę.

– Nie mówiłeś, że wrócisz.

– Nie pytałaś. A tych z nabrzeża powinienem był zatłuc. – Robert zacisnął szczęki, mięsień na jego policzku zadrgał nerwowo. – Żaden Plélo nie puściłby płazem tego, by ktokolwiek krzywdził kobietę na jego oczach.

– Więc wróciłbyś...

– Wróciłbym. Po ciebie.

– Po mnie? – powtórzyła oszołomiona Krysia. Nie docierał do niej sens tego, co mówił Robert.

– Przecież nie po Pierre'a – nachmurzył się. – Zastanów się chwilę. Co mógłby ci dać prosty żołnierz? Co mógłby powiedzieć twojej rodzinie i jakie argumenty przedstawić, żeby zechcieli oddać mi ciebie za żonę?

Krysia miała wrażenie, że zaraz udusi się z emocji. Oddychała coraz szybciej, coraz łapczywiej chwytając powietrze. Tymczasem Robert mówił dalej.

– Hrabiemu Plélo raczej nie odmówiliby, ale żołnierzowi wyglądającemu niemal jak żebrak już tak. Już raz wolałaś uciec z domu, niż wyjść za kogoś, kogo nie kochałaś. Dlatego lepiej było mi wyjechać i pozwolić ci zatęsknić, niż czekać, aż ode mnie też uciekniesz. Ale teraz wiem, że wróciłbym. Walczyłbym o ciebie, czy byś tego chciała, czy nie – dokończył, a w jego głosie pobrzmiwała zawziętość.

– O, Boże! – Tylko tyle zdążyła z siebie wykrztusić Krysia, zanim świat usunął jej się spod stóp, a po policzkach popłynęły łzy.

– Christine... – zaczął Robert i chwycił ją w ramiona.

Dziewczyna ponownie wtuliła się w niego z ulgą, jednak nie dane było Robertowi dodać nic więcej, bo drzwi pokoju otworzyły się i stanęła w nich księżna.

V

Mimo że na świecie królowała już wiosna, Émilie serce miała jak z ołowiu. Ponure myśli zagościły w jej głowie niczym czarne chmury na spokojnym niebie, zwiastuny nawałnicy. Widziała przez okno, że Antoni szykuje się do wyjazdu. Przez chwilę miała wrażenie, że ich spojrzenia skrzyżowały się, gdy skierował wzrok na okno, za firanką którego się kryła, ale to było złudzenie, bo przecie nie mógł jej dostrzec. Obserwowała Marie wieszającą się na szyi ukochanego przez nią opiekuna, a także Mariannę Podolską odgrywającą rolę stroskanej, popłakującej matki. Émilie każdym nerwem wrywała się ku Antoniemu i już tęskniła za nim, jednak nierozsądna duma kazała jej pozostać na miejscu, zupełnie jakby nogi wrosły w ziemię. Drgnęła dopiero, kiedy mąż popędził konia i wjechał w lipową aleję. Wybiegła na ganek, ale mężczyzna właśnie spał wierzchowca i zniknął po chwili w tumanie kurzu.

Od wyjazdu Antoniego żałowała ich kłótni i tego, że się nie pożegnali. Pojechał, nie wiedząc o dziecku, które prawdopodobnie nosiła pod sercem. Miała jednak nadzieję, że za kilka dni mąż wróci do domu razem z Krysią, a wtedy wynagrodzi mu ten brak pożegnania i powie o wszystkim. Choć

w głębi duszy czuła, że coś między nimi zostało bezpowrotnie zniszczone i zastanawiała się, ile w tym było jej winy, a ile uporu i nieczułości Antoniego. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że Krysia wpadnie w łapy Olszewskiego. Postanowiła, że będzie dziewczynę wspierać. Że gdyby działa jej się krzywda, zmusi Antoniego, by interweniował. Nie przypuszczała nawet, że wkrótce to ona znajdzie się w większych opałach niż szwagierka, której los tak mocno leżał jej na sercu.

Ledwie następnego dnia wybrała się na przejażdżkę po majątku. Założyła wygodny męski strój i ciepłą, obramowaną kożuchem czapkę trochę z przekory, bo Marianna nieustannie sarkana na jej nieprzystojne zwyczaje. Tak samo jak i na to, że Émilie lubiła sama objeżdżać majątek. Miała co prawda zabrać ze sobą Marie i Leosię, ale ponieważ ta druga jak zawsze z wiosną źle się czuła, zostawiła córkę we dworze i sama ruszyła lipową aleją w stronę wsi, a potem głównym traktem ku Mławie. Miała bowiem nadzieję, że spotka powracającego do domu Antoniego i już w drodze do domu wyjaśni sobie wszystko, co ich skłóciło. Jednak na horyzoncie wkrótce zamajaczyła następna wieś, a żadnego konnego na drodze widać nie było. Skierowała więc gniadą klacz w prawo, w stronę dębowego lasu, do którego przytułiło się kilka chałup przysiółka nazwanego Dąbrówką i przynależącego do dziedziców Podolan.

Pozwoliła koniowi iść stępą, a sama napawała się chłodnym jeszcze wiosennym powietrzem, które w lesie miało zapach mchu i świeżości. Skupiona na podziwianiu okazałych dębów pnących się ku niebu wyjątkowo prosto, nie zwróciła uwagi na jeźdźca, który pojawił się za nią i od dłuższego czasu bez słowa podążał jej śladem. Dopiero głośnie parsknięcie jego konia sprawiło, że wstrzymała klacz i się obejrzała. W pierwszej chwili nie mogła odgadnąć, kim jest ów jeździec, ale kiedy przyspieszył, rozpoznała w zwalistej sylwetce Olszewskiego. Choć dźgnął ją niepokój, to uznała, że ucieczka byłaby śmiesznym pomysłem. Przecież teoretycznie ze strony przyszłego szwagra nic jej nie groziło.

Wkrótce Olszewski zrównał się z nią i skłoniwszy głowę, zagał po francusku:

– Gdzież to się piękna pani Podolska wybiera w tem stroju? Ledwiem panią poznał.

W oczach mężczyzny mignęła nieszczerłość i zdał się on nagle Émilie oślizgłym płazem ze swoimi paciorkowatymi lśniącymi oczyma schowanymi pomiędzy fałdami policzków. Przecie dotąd udawał, że ledwie co rozumie w jej języku. Zaskoczenie widoczne na twarzy kobiety wywołało jego uśmiech, który nie zdołał pokryć upiornego wrażenia, jakie sprawiał. Odruchowo popatrzyła na boki, jakby się spodziewała, że ktoś jeszcze może się tu znaleźć, jednak płonne to były nadzieje. Droga stanowiła raczej leśny dukt niż uczęszczaną trasę, więc spodziewać się mogła co najwyżej dzikich zwierząt. Zaraz Olszewski skojarzył się jej z wilkiem. Ubrany w opinający jego nalane ciało surdut, na który narzucił pelerynę, z mocno zaciśniętym na szyi niezbyt czystym halsztukiem, tak bardzo kontrastował ze sprężystym, silnym Antonim, że poczuła jeszcze większy wstręt do przyszłego szwagra. Starła się nie pokazać po sobie obrzydzenia i strachu.

– Witam szanownego sąsiada. Dzień dziś piękny, a że męża mego nie ma w majątku... – urwała nagle, bo zdała sobie sprawę, że powiedziała zbyt wiele, a ta informacja mogła okazać się dla niej niefortunna. Szybko podjęła jednak wątek, mając nadzieję, że pokryje swoje zmieszanie uspokojeniem przestępującego w miejscu konia, który widać wyczuł jej niepewność. – Postanowiłam sprawdzić, jak zasiewy.

– Pan Wincenty nie chciał pani towarzyszyć? – zdziwił się Olszewski i znowu ta nieszczerą, podstępna nuta była aż nadto słyszalna w jego głosie.

– Teść mój słabuje ostatnio – skłamała.

Przecież nie mogła się przyznać, że bez wiedzy nestora rodu jeździ kiedy chce i gdzie chce. Zresztą z Wincentym Podolskim Émilie rozumiała się zadziwiająco dobrze i mężczyzna okazywał jej swą sympatię na każdym kroku, często popierając ją nawet w dyskusjach z Antonim. Dlatego też, by nie utracić jego zaufania, robiła wszystko, żeby nie dowiedział się, iż to ona stała za wyjazdem Krysi. I że był to wyjazd mogący zrujnować reputację rodziny.

– Przykra doprawdy historia. I zarazem niestosowna to rzecz, by kobieta sama w męskim stroju wystawiała się na widok chłopstwa. – Wzrok Olszewskiego powędrował wzdłuż jej ciała, aż spoczął na biodrach opiętych spodniami wpuszczonymi w cholewy wysokich butów. Na szczęście Émilie osłaniała jeszcze szubka sięgająca połowy uda, ale i tak zrobiło się jej nieswojo. – Dlatego pojedę z panią do Podolan, by upewnić się o bezpieczeństwie pani.

– Zdanie pańskie na temat roli kobiety w życiu męża znam – rzuciła może zbyt ostro, ale coraz mocniej się denerwowała, a i las wokół jakby zamarł w oczekiwaniu. – Eskorty mi nie trzeba. Trafię do Podolan bez trudu. – Ścisnęła klacz udami i skierowała ją w stronę Dąbrówki, dając tym samym jasny znak mężczyźnie, że nie życzy sobie jego towarzystwa. Olszewski również ruszył i zaraz się z nią zrównał.

– Skoro już rozmawiamy bez ogródek, to i ja będę szczery. Wiem, dlaczego moja narzeczona wyjechała z Podolan.

– Doprawdy? – Émilie zimny dreszcz przebiegł po plecach. Zacisnęła ręce na wodzach.

– Postanowiła się pani pozbyć konkurentki – wyjaśnił wielce z siebie zadowolony Olszewski i mlasnął jak syty kot.

Émilie zatkało. Spojrzała z niedowierzaniem na mężczyznę, nie bardzo wiedząc, co mu odpowiedzieć.

– Co też pan... – wydusiła wreszcie z siebie.

Olszewski zwinnie chwycił za wodze jej konia, by osadzić go w miejscu, aż przerażona klacz potrząsnęła łbem.

– Skończ już z tą fałszywą skromnością. – Twarz Olszewskiego znalazła się blisko jej policzka, kiedy uniósł się w strzemionach. Odchyliła się, próbując zwiększyć dystans między nimi. – Obydwoje wiemy, że jesteś jak suka w rui. Z tego, com słyszał, Antoni to twój kolejny mąż.

– Widzę, żeś pan doskonale poinformowany. – Strach szybko ustąpił złości. Ktoś musiał rozpowiadać o tym, co się działo we dworze. – Jednak informator pana nie wie jednego. Kocham mego męża i, owszem, pałam do pana uczuciem, ale wyłącznie niechęci. Natomiast przypuszczenia pana, jakoby Kryśka została przeze mnie odprawiona z pana powodu, też są słuszne. Pragnęłam ją uchronić przed panem i moje obawy o nią, jak widać, nie były bezpodstawne.

Olszewski pobladł i zacisnął zęby tak mocno, że aż jego krągłe policzki zadrgały. Nim Émilie zdążyła popędzić konia, mężczyzna zamachnął się i uderzył ją na odlew w twarz, aż pociemniało jej w oczach, zachwiała się w siodle i spadła z końskiego grzbietu. Na szczęście upadła w leśną ściółkę podbitą płataniną gałązek, które złagodziły spotkanie z ziemią. W uszach Émilie brzęczał rój pszczół. Olszewski coś mówił, ale jego głos dochodził jakby z oddali.

Uciekać! – błysnęła jej w głowie przytomna myśl. Skoro uderzył, nie zawaha się zrobić czego gorszego. Podparła się dłońmi i zaczęła się podnosić z kolan. Zanim jednak otrząsnęła się i stanęła na nogi, mężczyzna doskoczył do niej i powalił ją ponownie na ściółkę. Przygniecione jego ciężarem piersi nie mogły nabrać powietrza. Nad sobą Émilie zobaczyła jasne, błękitne niebo, prześwitujące pomiędzy rozcapierzonymi palcami gałęzi, które zasłonił obraz wykrzywionej wściekłością twarzy Olszewskiego. Na szczęście podniósł się na chwilę, a wtedy mogła nabrać powietrza, co ją nieco otrzeźwiło.

– Od początku wiedziałem, co ci po głowie chodzi, żmijo – wysyczał, zaciskając dłonie na jej szyi.

Ponownie ciemność zatańczyła Émilie przed oczami.

On mnie udusi! – pomyślała i ogarnął ją popłoch. Marie zostanie sama, a Antoni... Nie zdążyła się z nim rozmówić, powiedzieć, jak bardzo go kocha i że ma dla niego radosną nowinę.

Nagle uścisk zelżał, a ona łapczywie poczęła chwytać powietrze. Świadomość jej wróciła tylko po to, by poczuć, że Olszewski szarpie się z jej pludrami, wygrażając jej przy tym:

– Nauczę cię, dziwko, co znaczy prawdziwy mężczyzna, skoro Podolski nie może ci dać rady. Inaczej zaraz zaśpiewasz...

Uniosła nieznacznie głowę, szukając ratunku, ale była przecie w środku lasu, sama z tym potworem. Znów błysnęła jej w głowie myśl, że nie myliła się co do Olszewskiego, ale marna to była w tej chwili pociecha. Odruchowo macała po ściółce obydwoma dłońmi, jakby chciała się czegoś chwycić. Nagle jej dłoń trafiła na coś twardego. Poczęła drapać rozpaczliwie paznokciami, próbując wyrwać ów twardy przedmiot z ziemi, a kiedy jej się to wreszcie udało, stanęły jej w oczach łzy. Uderzyła z całą mocą, na jaką pozwalało przygniatające ją do ziemi ciało Olszewskiego, który wciąż sapał z wysiłku, usiłując ją obezwładnić. Mężczyzna jęknął i chwycił się za głowę, jednak wciąż

zachował przytomność, bo jego pięść wylądowała na jej skroni. Siła uderzenia nie była wystarczająca, by pozbawić Émilie przytomności, lecz na moment straciła rozeznanie.

– Zabiję cię, suko – wyszczał jej w ucho Olszewski i chwycił ją ponownie za gardło. – A później... – Nie dokończył myśli, bo kolejny raz kamień wylądował na jego głowie.

Émilie słabła, ale powtórzyła cios, a potem jeszcze raz i jeszcze, mimo że z trudem unosiła dłoń. Świat zniknął w czarnym tumanie, choć dłonie Olszewskiego wciąż miażdżyły krtań kobiety. Wreszcie ręka opadła na ściółkę, a kamień się z niej wysunął i upadł tuż obok. W ślad za nim runęło na ziemię ciało Olszewskiego. Z jego głowy sączyła się wąskim strumieniem gęsta, czarna krew, jednak Émilie już tego nie widziała.

## VI

Po zimowych szarościach, po dniach krótkich i przejmująco zimnych, kiedy skóra cierpnie od porywistych wiatrów i deszczu zacinającego na przemian ze śniegiem, przyszła w końcu wiosna. Promienie kwietniowego słońca dodają odwagi, rozjaśniają to, co zdaje się tonąć w mrokach przeszłości, i napełniają nadzieją, że nie wszystko stracone, że jeszcze jest cień szansy na odmianę losu. Bo kiedy przeżyłeś bitwę, wylizales się z ran i z tyfusu szalejącego w szpitalu wojskowym w Saalfeld<sup>[17]</sup>, przetrwałeś zimę, to widzisz, żeś jednak miał więcej szczęścia, niż początkowo się wydawało. Tak sobie powtarzał Michał Śniegocki, patrząc na swą kalekę prawą rękę, która nie chciała go słuchać od czasu, gdy Treillard zadał mu cios na polu bitwy pod Frydlandem. Cios ów miał go wyprawić na tamten świat, jednak Panienska Najświętsza miała widać względem Michała inne plany. Tak to sobie ostatecznie Śniegocki wytłumaczył.

Ostatnie miesiące płynęły niczym okryte żalobnym całunem niemożliwym do zerwania. Długo dochodził był do siebie po bitwie, a kiedy zdało mu się, że wreszcie może wstać i ruszyć do Podolan, gdzie najdroższa Krysienka odchodziła zapewne od zmysłów, zobaczył swe odbicie w wodach jeziora rozświetlonych późnoletnimi promieniami czerwonego słońca i zrozumiał, że dla niego życie się skończyło. Patrzył bowiem na niego wynędzniały brodac z zapadniętych oczach i przeczczonych włosach. Nie uwierzył z początku w ten obraz, więc wystarał się o fragment zwierciadła, które potwierdziło to, o czym wiedział. Stał się wrakiem człowieka, kaleką, co nie chwyci już nigdy za szablę, a ukochanej nie porwie w ramiona. Z jesienią zrozumiał, że nie ma po co wracać do Podolan, i że jedyne, co może jeszcze zrobić dobrego dla Krysi, to pozostać dla niej martwym. Bo Antoni musiał tak myśleć, skoro go nie szukał.

Kiedy nadszedł listopad, wmówił sobie był, że pewnie i dla młodego Podolskiego lepiej, by Śniegocki się nie odnalazł, bo wątpił, czy przyjaciel wsparłby go w staraniach o rękę siostry. Krysia przecie uprzedzała, że rodzice mają względem niej inne plany. Dlaczego Antoni miałby się im przeciwstawiać, skoro mógł zostawić przyjaciela na polu walki na pewną śmierć wśród setek trupów i rannych. Nawet czasem zdało mu się, że tam na polu, leżąc przygnieciony przez konia, słyszał wołanie przyjaciela tuż obok. Dlaczego więc Antoni go nie ratował? Powód był oczywisty.

I tak nadeszła zima, a Śniegocki ze zgryzoty zapadł był na szalejący w szpitalu tyfus. Majaczył całymi tygodniami w gorączce, co miało tę dobrą stronę, że widywał w tych majakach Krysię. Raz zapłakaną, tulącą się do niego i proszącą o ratunek, a raz promieniejącą szczęściem i uśmiechniętą z tym jej słodkim niewinnym spojrzeniem utkwionym w jego twarzy. Nie chciał żyć, bo nie miał po co wracać. Do tej pory dziewczyna pewnie została wydana za jakiego szlachciurę. Jednak dusza Śniegockiego wciąż uparcie trzymała się wyniszczoną chorobą ciała.

Kiedy więc z wiosną wreszcie począł wychodzić na zewnątrz, pomagać na tyle, na ile mógł w pracach w szpitalu i wokół niego, ze zdumieniem któregoś dnia dostrzegł, że jego ciało już nie jest tak słabe. Co prawda wciąż nie był w stanie unieść uszkodzonego ramienia, ale mógł cokolwiek przytrzymać i nieznacznie poruszyć palcami. Z ograniczeniami, jakie niosło kalectwo, też zaczął sobie radzić na swój własny, wypróbowany sposób – poczuciem humoru i ciętym językiem. Słabszą rękę zatykał za pas, a drugą nauczył się jeść, machać siekierą i podszczypywać dziewczki.

Myśl, by mimo wszystko pojechać do Podolan, spojrzeć w oczy Antoniemu i raz ostatni zobaczyć słodkie oblicze Krysi, zakwitła w jego głowie z wiosną właśnie. Mógł być pozostać w Saalfeld, jednak z niewytłumaczalnego dla niego powodu chciał sprawdzić, na ile go żałowano i czy w ogóle.

A może po prostu potrzebował zamknąć tę część swego życia, w której był przeświadczonym o swej nieśmiertelności młokosem. Dość, że podjął był ostateczną decyzję z początkiem maja: wróci ten jeden raz do Podolan.

## Przypisy

[1] Dawna zabawa polegająca na przejażdżce saniami, odwiedzaniu wszystkich sąsiadów i przyłączaniu ich do orszaku. [2] Desery często złożone z owoców w cukrze i orzechów. [3] Pas noszony skośnie w poprzek tułowia, służył do przenoszenia szabli. [4] (z francuskiego) – Zostaw go w spokoju! [5] (z francuskiego) – Okropny człowiek. [6] (z francuskiego) – Duch. [7] Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii. [8] Henriette de Vauban – kochanka i przyjaciółka księcia Poniatowskiego. [9] Królewiec, obecnie Kaliningrad. [10] Pregoła. [11] (z francuskiego) – Czy mówi pan po francusku? [12] Amatorski teatr grający wyłącznie w języku francuskim. Powstał w 1801 r. z inicjatywy Henriette. Jako aktorzy występowali w nim członkowie arystokracji. [13] Fryderyk Wilhelm III pochodził z dynastii Hohenzollernów, której przedstawiciel składał hołd lenny królowi Polski Zygmuntowi I Staremu. [14] Fryderyk II Wielki, poprzednik Fryderyka Wilhelma II. [15] Hohenzollernowie są spokrewnieni z Jagiellonami. Zofia Jagiellonka, siostra Zygmunta I Starego, to matka Albrechta Hohenzollerna, tego samego, który składał hołd Zygmuntowi I Staremu. [16] Luiza spotkała się na osobności z Napoleonem, co nie wpłynęło jednak na ostateczny kształt ustaleń pokoju w Tylży, mimo rozwinięcia przez królową całego kunsztu dyplomacji i wykorzystania uroku osobistego. [17] Zalewo w dzisiejszym województwie warmińsko – mazurskim.

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Rozgrywki i intrygi na zapleczu wielkiej historii,  
afery szpiegowska i podróż w pogoni za uczuciem...  
LIRA poleca pełną rozmachu Sagę napoleońską  
autorstwa Joanny Wtulich!

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L I R A**  
WYDAWNICTWO

## Saga napoleońska

Młodziutka Krysia Podolska traci w bitwie pod Frydlandem ukochanego Michała. Nie dane jej będzie go długo oplakiwać, ponieważ rodzice chcą ją wydać za mąż za majątnego sąsiada. Kiedy dziewczyna ucieka od zniechęconego konkurenta, nie przypuszcza, że los rzuci ją na pole bitwy, a na jej drodze postawi gburowatego francuskiego skazańca Roberta Bréhana. Razem będą musieli nie tylko wypełnić ważną dla Księstwa Warszawskiego misję, ale też stawić czoła wielu niebezpieczeństwom.

*Czy pomiędzy polską szlachcianką a francuskim dezerterskim może narodzić się miłość? Czy na polu walki można znaleźć przyjaźń? I czy uda się pogodzić pragnienie wolności z obowiązkami wobec rodziny i kraju?*

W kolejnej powieści Joanny Wtulich z serii *Saga napoleońska* skromna szlachcianka znajdzie się w samym środku wojennej zawieruchy, gdzie stanie ramie w ramie z żołnierzami armii Księstwa Warszawskiego. Czy miłość do Michała Śniegockiego na pewno była tą największą i ostatnią?

### JOANNA WTULICH

– nauczycielka i bibliotekarka zakochana w książkach. Wielokrotnie wyróżniana za swoje opowiadania, m.in. na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału (2018, 2019) i w ramach konkursu „Poznań Fantastyczny” (2019). Uważa, że przemieszczanie się i pisanie ma terapeutyczną moc.

Autorka m.in. bestsellerowych cykli *Trylogia lwowska* i *Saga napoleońska*.



[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L I R A**  
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:



ISBN: 978-83-67388-99-3



cena: 44,99 zł  
(w tym 5% VAT)